

Z. ZEYDLER-ZBOROWSKI

Detektyw z Mediolanu

Kurier Polski
WSYSTKO DLA WSZYSCICH
1964 rok - nr 199-269

Zygmunt Zeyler-Zborowski

**DETEKTYW
Z
MEDIOLANU**

ROZDZIAŁ I

Downar wracał z urlopu. Zostawił za sobą góry, słońce i wspomnienia. Jedno z tych wspomnień siedziało naprzeciwko niego. Z prawdziwą przyjemnością patrzył na opaloną, wesołą twarz dziewczyny. Poznali się na drugi dzień po jego przyjeździe do Zakopanego. Była miła, bezpośrednia, miała duże poczucie humoru. Tak się jakoś stało, że od razu wytworzyła się między nimi serdeczna, koleżeńska atmosfera- Po prostu przypadli sobie do gustu, zaprzyjaźnili się. Chodzili razem na spacer, prowadzili długie rozmowy. Wyruszali z nartami na dalekie wyprawy w poszukiwaniu śniegu. A wszystko to bez cienia flirtu. Nigdy na ten temat nie mówili, ale, na mocy jakiegoś milczącego układu, unikali oboje wszelkich nastrojów, które mogłyby wniesić do ich znajomości nowe, nie pożądane akcenty. Downar wyczuwał instynktownie, że Paulina zostawiła w Warszawie kogoś bliskiego i nie miał najmniejszego zamiaru komplikować jej życia. Poza tym nie był nastawiony na przygody miłosne. Chciał odpocząć i taki wyłącznie sportowy nastrój bardzo mu odpowiadał.

—Szkoda, że to już koniec urlopu — westchnęła — Było fantastycznie.

Uśmiechnął się

—No cóż... urlopy mają to do siebie, że zawsze za krótko trwają. Parę miesięcy w górach też nie byłoby wcale za dużo.

— Och, na pewno nie. Trudno się będzie teraz przyzwyczaić do tej harówki w pogotowiu.

— To pani pracuje w pogotowiu?

Spojrzała na niego wesoło.

—Dowiedział się pan o tym dopiero pod koniec naszej znajomości.

—Przecież taki był układ między nami. Umówiliśmy się, że nie będziemy rozmawiać ani o naszej pracy ani o żadnych spra-

wach zawodowych.

—To prawda, Ja także właściwie nie wiem czym się pan zajmuje.

—A jaki fach. według pani. pasowałby do mnie?

—Nie mam pojęcia. Może inżynier... a może lekarz?

Pociąg zbliżał się do Dworca Zachodniego. Nie wymienili, jak to się robi w takich wypadkach, ani adresów ani telefonów. Uważali to za niepotrzebne. Ich znajomość kończyła się na Dworcu Zachodnim. Żadne z nich nie przypuszczało, że niebawem spotkają się znowu w zupełnie innych, mniej wesołych okolicznościach.

Downar pomógł dziewczynie włożyć płaszcz i wyniósł z wagonu jej walizkę.

—Do widzenia, Paulinko.

Wesoło pomachała dłonią.

—Do widzenia, panie Stefanie.

Wrócił na swoje miejsce. Było mu trochę żal. Może już nigdy nie zobaczy tej przemiłej, pełnej radości życia dziewczyny. Szkoda. Czuł jednak, że nie miało sensu przenosić ich znajomości na teren Warszawy. Zdawał sobie sprawę z tego, że koleżeński, sportowy nastrój, jaki między nimi panował, mógł bardzo łatwo ulec zmianie. Tego nie chciał. Był przecież za stary dla Pauliny. Za stary. Z melancholijnym uśmiechem przesunął dłonią po siwiejącej czuprynie. Na pewno była młodsza od niego o dobre dwadzieścia lat. Do licha, jak ten czas leci. Nie tak dawno przecież zaczynał karierę jako młody oficer służby śledczej. A teraz już czterdziestka z dużym hakiem.

Ostatni wyszedł z wagonu. Dzień był pogodny. Niebo jaśniało wiosennym błękitem. Fala podróżnych płynęła ku miastu po osłonecznionym peronie.

Downar nie był typem człowieka, który by na dłużej pogrążał się w smętnych rozmyślaniach. Wiosna, słońce, roześmiane dziewczęta, Warszawa. Lubił wracać Warszawy i do swojej roboty. Wprawdzie nieraz przeklinał „psią służbę”, kiedy go w środku nocy budziło dzwonienie telefonu, ale już teraz nie umiałby chyba żyć bez tej pracy. Rozwiązywanie skomplikowali zagadek kryminalnych weszło mu w krew, było jak narkotyk.

Czasem w przystępie zniechęcenia, spowodowanego zmęczeniem, obiecywał sobie, że zrezygnuje z tego wszystkiego i że poprosi o przeniesienie do jakiejś spokojniejszej roboty. Decyzję tę jednak oddał zawsze na później. Miało się to stać w jakimś dalekim, bliżej nie określonym terminie. I gdyby rzeczywiście pewnego dnia musiał zrezygnować z roli oficera dochodzeniowego, to byłoby to dla niego najprawdopodobniej bardzo ciężkim przeżyciem.

O złapaniu wolnej taksówki oczywiście nie było mowy. Długi sznur strudzonych podróżnych ciągnął się koło przystanku. Downar chciał zatelefonować do Komendy, prosząc o przysłanie wozu, ale pobliskie automaty telefoniczne w ogromnej większości nie funkcjonowały, te działające zaś oblegali ludzie, pragnący porozumieć się ze swymi bliskimi na odległość. Postanowił skorzystać ze środka komunikacji zbiorowej. „Ostatecznie mogę ją przecież odwiedzić w pogotowiu” pomyślał, wsiadając do trolejbusu „52”.

Wysiadł przy Mokotowskiej. Na Koszykową poszedł piechotą. Waliza była ciężka. Spocony dobrnął wreszcie do bramy domu, w którym mieszkał i tutaj czekało go nowe rozczarowanie: popsuta winda. Czwarte piętro to niewysoko, ale biorąc pod uwagę nieprzespaną noc, pakowny kuferek, narty, ciepły pled... Nie było jednak rady i Downar wypowiedziawszy pół głosem kilka krytycznych uwag pod adresem organizacji życia w stolicy, począł pracowicie holować w górę bagaż. Jakież było jego zdumienie, gdy przed drzwiami swego mieszkania zobaczył barczystego mężczyznę w zagranicznym, nieprzemakalnym płaszczu najlepszego gatunku.

—Czy pan major Downar?

—Tak. A o co chodzi?

Nieznajomy nie zraził się niechętnym tonem, jakim były wypowiedziane te słowa. Uśmiechnął się i wyciągnął na powitanie szeroką, muskularną dłoń, gęsto porośniętą ryżawym włosem. Pan major pozwoli, że się przedstawię. — Wencel jestem, Izydor Wencel. — Mówił wolno, z cudzoziemskim akcentem, starannie i z widocznym wysiłkiem dobierając słów.

Downar postawił walizkę, oparł narty o ścianę i wyjął z kie-

szeni klucze. Podczas tych wszystkich czynności uważnie obserwował czerwoną, kwadratową twarz Izydora Wencła. Przekręcił klucze w zamku, pchnął drzwi i ruchem ręki zaprosił niespodziewanego gościa do środka.

—Proszę, niech pan wejdzie. Czym mogę służyć?

—Chciałbym prosić najuprzejmiej pana majora o chwilę rozmowy.

—Dopiero wróciłem z urlopu — próbował bronić się Downar — Właśnie...

—Wiem, wiem — zapewnił pośpiesznie Izydor Wencel i na jego twarzy znowu pojawił się pełen zakłopotania uśmiech — Bardzo pana przepraszam, panie majorze, za takie niespodziewane najście, ale od kilku dni próbuję się z panem skomunikować. Powiedziano mi w Komendzie, że pan dzisiaj wraca z urlopu. Pociąg miał przyjść już trzy godziny temu, więc...

—Mieliśmy spóźnienie.

—Tak, tak, z tymi pociągami to różnie bywa — skwapliwie podchwycił ten temat Wencel — Jakies dwa miesiące temu byłem w Szwajcarii i niech pan sobie wyobrazi, przeżyłem straszliwą katastrofę kolejową. Około dwustu rannych i kilkudziesięciu zabitych. Na szczęście, ja akurat w tym momencie poszedłem do wagonu restauracyjnego i dlatego..

—To bardzo interesujące — Downar wprowadził gościa do pokoju i wskazał fotel — Proszę, niech pan siada. W czym mogę być panu pomocnym?

— To bardzo delikatna sprawa, panie majorze.

— Delikatna?

— Tak, ogromnie. Pan zapewne z mojego akcentu zorientował się już, że ja nie mieszkam stale w Polsce. Jestem z pochodzenia Polakiem, ale już bardzo dawno nie byłem w kraju. Prawie trzydzieści lat. Naprzód Francja, potem Anglia, a teraz Italia. Dawno tu nie byłem. Dużo się zmieniło, bardzo dużo. Mam do pana, panie majorze, wielką prośbę.

— Skąd pan w ogóle do mnie trafił? — spytał Downar.

— Słyszałem o panu — uśmiechnął się Izydor Wencel — Dużo o panu słyszałem. Jesteśmy z jednej branży.

— Z jednej branży?

— Tak. Bo ja także jestem detektywem. Pracuję w prywatnej agencji w Mediolanie. My tam dobrze i wiemy z kim tutaj w Warszawie warto rozmawiać. Więcej wiemy, niż pan sobie może wyobrazić. Branża. Pan rozumie? Trzeba mieć informacje.

Downar z rosnącą niechęcią przyglądał się temu tęgiemu człowiekowi o czerwonej twarzy i owłosionych rękach. Zdecydowanie nie podobała mu się ta wizyta.

—Jeżeli pan ma jakąś sprawę natury policyjnej, to najlepiej będzie, jeśli się pan pofatyguje jutro do Komendy w godzinach urzędowych.

Wencel energicznie potrząsnął głową.

—Ach, nie, nie. Tutaj nic może być mowy o żadnym urzędowym załatwianiu, monsieur. To jest, jak panu wspomniałem, sprawa niesłychanie delikatna, wymagająca dyskrecji i dużej zręczności. Dlatego pozwoliłem sobie pana niepokoić...

—Ciągle jeszcze nie wiem o co chodzi — powiedział Downar.

—Otóż to. Oczywiście. Nie może pan wiedzieć. Muszę panu wszystko dokładnie wyjaśnić. Ale doprawdy przykro mi, że pan zmęczony, po podróży... Może jednak przyjdę jutro?

Downar poruszył się niecierpliwie.

—Niech pan wreszcie powie o co chodzi.

—Na razie nie będę operował nazwiskami.

—Jak pan woli.

—Widzi pan, panie majorze, sprawa wygląda w ten sposób, że pewna bardzo zamożna, arystokratyczna rodzina włoska zwróciła się do naszej agencji z prośbą o przeprowadzenie na terenie Warszawy dyskretnego wywiadu.

—Wywiadu?

—Chodzi oczywiście o sprawę czysto prywatnej natury — pośpiesznie wyjaśnił detektyw — Akurat tak się złożyło, że ja wybierałem się do Polski, aby odwiedzić rodzinę i dlatego...

—Jakież jest rezultat pańskiej tajnej misji? — spytał z uśmiechem Downar.

Krwista twarz Izydora Wencła przybrała melancholijny wyraz.

— Przyznaję, że jak dotychczas niewiele udało mi się zdia-

łać. Okazuje się, że sprawa jest trudniejsza, niż mi się to na początku wydawało. Mam poważne wątpliwości co do tego, czy sam sobie poradzę i dlatego zdecydowałem się prosić pana o pomoc, panie majorze.

— Jak pan sobie wyobraża tę pomoc?

— To jest sprawa ogromnie delikatna, wymagająca dużego taktu, dyskrecji i wyrobienia życiowego.

— To pan mi już mówił — zauważył Downar. Wencel był wyraźnie wmieszany.

— Tak, tak, oczywiście ... naturalnie. Chciałbym ... Chciałbym panu zaproponować, panie majorze, współpracę na zasadzie prywatnej, koleżeńskiej pomocy, Moi mocodawcy są ludźmi bardzo zamożnymi. Nie liczą się z kosztami. Za tego rodzaju przysługę mogę proponować panu pięćset dolarów... a może więcej... Podkreślam, iż jest to sprawa zupełnie prywatna, posiadająca charakter, że się tak wyrażę, to- warzowski... a nie kryminalny. Obawiam się, żeby pan major mnie źle nie zrozumiał... W innym kraju zwróciłbym się do prywatnej agencji detektywistycznej. W Polsce jednak ... Pan zna teren i dlatego ...

Downar przyglądał się mówiącemu z rosnącym zdziwieniem. Na próżno usiłował odgadnąć, co kryło się za tymi słowami. Wyjął papierosnicę i poczęstował papierosami „kolegę po fachu”.

— Na początku naszej rozmowy był pan uprzejmy stwierdzić, iż wasza agencja jest doskonale poinformowana o stosunkach panujących w Polsce. Z tego co pan przed chwilą powiedział, wnioskuję, iż te wasze informacje nie pochodzą z najlepszych źródeł. Czyżby się pan nie orientował, że u nas nie ma prywatnych biur wywiadowczych i że ja jestem urzędnikiem państwowym, który w żadnym wypadku nie może być zaangażowany przez osoby prywatne. Jeżeli ma pan rzeczywiście jakąś ważną sprawę, to proszę zwrócić się oficjalnie do naszej Komendy. Mogę pana zapewnić, iż zrobimy wszystko co w naszej mocy, aby panu dopomóc, z tym zastrzeżeniem oczywiście, że jest to sprawa, która podlega kompetencji naszej milicji. My nie zajmujemy się śledzeniem wiarołomnych mężów czy też lekko-

myślnych żon.

—No, więc właśnie — powiedział z ożywieniem Wencel — Właśnie tu tkwi cała trudność. Wprawdzie nie chodzi o zdobycie dowodów na poparcie sprawy rozwodowej, ale są to zagadnienia natury tak delikatnej, posiadające charakter czysto prywatny, rodzinny, że w żadnym wypadku nie mogę wystąpić z tym oficjalnie do milicji. Sądziłem, że ponieważ moja misja nie ma nic wspólnego ze sprawami politycznymi czy kryminalnymi, to mogę pana, panie majorze, prosić prywatnie o pomoc za odpowiednim wynagrodzeniem oczywiście. Trudno wymagać, żeby pan tracił swój cenny czas bez odpowiedniej rekompensaty.

Down ar zgniótł w palcach nie wypalonego papierosa.

— Bardzo żałuję, ale niestety nie jestem w stanie panu pomóc.

Wencel poruszył się niespokojnie.

—Jeżeli pana czymś uraziłem, panie majorze, to najmocniej przepraszam. Proszę mi wierzyć, że nie miałem takiego zamiaru. Po prostu sądziłem, iż w wolnych chwilach mógłby pan, bez zaniechywania oczywiście swoich obowiązków służbowych. Widzi pan... ja może niezbyt się orientuję. Dla mnie pięćset czy tysiąc dolarów, to jest suma, którą nie należy pogardzać tym bardziej jeżeli propozycja nie zawiera w sobie nic nieuczciwego. Nie mam zamiaru namawiać pana do wzięcia udziału w jakiejś podejrzanym aferze. Broń Boże. Nie ośmieliłbym się proponować panu czegoś, co nie licowałoby postawą uczciwego człowieka, funkcjonariusza państwowego. Daję panu najświętsze słowo honoru, że chodzi o najzupełniej uczciwą sprawę. Za okazaną pomoc trzymałby pan kilkaset dolarów, a prócz tego mogę panu zapewnić spędzenie uroczego urlopu w słonecznej Italii. Dostanie pan wóz do swojej dyspozycji, mieszkanie, utrzymanie. Nie wyda pan ani jednego lira.

Downar potrząsnął głową.

—Zupełnie niepotrzebnie się pan trudzi, panie Wencel. Nie nęcą mnie ani pańskie dolary, ani wycieczka o Italii. Ta forma współpracy, jaką mi pan proponuje, jest dla mnie absolutnie nie do przyjęcia. Detektyw bezradnym ruchem rozłożył ręce.

—No cóż... trudno. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko

najuprzejmiej przeprosić pana, panie majorze, za to, iż zabrałem tyle cennego czasu. Przykro mi, że pana niepokoiłem. Będę musiał sam sobie jakoś radzić. Spróbuję.

Downar wyprowadził swego gościa do przedpokoju, gdzie nastąpiła pożegnalna wymiana uprzejmości. Wencel raz jeszcze sumitował się i przeproszał, a Downar ze swej strony wyraził ubolewanie, że nie może, pomimo najszczerzych chęci, wziąć udziału w tej tajemniczej sprawie. Rozstali się wśród ukłonów i przyjacielskich uśmiechów.

Downar zamknął drzwi i wrócił do pokoju. — Wariat — mruknął, wzruszając ramionami Nie był senny i nie czuł zmęczenia. Rozmowa z tym dolarowym Sherlpockiem Holmesem podekscytowała go trochę. Postanowił zrezygnować z drzemki i pojechać od razu do Komendy. Golenie, parominutowa gimnastyka, kąpiel przywróciły całkowitą sprężystość ciała i umysłowi. Po całonocnej podróży nie pozostało już ani śladu.

W Komendzie od razu w hallu natknął się na Walczaka. Uścisnęli się serdecznie.

—Stefan! Kopę lat. Fantastycznie wyglądasz. Przynajmniej widać, że wracasz z urlopu. Chodź do mnie na chwilę. Pogadamy. Brakowało nam tu ciebie.

—Jest coś ciekawego? — spytał Downar.

—Same ciekawe rzeczy. Ale dajmy na razie spokój kryminalistyce. Opowiadaj jak było w Zakopanem. Wyobrażam sobie te dziewczynki.

Downar uśmiechnął się.

—Żadnych dziewczynek nie było.

Walczak uderzył przyjaciela po plecach.

—Bujaj kogo innego, ale nie mnie. Ale mniejsza z tym. kiedy wróciłeś?

—Dzisiaj rano. Wyobraź sobie, że miałem już fantastyczną wizytę w domu.

—Tak zaraz po przyjeździe?

—Właśnie. Facet czekał na mnie pod drzwiami.

—Jaki facet?

Downar opowiedział o rozmowie z prywatnym detektywem. Walczak parsknął śmiechem.

— To ten idiota i ciebie odnalazł?

— Znasz go?

— Tak jak i ty. Był u mnie w zeszłym tygodniu.

Także przyszedł do mieszkania.

— Co ty o nim sędzisz?

— Nic. Jakiś nieszkodliwy maniak.

— Nie uważasz, że powinniśmy się może trochę nim zainteresować?

Walczak wyruszył ramionami.

— Uważam, że mamy dosyć naszej konkretnej roboty. Jak facet chce tu kogoś śledzić, niech śledzi.

— Gdzie on mieszka?

— Mówił zdaje się, że w Grand Hotelu,

— I tobie również proponował dolary?

— A jakże. Obiecał mi nawet bezpłatny pobyt nad jeziorem Como albo na Capri. Ma facet gest

— Ale konkretnie nie mówił ci o co chodzi? — Nie. Od razu na początku rozmowy uśmiełem się z jego propozycji i dał spokój.

Downar w zamyśleniu pokręcił głową.

— Może trzeba by jednak zawiadomić pułkownika. — Tak. Powiem mu przy okazji, ale wydaje mi się, że to nie ma się czym przejmować. Weźmie się go ewentualnie pod dyskretną obserwację. Ale z nim nie na co już rozmawiać. Czy to można wiedzieć w jakim celu facet to wszystko mówi i proponuje?

— Sędzisz, że coś się za tym kryje?

— Nie wiem. Może nic się nie kryje, a może... Różne już rzeczy widzieliśmy w życiu. Szantaż... jakaś prowokacja. Diabli wiedzą. Ale dajmy spokój już temu wariatowi. Chciałbym pogadać z tobą chwilę o czymś konkretnym.

— Mianowicie?

— Może mógłbyś mi trochę pomóc w robocie, zanim ci stary przydzielili jakąś sprawę.

— Chętnie. Co mam robić?

— Byłbym ci wdzięczny, gdybyś w poniedziałek rano pojechał do Milanówka i pozalał mi pewne sprawy. Ja się w żaden sposób nie mogę ruszyć z Warszawy.

—Ależ oczywiście. Nie ma o czym mówić.

Nie rozmawiali już więcej na temat Izydora Wencla.

Walczak wyjął z kasy ogniotrwałej akta sprawy i rozłożył je na biurku.

—Siadaj, Stefanku, i słuchaj uważnie.

ROZDZIAŁ II

W pokoju było szaro od dymu. Żarówka, zawieszona na długim sznurze, rzucała snop żółtego światła na spocone twarze. Siedzieli pochyleni nad kwadratowym stołem, na pozór spokojni, opanowani. Ale pod tą robioną obojętnością wyczuwało się napięcie do ostatnich granic nerwy. Oczy płonęły gorączkowo, wyciągające się drapieżne po karty palce drżały.

—Znowu wygrałeś — powiedział schrypniętym głosem Popiel. Miał duże, niebieskie oczy i płową czuprynę, zaczesaną do góry.

Jacek pośpiesznie zgarnął ku sobie banknoty. Wygrywał, wygrywał ciągle. Policzki płonęły mu podnieceniem. Co chwila zwilżał końcem języka spieczone wargi.

Madejski, drobny, kędzierzawy chłopak, o szybkich i trochę kanciastych ruchach i rozbieganym, niepewnym spojrzeniu, rozdał karty.

—No, dalej. Odjazd. Szkoda czasu.

Jacek spojrział na zegarek.

—Ja już, niestety, muszę iść.

Karwacz energicznie przytrzymał go za rękę. Był szeroki w ramionach, mocno zbudowany. charakterystyczna tatarska twarz miała w sobie coś drapieżnego.

—O. nie kochasiu. Tak dobrze to nie ma. Chciałbyś spłynąć z tą całą forszą?

—Na początku powiedziałem, że mogę grać tylko do dziewiątej — bronił się Jacek.

Skośne oczy zapłonęły złym blaskiem

—Mowa mową. a forsa forszą. Siadaj i bez głupstw. Zgarnąłeś moniaki i teraz chcesz fruwać? Nie, pieszczoszku, ten numer nie prejdzie.

Jacek zrozumiał, że dalszy opór na nic się nie zda.

Wziął karty. I stało się to, co zazwyczaj zdarza się w takich

wypadkach. Banknoty w zawrotnym tempie zaczęły zmieniać właściciela. Początkowo Jacek pocieszał się, że to chwilowa zła passa i że lada moment znowu zacznie walić mu karta. Ale zła passa okazała się wcale nie taka chwilowa, a karta szła Karwaczowi i Madejskiemu. Niebawem zniknęła ostatnia setka.

Coś cieniutko przedziemy — zaśmiał się Karwacz a jego kose oczy zwięzły się jeszcze bardziej. — No i cóż? Odgrywasz się?

— Nie mam pieniędzy.

— Poszperaj po kieszeniach. Może coś się tam znajdzie

Jacek z trudem przełknął ślinę. Czuł w kieszeni marynarki kopertę z dziesięcioma tysiącami złotych. — Nie mam pieniędzy — powtórzył cicho i głos mu się załamał.

— Nie bój się, frajerze — zachęcił go Madejski. — Wyciągnij tego zaskórniaka. Zobaczysz, że ci teraz podleci. Siadaj. Gdzie ci tak pilno? No, dawaj tę forszę.

— To nie moje pieniądze.

— Jak są u ciebie w kieszeni to znaczy, że twoje. Nie bądź dzieckiem. No już. gramy,

Jacek wyjął szarą kopertę.

— O rany! — krzyknął Madejski, zobaczywszy pięćsetki — dziesięć patyków, a ten idiota mówi, że nie na forsy. Poślinił wskazujący palec i rozdał karty. No. teraz pan inżynier się odegra. Uwaga, uwaga.

W przeciągu pół godziny Jacek przegrał dziesięć tysięcy złotych, których nie zdążył wpłacić do banku. Siedział blady, nieruchomy. Nie czuł nawet, że grube krople potu spływają mu po twarzy. — Słuchajcie, to nie są moje pieniądze — wykrztusił z trudem. — Nie możecie...

— Gra była uczciwa — uśmiechnął się Karwacz i wsunął banknoty do bocznej kieszeni marynarki.

— Pozwólcie mi się odegrać — jęknął Jacek.

— Bardzo chętnie. Tylko z czym do gościa? Gotóweczki nie widać.

— Pożyczcie mi. Oddam. Słowo honoru.

Madejski wzruszył ramionami.

—Ja tam na kredyt nie grywam. A ty Rysiek?

—Nie mam zamiaru nikogo wykańczać — mruknął Karwacz i zapiął marynarkę. — No, to cześć, chłopaki. Spływam.

Jacek patrzył przed siebie niewidzącymi, szklanymi oczami.
— Co ja zrobię? Co ja zrobię?

Popiel klepnął przyjaciela po plecach.

—Nie przejmuj się. Jakoś przecież sobie poradzisz. Dziesięć patyków nie taki znowu majątek. Chodź odprowadzę cię do domu.

Niedawno padał deszcz i chodniki błyszczały wilgocią. Jacek aż się zatoczył, wciągnawszy w płuca wiosenne, ożywcze powietrze. Po tylu godzinach spędzonych w tytoniowym dymie czuł się jak pijany.

Przez chwilę szli w milczeniu. Mijające ich samochody szeroko rozpryskiwały deszczową wodę.

Może wstąpimy gdzieś na ćwiartkę — zaproponował Popiel.

Pod warunkiem, że postawisz. Ja nie mam ani grosza.

Dobra, dobra. Postawię. Wygrałem coś nie coś.

Na Litewskiej wsiedli w taksówko i pojechali do „Bristolu”. Przy sobocie ruch był duży, ale Popiel miał znajomości wśród kelnerów. Stolik się znalazł.

Po dwóch wódkach Jacek się zrobił jeszcze bardziej ponury.

— Słuchaj, Andrzej, ja muszę mieć do poniedziałku te dziesięć tysięcy. Rozumiesz? Muszę. Może mógłbyś...

Popiel potrząsnął głową.

—Bardzo mi przykro, ale nie jestem w stanie ci pomóc. W tej chwili sam jestem bez forsy.

—Co ja zrobię? Chyba się rzucę pod pociąg.

—Zwariowałeś? O głupie dziesięć patyków...

—Ale co ja zrobię? No, powiedz, co ja zrobię? przecież w poniedziałek wszystko się wyda. Będę złodziejem. Rozumiesz? Będę zwykłym złodziejem. To moja pierwsza posada. Boże! Boże! Co ja zrobiłem? Co ja zrobiłem?!

Popiel sięgnął po butelkę i nalał wódkę.

—Przestań się mazgać. No stało się, trudno. Trzeba teraz kombinować, jak to załatwić. Może mógłbyś się rozchorować na kilka dni?

—Co mi to da? Przyślą do mnie gońca po dowód wpłaty. A zresztą, żebym nawet przez tydzień leżał w łóżku, to i tak nie zdobędę dziesięciu tysięcy.

—A twoja matka?

—Co matka?

—No może mogłaby ci pomóc? Pewnie ma jakieś oszczędności. Starzy ludzie ciułają.

Jacek wzruszył ramionami.

—Co ty sobie wyobrażasz, że moja matka jest kapitalistką? Daj spokój. Dostaje trzysta sześćdziesiąt złotych renty. A poza tym .. Nie miałbym odwagi jej powiedzieć, że przegrałem nie swoje pieniądze, cholerna sytuacja.

—A bo byś rzucił tę całą twoją posadkę i zabrałbyś się do czegoś konkretnego — powiedział ze zniecierpliwieniem w głosie Popiel.

Jacek spojrział na niego zdziwiony.

— Co chcesz, żebym robił. Skończyłem politechnikę. Muszę pracować w swoim fachu.

—Za ile? Za tysiąc, pięćset złotych?

—Za tysiąc sześćset — sprostował Jacek.

—Obojętne. To nie są żadne pieniądze.

—Nie rozumiem cię, Andrzej. Do czego ty mnie namawiasz?

—Do tego, żebyś wreszcie realnie spojrział na życie i żeby głupie dziesięć tysięcy nie były dla ciebie tragedią. No, popatrz trochę na ludzi. Przyjrzyj się. Jeżdżą własnymi wozami, płacą za kolacje po parę tysięcy, mają najładniejsze dziewczyny, używają życia. A ty co? Siedzisz w tym swoim za kichanym biurze projektów, lecisz na ósmą, żeby podpisać listę i za to wszystko otrzymujesz tysiąc sześćset złotych. Spojrzyj chociażby na mnie. Nigdzie nie pracuję i na pewno lepiej na tym wychodzę.

—Ty nie skończyłeś politechniki — powiedział ponuro Jacek.

—A nie skończyłem. Wylali mnie. Początkowo — to byłem cięty jak cholera. ale teraz jestem im wdzięczny. Jak byłbym skończył, to zapakowałbym się pewnie na jakąś nędzną posadzinę tak, jak ty. Nie, bracie, to nie ma sensu. Trzeba kombino-

wać, trzeba się przystosowywać.

—Ja się nie nadaję do tych czarnogiędowych interesów.

Popiel roześmiał się, ukazując równe, białe zęby.

—Każdy się naprzód nie nadaje, a później się nadaje. Kwestia wprawy. Wszystkiego się można nauczyć. Zresztą ja cię nie namawiam. Rób, jak uważasz. Podobno każdy jest kowalem swojego szczęścia. Po paru latach dadzą ci dwadzieścia złotych podwyżki i będziesz się cieszył.

Jackowi wódka mocno już zaczęła szumieć w głowie,

—Ratuj mnie, Andrzej. Ratuj mnie, bo zginę.

— A twoja mamusia nie ma jakiejś pamiątkowej biżuterii?

—Ma tylko obrączkę i pierścionek po babci.

— Duży brylant? — zainteresował się Popiel.

— Nie żaden brylant. Agat czy coś w tym rodzaju.

— Lipa. Słuchaj, Jacek, mówiłeś, że jakiś twój krewniak z zagranicy miał przyjechać, wuj czy stryj.

— Wuj.

— No i co? Przyjechał?

—Przyjechał.

— Mieszka u was?

—Nie. W Grand Hotelu.

— Dlaczego w Grand Hotelu?

— Powiedział, że nie chce nas i siebie krępować. No wiesz..., my przecież nie mamy zbyt dużego mieszkania. Ja musiałbym spać z mamą w jednym pokoju.

— Ale to facet musi być nadziany forszą, jak tak sobie może na Grand Hotel pozwolić.

— Chyba mu się nieźle powodzi.

— Wujaszek z Ameryki, co?

— Nie tyle z Ameryki, co z Mediolanu.

— Obojętne. W każdym razie strefa dolarowa. Myślę, że chyba śmiało go możesz naciągnąć na sto dolarów. Akurat pokryjesz sobie to manco.

Jacek zamyślił się. Zaczął obracać w palcach pusty kieliszek.

— Widzisz... nie bardzo mi wypada. Ja właściwie tego wuja nie znam... Dopiero teraz pierwszy raz go zobaczyłem, przed

kilkoma dniami. .To tak jakoś...

—Śmieję się z tego. Co to ma do rzeczy? Znasz, czy nie znasz. W każdym razie wujaszek. Ja bym na twoim miejscu długo się nie zastanawiał, tylko od razu jutro z samego rana zapychałbym do Grandu. Powiesz wujaszekowi, że masz tak zwany nóż na gardle. Starszy, doświadczony facet na pewno zrozumie.

—Tak myślisz?

—Oczywiście. Nie musisz mu zaraz mówić, żeś rąbnął tę forszę. Wykombinuj coś sprawniejszego. Dziewczyna w ciąży, albo coś w tym rodzaju. Zresztą, co ja cię będę uczył. Sam musisz głową trochę poruszyć. W takich wypadkach trzeba do gościa podejść psychologicznie, wzruszyć go.

—Daj mi spokój. To obrzydliwe.

Popiel spojrzał pogardliwie na przyjaciela.

Rób, jak chcesz, chłopie. Ja cię do niczego nie mam zamiaru namawiać. Wydaje mi się tylko, że obrzydliwe to będzie wtedy, jak cię za te dziesięć patyków zapakują do młyna. Możesz dostać ze dwa lata, jak dobrze pójdzie. Ale to już twoja sprawa.

Jacek siedział milcząco i osowiały. Miał dość tej rozmowy, dość restauracyjnego gwaru. Chciał jak najprędzej pozbyć się towarzystwa Andrzeja. Wiedział, że jego rada jest dobra i że właściwie jest to jedyne wyjście z sytuacji. Przecież w żaden sposób przez niedzielę nie zdobędzie dziesięciu tysięcy. Wykluczone. Mógł pożyczyć sto, dwieście, trzysta złotych, ale dziesięć tysięcy... Nie znał człowieka, który dysponowałby taką sumą. A jeżeli... jeżeli wuj odmówi? Sto dolarów to poważne pieniądze, nawet dla zagranicznego wujaszka. W czasie pierwszego ich spotkania nie wytworzyła się właściwie taka bardzo serdeczna atmosfera. Czy w ogóle miało jakiś sens zwracać się do tego człowieka o pomoc?

—Chodź. Andrzej, idziemy. Zmęczony jestem.

—Jak chcesz to idź — powiedział Popiel, oglądając się za wysoką, bardzo szykowną blondynką. — Cześć. Trzymaj się.

Jacek ciężkim, powolnym krokiem wyszedł z sali dancingowej. W hallu podeszła do niego zgrabna, dobrze ubrana dziewczyna.

— Czy mogę pana prosić o ogień? — Pochyliła się nad zapa-

loną zapalką i powiedziała, zniżając głos prawie do szeptu. — Mam tu niedaleko mieszkanie. Bardzo przyzwoite i nie krępujące.

Jacek tak był zajęty swoimi myślami, że w pierwszej chwili nie rozumiał o co chodzi. Patrzył na wpeł przytomnie na dziewczynę i mrugał zaczerwienionymi oczami.

— Nie, nie... Dziękuję. Dobranoc. — Prędko wyszedł z hotelu, jakby się bał, że właścicielka niekrępującego mieszkania będzie go gonić. Przed Europejskim stały trzy taksówki. Wsiadł do jednej z nich.

Pani Maria jeszcze nie spała. Wyszła do przedpokoju.

— Jacusiu, co tak późno?

— Zasiedziałem się. Dlaczego mama nie śpi?

— Wiesz przecież, że nie mogę spać. Jak ciebie nie ma. — w głosie jej zabrzmiała ledwie dostrzegalna wymówka. — Pokaż się synku. Mizernie wyglądasz. Znowu piłeś.

— Piłem.

— Wiesz, że ci wódka szkodzi.

— No, to co z tego, że mi szkodzi? Każdemu szkodzi, a jednak ludzie piją.

— Jacusiu, co się z tobą dzieje? Co to za ton?

— Przepraszam cię, mamo, ale jestem bardzo zdenerwowany.

— Co ci jest? Co się stało?

Jacek spojrział na matkę prawie z nienawiścią.

— Każdy ma swoje kłopoty. Nie męcz mnie.

— Paulina dzwoniła dwa razy — powiedziała pani Maria, chcąc zmienić temat rozmowy. — Podobno się z nią umówiłeś.

— Zupełnie zapomniałem.

— Jak tak możesz robić? Dziewczyna czekała na ciebie. Zepsułeś jej cały wieczór.

— Przepraszę ją.

— Zaczynasz być strasznie niesolidny. Martwisz mnie.

— Mamo, błagam cię, daj mi święty spokój. Ja nie mogę... Ja już zupełnie nie mogę...

Pani Maria bez słowa wróciła do łóżka. Była wstrząśnięta

Po raz pierwszy w życiu Jacek odezwał się do niej w ten sposób. Dlaczego? Co się stało? Przecież to był zawsze taki dobry, serdeczny chłopczyzna. Zdarzało się wprawdzie, że czasem przychodził podchmielony po jakiejś bibce z kolegami, ale zawsze w takich wypadkach był pełen skruchy, przeproszał ją, obiecywał, że się to już nigdy nie powtórzy. A dzisiaj? Nie poznawała własnego syna. Ten jakiś okropny ordynarny, agresywny ton, ten przerażający sposób bycia. Nie, nie!

Był dla niej wszystkim. Był jej dumą, celem całego życia. Sama go wychowała i była przekonana, że wychowała go dobrze, że wyrósł na uczciwego, dzielnego człowieka. Nieraz chwaliła się przed znajomymi, że jej Jacuś nie jest podobny do dzisiejszej, bezmyślnej, zdemoralizowanej młodzieży. Wierzyła w niego, wierzyła bezgranicznie. A przede wszystkim kochała go miłością tak ogromną, tak zaborczą i właściwie tak chwilami egoistyczną, że nieomal zwierzęcą. Wszystkie instynkty kobiety, matki, samotnego człowieka złączyły się w tym uczuciu. Poza nim nie miała nikogo na świecie, absolutnie nikogo. Bo przecież nie można było brać pod uwagę tych przyjaciółeczek, z którymi raz na tydzień spotykała się w kawiarni, żeby trochę poplotkować. Cała bliższa rodzina wyginęła w czasie wojny. A dalsza? Jacys tam kuzyni na prowincji, z którymi nie utrzymywała żadnych stosunków.

Teraz pojawił się Izydor, w którym zbudziły się nagle uczucia familijne. Lubiała go. Kiedyś, jako dzieci bawili się razem. Imponował jej ten cioteczny brat, i chłopak silny, przedsiębiorczy, dowodzący zawsze zgrają dzieci, wydający rozkazy.

Woda szumiała w łazience. To Jacek przy pomocy zimnego prysznicu usiłował zapewne wydobyć się z oparów alkoholu. Najlepiej, żeby zwymiotował i wyrzucił z siebie tę truciznę. Co się temu chłopcu stało? Co się stało? Był zupełnie inny, nie ten sam. Dlaczego?

Pani Maria parokrotnie sięgała po książkę, leżącą na kołdrze, ale nie mogła czytać. Dziwne zachowanie się Jacka nie dawało jej spokoju. Wprost z łazienki poszedł do siebie. Nawet nie powiedział jej „dobranoc”. Od razu zgasił światło. Niemożliwe, żeby natychmiast zasnął. Coś się z nim dzieje. Coś przeżywa.

Dlaczego nie powie? Dlaczego się nie zwierzy?

Podniosła się. Cicho wsunęła stopy w pantofle i włożyła szlafrok. Ostrożnie zbliżyła się do pokoju syna. Przez chwilę stała nieruchoma, nadsluchując. Przewracał, się z boku na bok. Nie spał. Nacisnęła kławkę.

—Syneczku, co ci jest, kochanie? Powiedz. Jacusiu ..
Proszę ...

Wybuchnął gwałtownym, spazmatycznym płaczem.

ROZDZIAŁ III

Wieczór był chłodny i dżdżysty. Na mokrym, pociemniałym asfalcie rysowały się długie smugi jarzeniowego światła. Spóźnieni przechodnie walczyli z parasolami, szarpanymi wiatrem.

Przed „Bristol” zajeżdżał elegancki sportowy wóz, z którego wysiadł mężczyzna, robiący wrażenie wytwornego dyplomaty albo przedstawiciela wielkiego, światowego przemysłu. Wysoki, szczupły, dobrze zbudowany, miał na sobie luźny, ciemny płaszcz z wełny najlepszego gatunku. Czarny kapelusz „Borsalino”, zamszowe rękawiczki oraz modny parasol uzupełniały jego strój, znakomicie harmonizujący ze śniadą, pociągłą twarzą. Czarne, błyszczące oczy, osadzone może trochę za blisko kształtnego, rasowego nosa. patrzyły z zimną, taksującą przenikliwością.

W hallu podniósł się z głębokiego fotela młody człowiek o charakterystycznej azjatyckiej twarzy. W palcach lewej ręki trzymał niezapalonego papierosa.

—Czy mogę pana prosić o ogień?

Właściciel sportowego „forda” wyjął z kieszeni kamizelki zapalniczkę.

—Co nowego?

—Wszystko w porządku. Tylko Iwona trochę rozrabia.

—Zajmę się nią. A ta mała kózka?

—Pierwsza klasa. Ma talent. Będzie z niej pociecha.

—Spotkamy się w barze.

Szatniarz usłużnie pomógł zdjąć płaszcz wytwornemu gentlemanowi.

—Moje uszanowanie. Pan dyrektor pozwoli kapelusik.

Przetecki poprawił krawat i przycesał bujną kiedyś. teraz już poważnie przerzedzoną czuprynę. Z zadowoleniem uśmiechnął się do swego odbicia w lustrze. Wyglądał naprawdę

bardzo elegancko.

Na sali dansingowej panował duży ruch. Wszystkie stoliki były zajęte. Kelnerzy biegali zaaferowani, obsługując gości. Orkiestra grała twista. Stłoczone pary podrygiwały konwulsyjnie na ciasnym parkiecie.

Szybkim spojrzeniem obrzucił dobrze sobie znany teren. Madejski, wyświeżony, w doskonale skrojonym ciemnym garniturze siedział w towarzystwie tłustego jegomościa o okrągłej rumianej twarzy, któremu coś z ożywieniem klarował po niemiecku. Przy sąsiednim stoliku Iwona z chmurną, obrażoną miną słuchała z widoczną niechęcią słów przystojnego młodzieńca, wyglądającego na przybysza z azjatyckich krajów. Oliwkowa cera, duże ciemne zamyśnione oczy. Uśmiechał się z pewnym zażenowaniem do dziewczyny, usiłując najwidoczniej poprawić jej zły humor. Trochę dalej Dorota i Wanda śmiały się wesoło z kawałów opowiadanych przez Andrzeja. Przy samym parkiecie czarnowłosa Dora, pozująca na ognistą Hiszpankę.

Emablowała starszego, szczupłego pana który siedział przy stoliku bardzo sztywno i co chwilę rzucał wokół siebie szybkie, niespokojne spojrzenia, jakby chciał się przekonać co ci wszyscy ludzie myślą o jego postępowaniu. Nikt jednak nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Na twarzy Przeteckiego pojawił się pobłażliwy, pełen wyrozumiałości uśmiezek. Znał dobrze stany psychiczne tych starszych, solidnych panów, którzy bardzo by chcieli. a trochę się boją. To byli najlepsi klienci. Trzeba tylko cierpliwie przełamać pewne opory. Dora nie bardzo się do tego nadawała. Była zbyt impulsywna. nie lubiła długo czekać Zdolna dziewczyna, ale powinna się jeszcze wielu rzeczy nauczyć.

Skręcił w lewo i zajrzał do baru. Odpowiedział z godnością na ukłon przechodzącego kelnera i usiadł na wysokim stołku, potrącając, niby niechcący, krępego mężczyznę, którego zaczerwieniona alkoholem twarz promieniała radością życia i miłością bliźniego.

—O, pardon.

—Scusi.

—Italiano?

—Si. signore.

Przetecki dobrze mówił po włosku. W czasie zawieruchy wojennej przez blisko dwa lata krążył pomiędzy Neapolem, Bolognią a Mediolanem Prowadził równie intratne, jak ryzykowne interesy, wymykając się zgrabnie policji włoskiej, a potem żandarmerii amerykańskiej. Wspominał te czasy ze łzą rozrzewnienia w oku.

Rozmowa potoczyła się wartko. Przetecki był niezrównanym gawędziarzem, a jego niezwykły wdzięk i osobisty urok zjednywały mu natychmiast sympatię nowo poznanych ludzi. W tym wypadku zresztą nie musiał się zbytnio wysilać. Siedzący przy barce Włoch od dawna marzył o tem, żeby zamienić z kimś kilka słów. Z dużą skwapliwością skorzystał z nadarzającej się okazji. Powiedział, że nazywa się Paolo Bonejli i że przyjechał do Polski skupować konie. Następnie zaczął szczegółowo opowiadać o sobie i swej rodzinie, o życiu w Italii i o trudnościach finansowych Mówił dużo i bardzo prędko, jakby się obawiał, że jego rozmówca zniechęci się i odejdzie. Przetecki jednak nie miał zamiaru odchodzić. Słuchał cierpliwie od czasu do czasu jakimś zręcznym zdaniem podsycając monolog handlarza końmi. Z uśmiechem pomyślał o tym, że ostatnio ma szcacie do Włochów skupujących konie.

—Zapewne pan się trochę nudzi tutaj u nas w Warszawie.

—Zwiedziłem miasto. Bardzo mi się podoba — wyjaśnił Bonelli.

— Zwiedzanie zwiedzaniem, ale trudno ciągle siedzieć w muzeum. Czasem warto by się rozerwać. Oczywiście Warszawa nie ma takich atrakcji jak Rzym, ale...

Handlarz końmi z uśmiechem spojrzał na mówiącego

—Jestem dosyć zajęty, ale czasem oczywiście przydało by się zabawić. Tylko, że nie znam nikogo.

—Wie pan co? Mam pewien pomysł — powiedział Przetecki
— Zmieńmy lokal. Tu jest dosyć nudno.

—Gdzie miałby pan ochotę pójść?

—A choćby do „Kongresowej”. Jest tam taki niewielki kaba-
recik. Popatrzymy sobie na zgrabne dziewczęta.

—Polki są bardzo zgrabne — powiedział z przekonaniem

Bonelli.

Kiedy znaleźli się w szatni, Włoch zeszedł na dół do toalety, Przetecki zaś skinął na Rysia, który w dalszym ciągu siedział w hallu.

—Zabierz stąd Iwonę i przywieź ją do „Kongresowej”. Masz pieniądze?

—Mam. Wygrałem parę złotych od tego frajera, Zdawało mu się, że...

—Dobrze, dobrze... później mi opowiesz — przerwał pośpiesznie Przetecki, spostrzegłszy, że Bonelli wyłania się z podziemi.

Włoch był zachwycony pięknym kabrioletem.

— Che bella machina, che bella machina — powtarzał.

W „Kongresowej“ także było gwarno. Wiosenna sobota sprowadziła tu liczne grono amatorów kosztownej a niezbyt wybrednej rozrywki. Chciano się bawić, używać „wielkowiejskiego“ życia. Ażeby to używanie wydawało się jeszcze wspanialsze piło dużo wody, rozcieńczając alkohol wodą mineralną lub różowa lemoniadą. Nie wszyscy jednak, przychodzili tu dla zabawy.

Dla wielu z obecnych na sali był to teren niebezpiecznej, niszczącej nerwy działalności zarobkowej. Szybki porozumiewawcze spojrzenia, umówione znaki. Eleganckie, piękne dziewczęta zmieniały nie spostrzeżenie towarzyszy przy stoliku. Nerwowe, spocone palce podawały błyskawicznie setki, pięćsetni i banknoty dolarowe. Dla kogoś niewtajemniczonego zupełnie niedostrzegalny był ten handel walutą i żywym towarem. Tandetnie wytworni młodzieńcy z usługowym uśmiechem odstępowali swe przyjaciółki bogatym cudzoziemcom. Transakcje dokonywano szybko, sprawnie z zachowaniem niezbędnych środków ostrożności.

Pojawienie się na sali Przeteckiego wzbudziło zain terosowanie. To był rekin, którego podziwiali i bały się trochę te wszystkie małe, mniejsze i najmniejsze płotki.

Ładna dziewczyna o porcelanowej twarzy i wysokich upiętych fioletowych włosach pochyliła się ku swemu towarzyszowi.

—Och, Romek, co za fantastyczny mężczyzna.

Chłopak uśmiechnął się.

— Nie radziłbym ci mieć nic wspólnego z tym „fantastycznym mężczyzną“.

— Znasz go?

— Pewnie. Kto go nie zna? Jak się tu trochę z nam zżyjesz to i ty go poznasz.

— Wygląda, jak aktor filmowy.

— Aktor to on jest pierwsza klasa, tylko, że nie filmowy.

Dwóch kelnerów przyniosło stolik.

— Niestety, panie dyrektorze, musimy dostawić stoliczek. Wszystko zajęte.

— Trudno, niech już będzie — zgodził się Przetecki i wsunął kelnerowi do ręki sto złotych. — Poprosimy o kartę.

Światło przygasło. Zaczęły się występy. Dwie dziewczyny odtańczyły jakiś taniec, który miał być zapewne tańcem egzotycznym.

Signor Bonelli z zapalem oklaskiwał tancerki. —

Belle, molto belle. Veramente.

— Podoba się panu?

— Magnifico! Jestem panu niezmiernie wdzięczny, że pan mnie tutaj przyprowadził.

Przetecki przyjrzał mu się trochę podejrzliwie. „Kpi tobie ze mnie, czy rzeczywiście mu się to podoba?“ pomyślał niespokojnie. Ale na twarzy Włocha malował się taki entuzjizm, że nie można było wątpić w szczerść jego słów.

Kelner nakrył stolik białym obrusem i przyniósł w wiaderku wódkę.

— O no, no — bronił się handlarz koni. — Ja już za dużo piłem dzisiaj. Nie mogę.

— Nie odmówi mi pan kieliszczyka polskiej wódki —

powiedział z czarującym uśmiechem Przetecki. Pałające spojrzenie, jakim signor Bonelli wodził za dziewczętami, wprawiło go w doskonały humor. Był prawie pewien, że spora partia koni pozostanie w kraju. Wiedział jednak z doświadczenia, że w takich wypadkach trzeba cierpliwie czekać na odpowiedni mo-

ment. Zaczął więc rozmawiać na zupełnie obojętne tematy. Zachwycał się Italią. Mówił o urodzie Włozek. Podziwiał przedsiębiorczość kupców włoskich, którzy przyjeżdżali aż do Polski nabywać konie. Prawił swemu towarzyszeni, którego powoli zaczynał już uważać za „murowanego“ klienta, miłe słówka i mniej lub więcej bezpośrednio komplementy.

Bonelli, który był z natury człowiekiem dobrodusznym i łatwownym, a w którym wódka pogłębiła jeszcze te cechy charakteru, brał wszystko za dobrą monetę opatrności, że pozwoliła mu spotkać tak czarującego człowieka.

—A czym pan się trudni, panie hrabio?

Przetecki w międzyczasie dał zręcznie do zrozumienia, że pochodzi z arystokratycznej rodziny, wyłączonej przez rewolucję społeczną. Przyjrzał się swym wypiełgnowanym paznokciom i westchnął, przywołując na twarz wyraz pełen melancholii.

—No cóż, caro signore, radzę sobie jakoś. Mam przedstawicielstwa firm zagranicznych, a poza tym od czasu do czasu wzmacniam swój budżet, sprzedając kosztowności, pamiątki rodzinne. Trudno. Takie czasy.

—To bardzo bolesne — przyznał koński handlarz. — A czy pan może ma jakieś zabytkowe klejnoty? — spytał po chwili.

Przetecki nie okazał żadnego wzruszenia, chociaż pytanie to zelektryzowało go.

—Interesuje się pan starą biżuterią?

—Bardzo. Powiedziałbym, że to moje hobby.

—Miła pasja.

—Może mógłby mi pan coś pokazać, panie hrabio, ze swoich kolekcji.

Przetecki nie od razu odpowiedział. Siedział zadumany, jak gdyby zapatrzony w swoją „arystokratyczną“ przeszłość. Naprawdę zaś umysł jego pracował intensywnie nad sposobem wypompowania dodatkowych sum z tego pocziwiny.

—Być może. że się jeszcze kiedyś spotkamy. Przy jakiejś okazji może pan wpadnie do mnie.

—Con molto piacere! — wykrzyknął zachwycony Bonelli. — To byłby zaszczyt dla mnie, panie hrabio.

—Bardzo proszę, niech mnie pan nie tytułuje hrabią — uśmiechnął się Przetecki. — W naszej obecnej rzeczywistości, to dla mnie mogłoby być niewygodne. Pan rozumie?

—Oczywiście, oczywiście. Mi scusi.

— Bellissima ragazza. Kto to taki?

Przetecki spojrzał we wskazanym kierunku i uklonił się uprzejmie.

— Kto to jest ta piękna pani? — ponowił swe pytanie Bonelli.

— To moja dobra znajoma. Pochodzi z bardzo zamożnej niegdyś ziemiańskiej rodziny. Niestety, dzisiaj... Podoba się panu?

— Fantastica! Stupenda! Co za oczy!

— Jeżeli pan sobie życzy, mogę pana przedstawić.

Signor Bonelli poruszył się podniecony.

— Byłbym panu niesłychanie zobowiązany.

Przetecki podniósł się, bez pośpiechu podszedł do sąsiedniego stolika i złożywszy pełen galanterii ukłon, pocałował Iwonę w rękę. Następnie serdecznie uściskał dłoń Rysiowi, w którego skośnych oczach zapaliły się blaski.

Karwacz z Iwoną zajęli pobliski stolik. Efektowna uroda pięknej dziewczyny natychmiast zwróciła uwagę włoskiego handlowca.

I wszystko potoczyło się utartym trybem. Prezentacja, ukłony, wymiana uprzejmych słów. Całe towarzystwo usadowiło się przy wspólnym stoliku. Karwacz zamówił wódkę i najdroższe zakąski. Nie liczył się z wydatkami. Wiedział, że i tak szef zapłaci za wszystko, a właściwie nie szef, a ten italiański frajerzyna.

Przetecki dawał dyskretnie znaki Iwonie, żeby była miła dla cudzoziemskiego gościa, ale dziewczyna nie miała humoru. Siedziała sztywna i milcząca. Nie chciała pić, załededwie umoczyła wargi w wódce.

Signor Bonelli zdawał się nie zauważać niechętnego nastroju pięknej pani. Mówił dużo złą francuszczyzną i był coraz bardziej ożywiony. Wypity alkohol oraz bliskie sąsiedztwo mocno wydekoltowanej kobiety działały na niego w sposób widoczny.

Znowu przygasło światło i znowu rozpoczął się taneczny numer. Tym razem jednak handlarz koni nie zwracał uwagi na produkujące się dziewczęta. Był całkowicie zajęty, siedzącą obok niego „blond Wenus“.

W pewnym momencie Przetecki doszedł do wniosku, że jego rola na razie skończyła się. Spojrzał porozumiewawczo na Karwacza, a następnie zwrócił się z uprzejmym uśmiechem do zupełnie już rozanielonego Wiocha.

—Zechce mi pan wybaczyć, signor Bonelli, ale przypomniałem sobie, że muszę pojechać na stację, ażeby przywitać jednego z moich dawnych przyjaciół. Jeżeli pan pozwoli, to skontaktuję się z panem któregoś dnia telefonicznie.

Noc była przesiąknięta wiatrem i wilgocią. Nad miastem przesuwały się w pośpiesznym rytmie ciemnogramatowe, ponure chmury.

Przetecki usiadł za kierownicą i uruchomił motor. Czuł się zmęczony. Poprzedniej nocy nie spał prawie wcale. Warto było jednak zrezygnować z wypoczynku. Wpadło mu zupełnie extra czterysta dolarów. To już było coś.

Kiedy znalazł się u siebie na Wiktorskiej, zdjął marynarkę, rozluźnił krawat i włożył elegancką jedwabną bonżurkę. Turkusowy kolor materiału podkreślał jego sniadą, opaloną twarz.

Poczuł nagle, że jest głodny. W „Kongresowej“ prawie nie jadł, tylko wypił parę wódek. Otworzył więc lodówkę i wyjął z niej pieczonego kurczaka, masło, chleb i słoik kompotu 7 agrestu. W tej chwili przypomniał sobie, że nie umył rąk. Poszedł więc do łazienki Wycierając dokładnie palce w kosmaty ręcznik, przyglądał się z upodobaniem swemu odbiciu w lustrze.

Nie ulegało wątpliwości, że był bardzo przystojnym i efektownym mężczyzną. Mrużył oczy z wyrazem dumy i zadowolenia. Hrabia Oskar Przetecki. To dobrze brzmiało, nawet bardzo dobrze. Jakżeż odległe były te czasy, kiedy Olek Przetak pomagał ojcu obsługiwać pijaków w karczmie. Brudne stoły, zalane piwem i wódką, brudni, cuchnący klienci. Pochylny, z zapieczonym nosem ojciec, przepasany poplamionym fartuchem.

Wszystko to wydawało się teraz jakimś koszmarnym, strasznym snem. Długa i ciężka była droga od karczmy pod Krasnymstawem do hrabiego Oskara Przeteckiego. Wojna. Londyn, Paryż, Afryka, Italia. To oczywiście ułatwiło w awansie społecznym. Trzeba było jednak mieć coś we krwi... Matka była piękną kobietą, bardzo piękną. Mówiono, że kiedyś pan hrabia zanocował w karczmie... Któż to wie...? A może to prawda? Może rzeczywiście w jego żyłach krąży błękitna krew? Ten wzrost, ta postawa, te ruchy, ten grecki profil... Przyjrzał się swoim wypięgniętym palcom. Właściwie posiadały ładną linię, były długie, ale miały w sobie coś brutalnego. No cóż... Żeby dojść do tego, do czego on doszedł, trzeba było być mocnym człowiekiem, zdecydowanym na wszystko.

Odświeżył twarz kolońską wodą i poszedł zjeść kuraka. Przypomniał sobie, że jeszcze ma w kredensie pół butelki burgundzkiego, czerwonego wina, które należało trochę podgrzać.

Kończył właśnie kolację i rozglądał się z zadowoleniem po luksusowo urządzonym mieszkaniu, kiedy zadzwonił telefon. Głos Karwacza był schrypnięty, nabrzmiały wściekłością. Klient rozpracowany na cacy a Iwona rozrabia. Włoch pojechał do hotelu spać i nawet nie miał zamiaru płacić rachunku. Diabli wzięli kilkadziesiąt dolarów.

—Przywieź ją do mnie — rozkazał krótko Przetecki.

Po upływie dwudziestu minut taksówka zatrzymała się na Wiktorskiej. Rysio dość energicznie pomógł wysiąść Iwonie.

Przetecki czekał na nich, przechadzając się szerokimi krokami po pokoju.

— Proszę cię, usiądź — powiedział, wskazując fotel. — Podobno jesteś dzisiaj nie w humorze. Czy to prawda?

Iwona, zaniepokojona tym słodkim głosem, postanowiła zaatakować.

— Powiedziałam już, że nie pójdę z byle kim. Rozumiesz? Nie chcę. Nie zmusisz mnie!

—Facet nadziany dolarami, to nie jest byle kto — zauważył rzeczowo Rysio.

Przetecki przechylił głowę na bok i z zainteresowaniem

przyglądał się dziewczynie.

—Nie zmusisz mnie! — krzyczała dalej, podniecona jego milczeniem. — Nie jestem twoją niewolnicą! Mnie się mężczyzna musi podobać! Rozumiesz? Ja z pierwszym lepszym nie chcę i nie mogę. Nie próbuj mnie straszyć! Ty draniu!

Przetecki nie zareagował ani jednym słowem. Wolnym, jakby leniwym krokiem podszedł do ściany i zdjął z gwoździa grubą, splecioną z rzemieni szpicrutę.

ROZDZIAŁ IV

Downar ostatni przyjechał na miejsce wypadku. Od wczesnego rana siedział w Milanówku i dopiero po powrocie dowiedział się od pułkownika Leśniewskiego o tym co się stało. Natychmiast kazał się zawieźć na Czerniaków.

Walczak z ożywieniem rozmawiał z oficerem z Komendy Ruchu. Spozstrzegłszy przyjaciela, wziął go pod rękę i zaprowadził do noszy, na których leżało ciało przykryte prześcieradłem.

— Poznajesz go?

Downar spojrział w siną, nieruchomą twarz. Skinął głową.

— Tak, to on. Nie ma wątpliwości. Jak to się stało?

— Diabli wiedzą. Wpakował się z wozem do jeziora.

— Kiedy?

— Chyba w nocy. A może wczoraj wieczorem. Dzisiaj z rana ktoś zaalarmował komisariat. Przyjechali ci z Ruchu, ciągnikiem wyciągnęli wóz z wody, zobaczyli, że zagraniczny gość i dali cynk do Komendy. Paskudna sprawa.

— Myślisz, że ...?

Walczak wzruszył ramionami.

— Co tu jest do myślenia? Facet na pewno z własnej nieprzymuszonej woli nie wjechał do jeziora.

— Może jednak wypadek?

— Gdyby nie te rozmowy, które przeprowadził ze <ur|ą i z tobą, to od biedy byłbym skłonny przypuszczać, że to wypadek. Wszystko się może zdarzyć. Mógł być pijany, ale nie był. Mógł nagle zesłać. Serce. Mógł wreszcie zniechęcić się do życia. To wszystko jednak nie jest zbyt przekonujące. Obawiam się, Stefan, że tym razem mocnośmy pokpili sprawę. Niczego nie można lekceważyć.

— Trudno żebyśmy niańczyli każdego zwariowanego cudzoziemca — mruknął Downar. Czuł jednak, że Karol miał rację. — Na razie oczywiście nie sposób

ustalić, czy śmierć nastąpiła na skutek utopienia.

—To będziemy wiedzieli dopiero po sekcji.

Downar wyjął papierosy. Był bardzo zdenerwowany.

—Słuchaj, Karol, a jaki stan wozu?

—Zupełnie niezły. Mały luz w kierownicy, ale nie do tego stopnia, żeby ...

—Nie mógł to facet spokojnie siedzieć w Mediolanie. Czego tu szukał na Czerniakowie?

—Trzeba było się go spytać i pomóc koledze po fachu w robocie. Zarobiłbyś pięćset dolarów i teraz nie mielibyśmy kłopotu.

—A dlaczegoś ty nie zarobił? — odciął się Downar.

Wrócili do oficerów z Komendy Ruchu.

—Skończyliście? — spytał Walczak.

—Tak jest Mamy dokładne plany sytuacyjne, zdjęcia. Na razie chyba już nic więcej...

Walczak założył ręce w tył i w zamyśleniu obszedł teren. Następnie kazał załadować zwłoki do ambulansu i zawieźć je do Zakładu Medycyny Sądowej. Komenda Ruchu miała się zająć wozem detektywa z Mediolanu.

Wsiedli do Wołgi, którą przyjechał Downar. Dłuższy czas milczeli, przeżuając niewesołe myśli. Pierwszy odezwał się Walczak.

—Może zajrzysz do Grandu? Ja pojedę porozumieć się z doktorem Ziembą. Trzeba natychmiast załatwić sekcję. Wprawdzie ja nie mam żadnych złudzeń, co do jej wyniku, ale musimy mieć pewność.

Na rogu Pięknej i Kruczej Downar wysiadł z wozu. Chciał się kawałek przejść, żeby zebrać myśli. Dawno już nie miał takiego fatalnego samopoczucia.

Szef recepcji znał Downara. Przywitał go z oznakami serdecznej zażyłości, mimo iż wiedział, że tego rodzaju wizyta nie wróży nic przyjemnego. Poszli na! pierwsze piętro i usiedli w małym, zacisznym pokoiku.

—Słucham pana, panie majorze. Czym mogę służyć?

—Czy znane jest panu nazwisko Izydor Wencel?

— Tak. To nasz gość. Przyjechał, o ile sobie przypominam, z

Mediolanu.

—Dużo do was przyjeżdża gości zagranicznych, i dlaczego akurat utkwiło panu w pamięci to nazwisko?

—Po prostu dlatego, że parokrotnie miałem z nim kontakt. Rozmawialiśmy. Chciałem go ostrzec.

—Ostrzec? Przed czym?

—Raczej przed kim? — uśmiechnął się kierownik recepcji.

— Pan Wencel zdążył już tutaj przywiązywać bardzo niepożądane znajomości.

—Mianowicie?

—Mam na myśli tych czarnogiełdziarzy. To są często ludzie bez skrupułów. Czy coś się stało, panie majorze?

—Tak, stało się. Ten pański gość nie żyje. Miał wypadek samochodowy.

—I pan major podejrzewa, że...

—Izydor Wencel miał wypadek samochodowy — powtórzył Downar, wyraźnie akcentując każde słowo.

Szef recepcji trochę się zmieszał.

— Rozumiem, rozumiem. Przepraszam,

—Więc pan twierdzi, że Wencel zadawał się z handlarzami walutą?

—Tak. To znaczy... Właściwie widywałem go tutaj z jednym takim, którego już znamy. Kręci się w „Bristolu”, w „Europejskim”, u nas.

—Może mi pan powiedzieć jak on wygląda?

—O, wygląda zupełnie przyzwoicie. Starszy pan, tęgawy, z łysinką. Bardzo dobrze się prezentuje. Ma, oczywiście, swoich takich drobniejszych naganiaczy, którzy potrafią wywęszyć dobrego klienta.

— Czy pan sądzi, że Wencel skorzystał z usług tych ludzi?

— Wydaje mi się, że chyba na pewno. Radziłem mu, żeby tego nie robił, żeby zmienił walutę w banku PKO na Mazowieckiej.

—Jak doszło do tego, że pan mu w ogóle coś radził?

—Rozmawialiśmy parokrotnie. To jest człowiek bardzo komunikatywny ... O, przepraszam. Chciałem powiedzieć, że to był człowiek bardzo komunikatywny. Chętnie nawiązywał roz-

mowę, interesował się wszystkim.

—Na przykład czym się interesował? — spytał Downar.

—Różnymi rzeczami. Wyjechał z Polski jeszcze przed wojną. Po wojnie po raz pierwszy odwiedził tutaj rodzinę. Wypytywał, jak się u nas żyje, jakie są obecnie możliwości zarobkowe i w ogóle...

—Czy wie pan coś o tej jego rodzinie, do której przyjechał?

—Wiem tylko tyle, że przyjechał do siostry, ale jak się nazywa ta siostra i gdzie mieszka, nie orientuję się. Nie pytałem go o to. To mnie nie interesuje.

Downar zgasił papierosa i w zamyśleniu spojrzął w okno. Zdawać by się mogło, że przez chwilę zapomniał o swym rozmówcy. Szef recepcji chrząknął dyskretnie.

— Czy mogę jeszcze służyć panu jakimiś wyjaśnieniami, panie majorze?

—Chciałbym zamienić kilka słów z urzędnikiem recepcji, który miał wczoraj dyżur dzienny. Nie wiem tylko, czy dzisiaj także pracuje.

—Mam wrażenie, że tak. Zaraz to załatwimy. — Szef recepcji podniósł słuchawkę i wydał odpowiednie polecenie. Po chwili rozległo się stukanie i do pokoju wszedł szczupły, przystojny brunet.

—Słucham, panie dyrektorze.

—Proszę, niech pan siada. Tutaj pan major ma do pana jakiś interes.

Na twarzy urzędnika odmalowało się zdziwienie. Spojrzął pytająco.

—Do mnie? Słucham?

— Czy przypomina pan sobie gościa o nazwisku Izydor Wen cel? — spytał Downar.

—Ten detektyw z Mediolanu. Oczywiście, że go wszyscy go znają, —Dlaczego pan twierdzi, że go wszyscy znają?

— Bo ze wszystkimi tutaj się zaprzyjaźnił. To niezwykle rozmowny facet. Z każdym lubi sobie pogawędzić, z windziarzem, z kelnerami, z czyścibutem. Bardzo wesoły i sympatyczny gość.

— Pan Wencel uległ ubiegłej nocy wypadkowi — dział Downar. — Nie żyje. Twarz recepcjonisty nagle stężała,

— Nie żyje? Zamordowano go?

— Słyszał pan przecież, że pan Wencel uległ wypadkowi samochodowemu — pośpiesznie wyjaśnił szef recepcji.

— To bardzo przykre.

— Czy pan wczoraj miał dzienny dyżur? — spytał Downar.

— Tak.

— Czy nie przypomina pan sobie, o której Wencel wyszedł z hotelu?

— Dokładnej godziny podać nie mogą, ale było dość wcześnie. Chyba gdzieś około dziewiątej, może piętnaście po dziewiątej.

— Był sam?

— Był w towarzystwie tego łysego waluciarza

— Razem wyszli na miasto?

— I pojechali wozem Wencla?

— Tego nie wiem. Byłem zajęty. Nie interesowałem się.

— I później już pan Wencel nie wrócił do hotelu? .

— Owszem, wrócił, po obiedzie, tak chyba około piątej.

— Jest pan pewien, że pomiędzy dziewiątą rano a piątą po południu nie było go w hotelu?

— Jestem pewien. Pamiętam zupełnie dobrze.

A w tym czasie nie pytał ktoś o pana Wencla?

Owszem. Pewien młody człowiek dopytywał się o pana Wencla. Przychodził parę razy.

Nie orientuje się pan, czy zastał go wreszcie?

Tak. Przyszedł wieczorem. Był w numerze u pana Wencla. Potem zeszli razem i pojechali.

Czy nie słyszał pan jakiegoś fragmentu rozmowy?

Nie. Jestem zbyt zajęty, żeby się przysłuchiwać rozmowom. Słyszałem tylko, że ten młody człowiek mówił do pana Wencla „wuju”.

Downar ożywił się.

— To dosyć istotna informacja. Jest pan tego pewien?

— Najzupełniej.

— Czy pan Wencel zostawił klucz od swego pokoju?

— Tak.

— I nie wrócił z tej przejażdżki z siostrzeńcem?

—Tego nie wiem. Nie miałem nocnego dyżuru.

—Na pewno nie wrócił — wtrącił się do rozmowy szef recepcji. — Dzisiaj rano pokojówka poinformowała mnie, że gość nie nocował w hotelu.

—Czy zawrze pokojówki mówią panu, jeśli gość nie wróci na noc?

—Nie, nie zawsze, ale czysto. Goście, którzy na przykład wyjeżdżają do innego miasta na dzień czy dwa, przeważnie informują o tym personel. Rzadko się zdarza, żeby ktoś zniknął, nie dając żadnej wiadomości. W takim wypadku pokojówka czy też urzędnik z recepcji ma obowiązek zawiadomić mnie.

—Chciałbym zobaczyć pokój Wencla — powiedział Downar.

We trzech pojechali windą na czwarte piętro.

—Czy pan major życzy sobie, żeby sprawa tego wypadku samochodowego pozostała na razie tajemnicą? — spytał szef recepcji, kiedy znaleźli się na korytarzu.

—To i tak nie da się ukryć. Oczywiście, czym mniej ta sprawa nabierze szerszego rozgłosu tym lepiej.

Dokładna rewizja w pokoju Izydora Wencla nie dała specjalnych rezultatów. Ubrania, buty, bielizna, przybory toaletowe. Żadnych notatek, żadnych dokumentów. Jedynie na dnie walizki stara legitymacja, stwierdzająca, że signor Izydor Wencel jest przedstawicielem mediolańskiej agencji wywiadowczej „Discrezione”. W tylnej kieszeni spodni wiszących w szafie na wieszaku Downar znalazł list lotniczy, zaczynający się od słów „Kochany Izydorze...”. Nadawcą była Maria Niewiarowska. To było niewiele, ale zawsze już coś. Treść listu nie wносиła do sprawy nic nowego. Trochę wspomnień z dawnych czasów, trochę serdeczności. Ważne były adresy, adres Izydora Wencla w Mediolanie i adres jego siostry w Warszawie.

Downar raz jeszcze przeszukał cały pokój i wreszcie doszedł do wniosku, że już niczego więcej tutaj się nie dowie. Poleciał spakować wszystkie rzeczy i odesłać je do komendy, podziękował funkcjonariuszom recepcji za współpracę i pośpiesznie opuścił hotel. Chciał jak najprędzej porozumieć się z Walczakiem. Zatrzymał przejeżdżającą właśnie taksówkę.

W gabinecie Walczaka zastał kapitana Kamińskiego z Komendy Ruchu. Obaj stali pochyleni nad stołem, na którym leżały powiększone fotografie, szkice sytuacyjne i plan miasta.

—No i co nowego?

—Niewiele — odparł Downar i zbliżył się do stołu. — Co tak studiujecie?

Walczak przegarnął palcami zwichrzoną czuprynę.

—No... zastanawiamy się nad tym wszystkim z towarzyszem Kamińskim. Rozpatrujemy różne możliwości.

—Przypuszczacie, że to jednak mógł być wypadek?

Kapitan Kamiński skinął głową.

—Właściwie mógł być wypadek. Facet jechał ulicą Statkowskiego od strony elektrociepłowni. Noc była ciemna i deszczowa. Na jeziorze w tym miejscu jest bardzo wąski, drewniany most. Stwierdziliśmy, że lampy przy moście nie paliły się tej nocy. Wóz miał przypuszczalnie dużą szybkość. Trzasnął prawym przednim kołem w słup przy moście, odrzuciło go w bok i władował się do jeziora.

Downar uśmiechnął się sceptycznie.

—Oczywiście, że można przyjąć i taka koncepcję. Wydaje mi się to jednak nie bardzo prawdopodobne. Po pierwsze Wencel nie był młodzieniaszkiem, który popisywałby się brawurową jazdą. Widząc przed sobą jezioro i wąski mostek powinien był zwolnić i to znacznie. Stwierdziliście, że nie był pijany.

—Nie, nie był.

—No, więc właśnie. Jedyne zamroczeniem alkoholowym można by tłumaczyć taką szaloną jazdę. Po drugie — po jakiego diabła pojechał na daleki Czerniaków, a właściwie na Siekierki. Jego siostra mieszka na Wilczej.

—Mógł mieć jakichś przyjaciół na Czerniakowie — zauważył bez przekonania Walczak.

Downar wzruszył ramionami.

—I musiał jechać do nich w nocy? Nie mógł poczekać do rana? Tak mu się śpieszyło? A zresztą, po co mamy się bawić w przypuszczenia? Sekcja zwłok wykaże, czy facet utonął czy został wykończony przed tą kąpielą.

— Czy jesteś przekonany, że sekcja zwłok wyjaśni ci to

wszystko?

Oczywiście. Zmiany anatomiczne u człowieka utopionego są bardzo charakterystyczne. Nie muszę ci chyba tego tłumaczyć.

— Nie musisz — zgodził się Walczak. — Więc według ciebie, jeżeli się okaże, że Wencel nie utonął, to znaczy, że zostało popełnione morderstwo?

— To chyba jasne.

— Niezupełnie. Stefanku, niezupełnie. Nie zapominajmy o tym, że wóz naprzód z całym rozpadem uderzył w słup, a następnie wpadł do wody. A jeżeli Wencel w momencie tego uderzenia o słup wyrznął głową o coś twardego, zabił się i już w charakterze nieboszczyka zagłębił się w jeziorze, to co...? Co ty na to?

Downar z zainteresowaniem spojrzął na przyjaciela.

— To co mówisz nie jest wcale takie głupie...

Nareszcie przekonałeś się o mojej inteligencji! — powiedział z uśmiechem Walczak. — Wiesz co mnie tylko poważnie zastanawia? Ta teczka.

— Jaka znowu teczka?

— W wozie towarzysz Kamiński znalazł skórzaną teczkę z książkami. Leżała na podłodze przy kierownicy.

— A co to za książki?

— O, właśnie. Bardzo słuszne pytanie. Co to za książki? Wszystkie nowiutkie, kupione w którejś z warszawskich księgarni.

— Mógł sobie Wencel kupić książki w ojczystym języku.

— Oczywiście. Tylko, że... Jakie książki kupuje człowiek przyjeżdżający po wielu latach do kraju? Jak ci się zdaje?

— Bo ja wiem. No, chyba jakieś ulubione powieści, czy poezje. Sienkiewicz, Prus, Reymont, może Konopnicka.

— Otóż to — przytaknął Walczak. — To byłoby logiczne. Dawni ulubieni pisarze. Tymczasem w teczce znajdowały się książki z różnych dziedzin. Robiło to takie wrażenie jakby ktoś kupował je zupełnie przypadkowo. Wszystkie były grube i w twardej oprawie.

— A więc chodziło o wagę — powiedział w zamyśleniu Do-

wnar.

Walczak przytaknął z ożywieniem. Na jego zazwyczaj zaróżowionej twarzy pojawiły się dodatkowe rumieńce.

— Niezmiernie mnie cieszy, Stefanku, że chyżo podążasz za tokiem moich myśli. Tak, masz rację, mogło komuś zależeć na wadze tych książek. Nieboszczyk na ogół nie może naciskać gazu i dlatego...

Zadzwonił telefon. Walczak krzyknął niecierpliwie — Halo? — potem słuchał chwilę, powiedział: — Tak, tak, tak. Rozumiem. Dziękuję — i odłożył słuchawkę.

— Mamy już wiadomości z Mediolanu.

— Wiadomości z Mediolanu? — ożywił się Downar.

— Tak. Wszystko się zgadza. Wencel był rzeczywiście detektywem, współpracownikiem prywatnej agencji „Discrezione”. Agencja ta nic nie wie o tym, żeby Wencel otrzymał jakieś zadanie do wykonania na naszym terenie. Nie muszą oczywiście mówić prawdy. Ale mniejsza z tym. Dobrze w każdym razie, że pewne rzeczy zostały sprawdzone.

— Downar wyjął z kieszeni legitymację znalezioną w walizce.

— Załącz to do akt.

— Znalazłeś w hotelu?

— Tak. Wiesz co, Karol? Myślę, że ci w Mediolanie mówią prawdę. To bardzo możliwe, że Wencel chciał jakąś sprawę przeprowadzić na własny rachunek. Po co miał się dzielić z agencją. Po prostu ktoś z jego znajomych dowiedział się, że on wyjeżdża do Polski i przy okazji...

Walczak podrapał się w głowę.

— Ale co on mógł załatwić na Czerniakowie?

— Ba, gdybyśmy to wiedzieli, sprawa byłaby prosta, Tego rodzaju agencje detektywistyczne najczęściej zajmują się śledzeniem niewiernych żon czy mężów. Nie można jednak wykluczyć, że w tym wypadku chodzi o zupełnie coś innego.

— No, to czołem — powiedział Downar. — Nic tu już z wami nie wysiedzę. Pójdę porozmawiać z panią Niewiarowską.

— Z Niewiarowską?

— Tak. Z siostrą Wencla, a poza tym bardzo chciałbym za-

mienić parę słów z młodym panem Niewiarowskim, z siostrzeńcem detektywa z Mediolanu.

Downar pojechał na Wilczą, ale pani Niewiarowskiej nie zastał w domu. Wdał się więc w przyjacielską pogawędkę z dozorcą, od którego dowiedział się, gdzie pracuje Jacek.

ROZDZIAŁ V

Jacek spóźnił się do biura o przeszło godzinę. Był blady i zdenerwowany. Na żarty kolegów dotyczące „szampańsko” spędzonej niedzieli odpowiadał półsłówkami. Wreszcie Łuczycki podszedł do jego biurka i spytał:

—Co się z tobą dzieje? Co ci jest?

—Nic mi nie jest. Daj mi święty spokój.

—Wyglądasz, jakbyś noc spędził w beczce po śledziach.

—Zostaw mnie! Słyszysz?! Zostaw mnie!

Łuczycki wzruszył ramionami i wrócił na swoje miejsce. W tej chwili do pokoju wszedł Jeżewski.

—Panie Jacku, wpłacił pan w sobotę te dziesięć tysięcy?

—W sobotę nie zdążyłem. Wpłaciłem dzisiaj rano.

—Ma pan dowód wpłaty?

—Tak. Proszę.

Za plecami kasjera ukazała się postać wysokiego mężczyzny.

—Chciałbym się widzieć z inżynierem Niewiarowskim. Jacek spojrzał ze zdziwieniem na przybysza.

—To ja jestem.

—Czy mógłbym z panem zamienić parę słów na osobności?

Wyszli na korytarz. Downar pokazał swoją legitymację służbową.

—Muszę z panem porozmawiać. Było by dobrze, żeby tutaj nikt nie wiedział, że pojechaliśmy do Komendy. Niech pan to jakoś dyskretnie załatwi.

—Po co pan chce mnie wieźć do Komendy?

—Powiedziałem, że musimy porozmawiać. No. niech pan nie traci czasu.

Jacek wrócił do pokoju i poprosił Łuczyckiego, żeby zawi-

domił szefa o jego wyjściu. — Powiedz, że bardzo ważne sprawy rodzinne. Bądź taki dobry.

— Powiem, że musiałeś odwiedzić zagranicznego wujaszka.

Downar czekał przy drzwiach. Zeszli razem na dół i wsiedli do samochodu. Jacek z trudem opanowywał drżenia rąk.

— Dlaczego jest pan taki zdenerwowany?

— Nie... nie... właściwie... To znaczy... jestem trochę zaskoczony. Nie wiem dlaczego...?

Niedługo się pan dowie.

Downar poprosił porucznika Kobiełę, żeby wystąpił w roli protokolanta. Pokój był pograżony w półmroku. Ciemnozielone zasłony tamowały drogę wiosennemu słońcu.

— Proszę, niech pan siada, panie inżynierze.

Przez dłuższą chwilę panowała zupełna cisza. Słysząc tylko odległe kroki na korytarzu. Jacek był oraz bardziej niespokojny.

— Pan się nazywa Jacek Niewiarowski.

— Tak.

— Data urodzenia?

— Dwudziesty kwietnia tysiąc dziewięćset czterdzieści cztery.

Mieszka pan z matką na Wilczej?

— Tak.

— A ojciec?

— Ojciec zginął w czasie okupacji. Rozstrzelali go na Pawia-

ku.

— Pan skończył politechnikę w Warszawie?

— Tak.

— Niedawno przyjechał do Warszawy z zagranicy pański krewny.

— Tak. To mój wuj. Cioteczny brat mojej matki.

— Jak się ułożyły pańskie stosunki z wujaszkiem?

Jacek uśmiechnął się niewyraźnie.

— No cóż... właściwie prawie się nie znamy. Wie pan, jak to jest. Ja wuja zobaczyłem po raz pierwszy. Ale bardzo przyjemnie się do mnie odniósł. Dopiero od kilku dni jest w Warszawie.

— Nie zamieszkał u państwa?

—Nie. Mama bardzo go prosiła, ale wuj powiedział, że woli mieszkać w hotelu. Większa swoboda. Nie chciał nas krępować.

—Czy przedtem korespondował pan z wujem?

—Bardzo rzadko. Kiedyś, jeszcze, jak byłem w szkole mama zmusiła mnie, żebym napisał parę słów.

—Ale matka pańska pisywała do wuja?

—O. tak. Mama była z nim w stałym kontakcie. Od czasu do czasu przysyłał z Mediolanu paczki. Ale czy można wiedzieć dlaczego pan mnie wypytuje o to wszystko?

Downar utkwiał wzrok w ciemnych oczach młodego inżyniera.

—Wypytuję pana o to wszystko dlatego, że pański wuj nie żyje.

—Jacek zbladł gwałtownie.

—Jak to nie żyje?

—Zwyczajnie Nie żyje.

—Rany boskie! Co się stało?

—Wypadek samochodowy.

—Niemożliwe. Wuj... Przecież on jeździł przesadnie ostrożnie.

—Skąd pan wie, że wuj pański jeździł przesadnie ostrożnie? — spytał Downar, nie spuszczać oczu z twarzy młodego człowieka.

—Jeździłem z nim.

—Gdzie?

—Po mieście.

—Ale konkretnie gdzie?

—Tak sobie na spacer.

—A wczoraj też pan jeździł z wujaszkiem?

Jacek zawahał się, ale zaledwie ułamek sekundy.

— Tak. Jeździłem.

—Kiedy?

—Wieczorem.

—Gdzieście jeździli?

—Na przejażdżkę.

—Po Warszawie?

—Tak.

Downara zaczynał ogarniać gniew. Wymijające odpowiedzi tego chłopaka rozdrażniały go. Wiedział jednak, że musi zachować zupełny spokój.

—Podobno pan wczoraj od rana usiłował skontaktować się z wujom. Kilkakrotnie był pan w Grand Hotelu i pytał pan o niego.

W oczach Jacka pojawił się niepokój.

—Tak, to prawda. Chciałem się zobaczyć z wujaszkiem.

—Musiał pan mieć do niego jakiś pilny interes.

—Nie, skądże. Tak, po prostu chciałem się zobaczyć, porozmawiać.

—I aż kilkakrotnie pan chodził do hotelu?

—Mieszkam niedaleko.

—I rzeczywiście nie miał pan żadnego konkretnego interesu do pana Wencla?

—Nie, absolutnie nie. Cóż bym mógł mieć za interes?

—No, tak. — Downar zapalił papierosa i przez chwilę wpastrywał się w dogasającą w popielniczce zapałkę. — No, tak — powtórzył — Przypadkowo byłem świadkiem pańskiej rozmowy z kasjerem w biurze projektów. Czy mógłby mi pan powiedzieć, jakie to dziesięć tysięcy miał pan wpłacić w sobotę do banku?

Twarz Jacka stała się purpurowy.

—Miałem złożyć do banku sprawozdanie z działalności inwestycyjnej przedsiębiorstwa — wyjąkał z trudem — Kasjer otrzymał wiadomość o chorobie żony.

Musiał zaraz jechać do Zalesia. Prosił mnie, żebym przy okazji wpłacił do banku pozostałość z kasy.

—Ale pan w sobotę nie wpłacił do banku tych pieniędzy?

—Nie. Nie zdążyłem. Załatwiałem coś jeszcze na mieście i nie zorientowałem się, że to już tak późno. Kiedy przyszedłem do banku, bank był nieczynny.

—Ale dzisiaj pan wpłacił?

—Oczywiście. Jakże mogło by być inaczej?

—Tak, tak... Niech mi pan powie, panie inżynierze, jakimi banknotami wpłacał pan te dziesięć tysięcy?

Policzki Jacka znowu pokryły się kredową bledością.

—Jakimi banknotami? — powtórzył niepewnie.

—Tak. Chciałbym wiedzieć, czy to były setki, pięćsetki czy pięćdziesiątki.

—Różne były banknoty. Nie pamiętam.

—Nawet mniej więcej pan sobie nie przypomina?

—Nie pamiętam. Naprawdę.

—A w jakich banknotach otrzymał pan te pieniądze w sobotę od kasjera?

—Nie wiem. Nie widziałem. Były w kopercie.

—Jak to? I nie przeliczył pan pieniędzy? No, jakżeż tak?

Jacek był coraz bardziej zmieszany.

—Przeliczyłem, oczywiście. Ale nie pamiętam.

Downar zgasił papierosa.

—Krótką ma pan pamięć, panie inżynierze, stanowczo za krótką, jak na takiego młodego człowieka. Być może, że kasjer będzie lepiej pamiętał. Mniejsza z tym zresztą. Chciałbym jeszcze pana zapytać, gdzieście jeździli wczoraj z panem Wenclem?

—Po mieście.

—Do diabła! — krzyknął zniecierpliwiony Downar, uderzając pięścią w stół — Ja chcę wiedzieć konkretnie, gdzie. Niech pan tu sobie nie urządza żartów. Wencel nie żyje a ja prowadzę śledztwo w tej sprawie. Rozumie pan?

Jacek z widocznym trudem przełknął ślinę.

—Oczywiście, że rozumiem. Co pan chce, żebym panu powiedział?

Downar już zapanował nad chwilowym wzburzeniem. Głos jego zabrzmiał spokojnie, pranie łagodnie.

—Proszę mi zrealizować możliwie dokładnie wszystko to, co dotyczy pańskich kontaktów z panem Wenclem w dniu wczorajszym.

—No, więc tak... — zaczął mówić Jacek, wytarłszy sobie chusteczką spocone dłonie — Więc z rana parę razy byłem w Grand Hotelu, żeby się zobaczyć z wujem.

—I nie zastał go pan.

—Nie zastałem. Powiedziano mi w recepcji, że wuj wcześniej wyjechał na miasto. Przyszedłem więc po południu. Wuj już wtedy był w swoim numerze.

—O której to było godzinie?

—Dokładnie nie pamiętam. Ale chyba gdzieś między piątą a szóstą.

—A potem co się stało?

—Potem poszedłem do pokoju wuja. Rozmawialiśmy...

— Na jaki temat?

Jacek bardzo zdenerwowany zaczął sobie wyłamywać palce u rąk, aż trzeszczały stawy.

—Tak w ogóle... ogólnie o różnych sprawach. Downar uważnie obserwował młodego człowieka.

—Czy może były poruszane jakieś sprawy finansowe?

— No ... owszem ... To znaczy ... Wuj pytał mnie, jak mi się powodzi... ile zarabiam ...

—Czy prosił pan wuja o pożyczkę?

—Nie. Dlaczego miałbym prosić?

—Zazwyczaj prosi się o pożyczkę w momencie, kiedy potrzebuje się pieniędzy.

—Nie, nie prosiłem wuja o pożyczkę.

—Czy jest pan tego zupełnie pewien, panie inżynierze?

—No, chyba ja najlepiej wiem, czy prosiłem wuja o pożyczkę, czy nie.

Downar pokiwał głową. Jego pociągła twarz wyrażała poważne skupienie.

—Tak by się zdawało. Ja mam jednak co do tego wątpliwości. Pan ma dość słabą pamięć.

Jacek nagle jakby się przeistoczył w innego człowieka. Zmienił taktykę. Zniknęły wszystkie objawy zdenerwowania. Poprawił się na krześle, założył nogę na nogę i zapalił papierosa.

— Nie bardzo rozumiem do czego pan właściwie zmierza, panie majorze — powiedział może trochę nazbyt swobodnym tonem.

Downar uśmiechnął się nieznacznie. Prymitywna gra tego chłopaka zaczynała go bawić.

—Ja zawsze zmierzam do wykrycia prawdy, która bardzo często bywa niewygodna, krępująca, a nawet zgubna dla moich bliźnich. Może nie jest to najprzyjemniejsze zajęcie, ale ktoś to musi robić w dobrze zorganizowanym społeczeństwie.

—Obawiam arię panie majorze, że idąc tą drogą nie wykryje pan prawdy. Mam wrażenie, że pan był na filmie „Jak zabić bogatego wujka?” i że ten scenariusz chce pan dopasować do mojej osoby. Traci pan czas.

—Nie przypominam sobie, żebym twierdził, iż pan Wencel został zamordowany.

—Wprost pan tego nie powiedział, ale z tych pańskich „podchwytliwych” pytań nie trudno się domyśleć. że...

—Niepotrzebnie się pan wysila na ironiczny ton.

— Jeżeli pan chce, to mogę panu powiedzieć, co ja myślę o tej sprawie i o naszej rozmowie.

— Proszę bardzo. To interesujące.

—Otóż nie mam wątpliwości co do tego, że pan kłamie.

Jacek z pozornym lekceważeniem wrzucił ramionami.

—To jest najzupełniej gołosłowne stwierdzenie. Musi pan tego dowieść, że ja kłamie.

Downar zaczął zastanawiać się nad tym, w jakim momencie popełnił psychologiczny błąd. Na początku przesłuchania chłopak był wystraszony, zdenerwowany, miękki jak wosk. W trakcie rozmowy zaś nagle zaszła w nim widoczna zmiana, uspokoił się, okrzepił, stał się zaczepny, nawet trochę arogancki. Trudno było odgadnąć, co spowodowało tę niespodziewaną metamorfozę.

Downar zły był na siebie, że nie potrafił należycie wykorzystać pierwszego momentu zaskoczenia. „A może nie było żadnego zaskoczenia?” — myślał niespokojnie. Może od początku to jest sprytnie prowadzona gra? Może ten młody inżynierek nie jest wcale taki naiwny, za jakiego chciałby uchodzić?”

— Pragnę panu wyjaśnić, jakie fakty budzą we mnie poważne wątpliwości.

—Słucham?

—Otóż, mówiąc szczerze, nie wierzę w to, żeby pan kilkakrotnie przychodził do hotelu, wiedziony tylko i wyłącznie nowo narodzonymi uczuciami rodzinnymi. Z takim uporem nie poszukuje się zupełnie, właściwie obcego wujaszka, jeżeli nie istnieją jakieś bardzo ważne powody po temu. Następnie odnośzę wrażenie, że rozmowa pańska z wujaszkiem dotyczyła kon-

kretnych spraw finansowych, to znaczy, że pan prosił o pożyczkę dość znacznej wysokości. Sprawa ta kojarzy mi się nieodparcie z zanikiem pańskiej pamięci w związku z tymi banknotami, które pan wpłacił dziś rano do banku. Krótko mówiąc wydaje mi się, że wszystko to wyglądało mniej więcej w sposób następujący: W sobotę nie zdążył pan wpłacić do banku tych dziesięciu tysięcy. Pieniążki przepuścił pan wieczorem i w nocy w towarzystwie jakichś kociaków. Być może, że został pan przy tej okazji okradziony. Tak czy inaczej, znalazł się pan w bardzo przykrej i trudnej sytuacji. Groziła panu sprawa prokuratora. Nie jest rzeczą prostą zdobyć przez niedzielę dziesięć tysięcy, nawet przez parę niedziel nie każdy może wejść w posiadanie takiej sumy. Jediną deską ratunku był zagraniczny wujaszek. Dlatego tak usilnie starał się pan z nim skontaktować. Czy potwierdza pan prawdziwość tej wersji?

—Niczego nie potwierdzam — powiedział stanowczo Jacek — Może pan sobie dowolnie fantazjować.

Downar bezradnym ruchem rozłożył ręce.

—No cóż... Jak pan uważa. Ostrzegam pana tylko, panie inżynierze, że, w wypadku gdyby pan musiał zmienić swoje zeznania, może to być dla pana niekorzystne. Ja natychmiast po naszej rozmowie skontaktuję się z Biurem Projektów, w którym pan pracuje. Mam nadzieję, że kasjer będzie pamiętał, w jakich banknotach dał panu te dziesięć tysięcy. Może i kasjer w banku będzie miał dobrą pamięć, a może nawet zapisał te banknoty.

Jacek milczał. Przygryzał zębami dolną wargę.

—Spróbuję ustalić pewne fakty — mówił dalej Downar — Porozmawiam z pańską matką...

—Niech pan da spokój mojej matce.

—Musze się z nią porozumieć. To może mi wyjaśnić niektóre sprawy.

— Niech pan da spokój mojej matce — powtórzył ponuro Jacek.

Downar wyczuł momentalnie, że strzał był celny.

Żałuję bardzo, ale nie mogę pójść panu w tym wypadku na rękę. Pan nie chce ze mną szczerze porozmawiać, więc, niestety, będę zmuszony niepokoić pańską matkę.

Przez chwilę Jacek milczał. Nie mógł powziąć decyzji. Wreszcie jednak wybuchnął.

—Więc dobrze. Niech już będzie. Powiem. Przegrałem tę forszę.

—W karty?

—W pokera.

—Z kim pan sobie tak pograł?

—Z kolegami!

—Co to za koledzy?

—Tacy moi przyjaciele.

—I przyjaciele tak pana orznęli?

—To znaczy ... Właściwie tylko Andrzej jest moim przyjacielem a tamci dwaj to tacy znajomi...

—Nazwisko tego Andrzeja?

—Popiel, Andrzej Popiel.

— A nazwiska tamtych?

—Ryszard Karwacz i Henryk Madejski.

Downar zanotował na kartce papieru nazwiska adresy amatorów pokera.

—Gdzieście grali?

— U Madejskiego.

— I przegrał pan te dziesięć tysięcy.

— Tak. Najprzód dużo wygrałem. Chciałem przestać, ale nie dali mi odejść. Zmusili mnie do tego, żebym grał dalej...

Downar pokiwał głową.

—Normalnie. Co pan zrobił potem, to znaczy po tej partyjce?

—Poszedłem z Andrzejem do „Bristolu”

—Piliście wódkę?

—Tak, ale nie dużo.

—No i w niedzielę rano starał się pan skontaktować z wujem, żeby go prosić o pomoc.

— Tak

—O której to było godzinie?

—Okolo szóstej wieczorem.

—A jak pan dostał te dolary, to co? Poszedł pan do domu?

— Nie. Wuj zaproponował mi przejażdżkę samochodem.

Miał coś do załatwienia w Konstancinie. Pojechaliśmy.

—I cóż tam wuj załatwił w tym Konstancinie?

—Nie wiem. Ja zczekałem w wozie.

—A wuj?

— Wyszedł do jakiejś willi.

— Nie wymienił nazwiska, nie powiedział do kogo idzie?

—Nie.

— A czy pan nie zainteresował się tym, czyja to willa?

—Nie. Co mnie to obchodzą.

—A trafiłby pan tam?

Jacek wzruszył ramionami.

— Bo ja wiem. Chyba bym trafił. Elegancka willa z tarasem, ogrodzona siatką. W ogrodzie dale, dużo dali.

—Jest pan pewien, że to dale?

—Tak. Oczywiście, że jestem pewien. Widziałem.

—Skąd pan się tak dobrze zna na kwiatach?

—Moja matka kocha się w kwiatach. Nauczyła mnie.

—Elegancka willa z tarasem, w ogrodzie dale — powtórzył w zamyśleniu Downar.

—Tak.

—Jakiego koloru ta willa?

—Nie wiem. Było ciemno. Ale zdaje mi się, że i biała albo kremowa.

—Długo pan czekał na wuja?

—Niedługo. Ze dwadzieścia minut, może pół godziny.

—A potem?

—A potem wróciliśmy do Warszawy i pojechaliśmy na Czerniaków.

—Na Czerniaków?

—Tak to znaczy właściwie na Siekierki.

—Czy wuj powiedział panu po co tam jedziecie?

—Powiedział, że ma coś do załatwienia.

—Na Siekierkach?

—Właśnie. Sam się zdziwiłem, czego wuj może szukać na Siekierkach. Ale się nie dopytywałem. Co mnie to ostatecznie obchodzi.

—A na Siekierkach to gdzieście się zatrzymali? Pamięta pan

może nazwę ulicy?

—Wuj zaparkował wóz na rogu Koszykarskiej. Początkowo chciał, żebym zaczekał na niego, ale potem się rozmyślił. Mówił, że to może dłużej potrwać żebym wracał do miasta. Powiedziałem, że pojedę do kolegi na Żoliborz.

—Do jakiego kolegi?

—Do Andrzeja Popiela.

—A te sto dolarów, to w którym momencie dostał pan od wujaszka?

—O, to jeszcze w hotelu.

—Czy sądzi pan, że wuj miał coś do załatwienia na Koszykarskiej?

—Raczej nie. Zamknął starannie wóz i poszedł. Wyglądało na to, że nie chciał, żeby ktoś widział, że przyjechał samochodem.

Dow nar wyjął z szuflady plan miasta.

—Proszę, niech mi pan pokaże, gdzie mniej więcej zatrzymaliście się i w którą stronę poszedł pański wujaszek.

Jacek nachylił się nad planem.

—O tutaj, na rogu Koszykarskiej, a wuj poszedł w tym kierunku.

—To znaczy w kierunku Nadrzecznej, tak?

—Tak.

—Ale to nie wyklucza, że miał coś do załatwienia na Koszykarskiej, tylko dalej.

—Oczywiście.

Downar przez chwilę patrzył na plan Warszawry, coś na nim zakreślił czerwonym ołówkiem i znowu spytał:

—Więc pan, pożegnawszy się z wujem, pojechał do Andrzeja Popiela na Żoliborz?

—Tak.

—O której mniej więcej godzinie pan do niego przyjechał?

—Dokładnie nie pamiętam, ale chyba było koło jedenastej.

—I długo pan był u przyjaciela?

—Dosyć długo. Wyszedłem od niego po trzeciej nad ranem.

- Co pan tam robił tyle czasu?
- Trochę piliśmy, a potem tańczyliśmy.
- Były dziewczęta?
- Tak, dwie.
- Znał je pan przedtem?
- Nie. Poznałem je dopiero u Andrzeja wczoraj wieczorem.

— Czy wie pan jak się nazywają?
— Nie skądże. Jeżeli chodzi o dziewczęta, to nazwiska nie są ważne. Zapamiętuje się raczej imiona.

— A pan zapamiętał imiona tych dwóch.

— Tak. Sabina i Luiza. Ale czy to ich prawdziwe imiona, to nie wiem.

— Więc u Popiela na Żoliborzu siedział pan do trzeciej rano?

— Tak. Wyszedłem od niego jakieś piętnaście po trzeciej i pojechałem taksówką do domu.

— A można wiedzieć po co pan w ogóle jeździł do Popiela?

— Tak sobie.

— A może pan chciał, żeby on panu pomógł w sprzedaży tych stu dolarów?

Jacek zmieszał się trochę.

— No ... przy okazji zapytałem go ...

— A on co na to?

— Kupił ode m n i e ... To znaczy nie kupił, tylko pożyczył mi dziesięć tysięcy pod zastaw tych dolarów — wyjaśnił pospiesznie Jacek,

— To ten pański przyjaciel ma sporo pieniędzy.

— No tak ... Czasami.

— Od Popiela pojechał pan do domu?

— Tak. Już powiedziałem.

— Nigdzie pan się nie zatrzymywał po drodze?

— Nie. Skądże. Była trzecia nad ranem.

— Czy pańska matka słyszała, jak pan wrócił

— Chyba nie. Spała.

Downar wstał i przeszedł się po pokoju.

—Muszę pana na chwilę przeprosić. Zostanie pan tu w towarzystwie kolegi. Poruczniku, porozmawiajcie sobie z panem inżynierem. Ja niedługo wrócę.

—Czy nie mógłbym pojechać do biura? — spytał Jacek.

— Na razie jeszcze nie. Będzie mi pan potrzebny.

Downar wsiadł do wozu i pojechał na Żoliborz. — Jedźcie jak możecie najszybciej — powiedział.

Sikora skinął głową.

—Dobra. Już się robi. Może włączymy syrenę?

—Nie, nie trzeba.

Zatrzymali się na Placu Komuny Paryskiej. Na Mickiewicza Downar poszedł piechotą.

Trzecie piętro. Drzwi pomalowane na niebiesko. Zaspany, schrypnięty głos spytał: — Kto tam?

—Otwierać! Milicja.

Zaległo głuche milczenie, po czym bez pośpiechu, jak by niechętnie zgrzytnęły zamki i ukazał się Andrzej Popiel w czarnej pidżamie.

—Co się stało? O co chodzi? — spytał, opanowując z trudem ziewnięcie. Nie okazywał najmniejszego zdenerwowania.

Downar wyjął legitymację.

—Muszę z panem porozmawiać.

—Teraz? Zaraz? — mruknął zaspany młodzieniec. — Może przyjdę do pana jutro?

—Żałuję bardzo, ale sprawa jest pilna.

—W takim razie proszę niech pan wejdzie.

Włożył ciepły szlafrok. Uporządkował trochę zwichrzoną czuprynę i zaprosił gościa do pokoju. Panował tu nieprawdopodobny zaduch.

Wyziewy alkoholowe w połączeniu z dymem tytoniowym tworzyły zabójczą mieszankę.

—Przepraszam, że przyjmuję pana w takim stroju — tłumaczył się Popiel — Ale bardzo źle się czuję, zapewne złapałem grypę. Dlatego leżę. Mam chyba temperaturę. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby upewnić Downara, że to nie grypa a monstrualny kac.

— Może pan uchyli trochę okno— zaproponował — chyba to

panu nie zaszkodzi.

Młody człowiek posłusznie spełnił to życzenie, a następnie pytająco spojrział na nieoczekiwanego gościa.

—Czym mogę panu służyć?

—Paroma nulową rozmową — odparł Downar, siając na krześle.

—Czy zna pan Jacka Niewiarowskiego?

—Oczywiście. To mój kolega, przyjaciel... Chodziliśmy razem do szkoły a później na politechnikę. Tylko, że on skończył a ja nie.

Dostarcza mi pan niesłychanie szczegółowych informacji — uśmiechnął się Downar — To bardzo (przejmie z pańskiej strony).

W oczach Popiela pojawił się niepokój nie był pewien czy ten milicjant mówi poważnie, czy też...

—Udzielanie szczegółowych informacji przedstawicielowi Władzy uważam za swój obowiązek.

—To bardzo wzniosłe zasady. Mam nadzieję, że kierując się właśnie tymi zasadami dopomoże mi pan wyjaśnić pewne sprawy.

Młody człowiek otulił się szczerzej szlafrokiem, jakby nagle zrobiło mu się chłodno.

—Służę panu.

—Kiedy po raz ostatni widział pan Jacka Niewiarowskiego?

—W sobotę. Byliśmy razem w „Bristolu” na kolacji.

—A wczoraj pan się z nim nie widział?

—Nie.

— To dziwne. Niewiarowski twierdzi, że był a pana wczoraj i siedział do trzeciej nad ranem.

Na twarzy Popiela odmalowało się szczerze zdumienie.

—Nic nie rozumiem. W sobotę wieczorem wpadliśmy z Jackiem do „Bristolu” na jedną wódkę. Potem on pojechał do domu i od tej pory nie widziałem go.

—Więc pan jest zupełnie pewien, że ubiegłej nocy; nie było u pana pańskiego przyjaciela?

—Ależ oczywiście, że jestem pewien. Zresztą dlaczego miałbym mówić nieprawdę? Nie widzę żadnego powodu...

— Tak. Naturalnie. Dlaczegoż pan miałby mówić nieprawdę? — powtórzył Downar. — Niewiarowski wspominał mi, że pan kupił od niego wczoraj wieczorem sto dolarów, które on otrzymał od swojego wuja.

— Co ten Jacek bredzi?! — wykrzyknął Popiel. — Zwariował czy co? Jakie dolary?

— Czy pan wiedział o przejeździe tego wujaszka z zagranicy?

— Oczywiście, że wiedziałem. Jacek mi o tym donosił fakcie opowiadał. Ale żadnych dolarów nie widziałem. Zresztą nie miałbym nawet pieniędzy, żeby kupić sto dolarów.

— Szczególnie po czarnogieldowym kursie. A propos. Można wiedzieć, gdzie pan pracuje?

Popiel zrobił niewyraźną minę.

— W tej chwili jestem bez pracy. Właśnie szukam czegoś odpowiedniego.

— A z czego pan żyje?

— Z takich różnych dorywczych zarobków, z oszczędności.

— Jakiego rodzaju są te „różne”, „dorywcze” zarobki?

— No... prace zlecone. Trudno mi w tej chwili tak pana we wszystkie moje sprawy wtajemniczać.

— Tak, tak, rozumiem — zgodził się bez sprzeciwu Downar. — Pragnę pana jeszcze zapytać, czy wczoraj późnym wieczorem miał pan u siebie gości?

— Gości? Nie, nie było u mnie nikogo. Zresztą nie mogłem mieć gości z tej prostej przyczyny, że nie było mnie w domu.

— Nie było pana w domu?

— Nie. Wróciłem dopiero około szóstej rano.

— A gdzie pan przebywał całą noc?

Popiel uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— To jest bardzo niedyskretne pytanie. Niestety nie mogę na nie odpowiedzieć. Kobieta, la femme. Pan rozumie?

— I nie chce pan zdradzić nazwiska tej pani, u której spędził pan tę noc?

— Nie mogę. Jestem gentelmanem.

— Ale gdyby pan był zmuszony okolicznościami...?

— Nie rozumiem. Jakież to mogłyby być okoliczności?

— No... na przykład, gdyby potrzebne było panu alibi.

— Alibi? Ja miałbym potrzebować alibi? Ależ, proszę pana ...

— Nie, nie, niech się pan nie denerwuje — uspokoił go Downar. — Ja tak tylko przykładowo.

Popiel wstał z tapczana, na którym dotychczas siedział i podszedł do okna.

— Dotychczas nie rozumiem pańskiej wizyty — powiedział z odcieniem zniecierpliwienia w głosie. — Czego pan właściwie chce ode mnie?

Downar zwrócił ku mówiącemu chłodne, twarde spojrzenie.

— Pański przyjaciel, Jacek Niewiarowski, ma pewne kłopoty. Przyszedłem do pana, żeby sprawdzić jego alibi. Z pańskich słów wynika, że nie był wczoraj wieczorem u pana.

— Oczywiście, że nie był.

— Niech sobie pan dobrze przypomni — nalegał Downar. — Może jednak coś się panu pomyliło. To, co pan mówi, jest bardzo ważne, obciąża pańskiego przyjaciela.

— Nie rozumiem.

— No tak. Niewiarowski twierdzi, że był u pana w nocy i wyszedł o trzeciej nad ranem, pan zaś mówi, że nie było pana całą noc w domu. Zeznania są sprzeczne.

Popiel wzruszył ramionami.

— Doprawdy nie pojmuję, dlaczego Jacek zmyśla takie historie. A co on właściwie takiego zmalował?

Downar nie uważał za stosowne odpowiedzieć na to pytanie. Zapalił papierosa i przez chwilę przyglądał się młodemu człowiekowi. „Bardzo przystojny” — pomyślał. — „Może mieć powodzenie u kobiet”.

— Niezmiernie mi przykro, ale, ponieważ sprawa jest rze-

czywiście poważna, muszę jednak sprawdzić pańskie alibi, muszę mieć całkowitą pewność, że pan mówi prawdę.

—Ze nie było mnie w domu?

—Tak.

—Mówiłem przecież panu, że byłem u mojej przyjaciółki. Jest to kobieta zamężna, której zależy na opinii. Nie mogę jej skompromitować.

—Zapewniam pana. że załatwię to dyskretnie.

—Nie, nie. nie mogę. W żaden sposób. Przecież pan powiedział, że to żarty, że ja... niepotrzebne mi jest alibi, że to tak tylko przykładowo...

—To wszystko prawda — przyznał Downar — ale zmieniłem zdanie. To, co pan mówi, jest tak różne od tego, co mówi Nie-wiarowski, że muszę stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, który z was kłamie.

—Ja nie mam żadnego powodu, żeby kłamać.

—Jestem głęboko przekonany, że tak jest. Tym niemniej jednak niezbędne mi jest potwierdzenie pańskich słów.

—A jeśli odmówię?

Downar rozłożył ręce.

—No cóż... To panu wolno i ja nie mogę pana zmusić. Pragnę pana tylko uprzedzić, że to pociągnie za sobą różne może niezbyt przyjemne i wygodne konsekwencje. Będzie pan wzywany do Komendy, będzie pan parokrotnie przesłuchiwany. Wcale też nie jestem pewien, czy prędzej czy później i tak nie będzie pan musiał zdradzić nazwiska tej pani, u której pan spędził noc. Sprawa jest, jak to już powiedziałem, poważna i skomplikowana, a pańskie zeznania posianą decydujące znaczenie.

—Przekonał mnie pan — powiedział Popiel i wrócił na tapczan. — Ta pani, u której spędziłem dzisiejszą noc, to Wanda Smorzeńska.

—Żona tego literata?

—Tak.

—Ależ on chyba ma ze siedemdziesiąt lat.

—Coś koło tego. Jest starszy od żony o przeszło czterdzieści lat.

—Odważny staruszek. Zapewne w tej chwili nie ma go w

Warszawie?

—Nie. Wyjechał na spotkanie z czytelnikami.

—Czy może mi pan podać adres?

—Oczywiście.

Downar zapisał nazwisko i adres w notesie. Wstał.

—Dziękuję panu za informacje i przepraszam, że przeszkodziłem w drzemce. Nie sądziłem jednak, że pan tak pracowicie spędził noc. Do widzenia.

Popiel uklonił się uprzejmie.

—Moje uszanowanie. Miło mi było poznać pana.

Schodząc po schodach. Downar żałował, że nie wziął sobie kogoś do pomocy. Przydałby mu się teraz chociażby sierżant Pakuła.

Pani Wanda Smorzeńska przyjęła gościa w pokoju swojego męża. Półki z książkami zakrywały nieomal wszystkie ściany. Na środku ciężkie, dębowe biurko, klubowe fotele, pokryte sfałtgowaną już mocno skórą, a na podłodze dywan, pamiętający zapewne czasy; świetności rodziny Smorzeńskich.

Wskazała fotel.

—Proszę, niech pan zechce usiąść.

Downar jednak przysunął sobie krzesło. Wiedział z doświadczenia, jak zdradliwe bywają te stare, głębokie klubowe fotele. Po ulokowaniu srię w takim przepastnym meblu, posiadającym kilkudziesięcioletnią tradycję senności i rozleniwienia, nie sposób zmusić umysł do nieco żwawszej działalności. Zwykle krzesło jest o wiele bardziej mobilizujące.

—Proszę mi wybaczyć moje niespodziewane najście, ale prowadzę obecnie bardzo poważną sprawę i zmuszony byłem skontaktować się z panią.

—Ależ nic nie szkodzi. — Pośpiesznie zapewniła pani Smorzeńska. — Jeżeli tylko mogę być panu w czymś pomocną... Przyznaję, że pańska wizyta mnie ekscytuje. Przepadam za po-

wieściami kryminalnymi, a jeszcze nigdy dotychczas nie miałam okazji rozmawiać z oficerem prowadzącym śledztwo.

—Obawiam się, że panią rozczaruję — uśmiechnął się Downar. — Praca śledcza w życiu jest o wiele mniej atrakcyjna aniżeli w powieściach, filmach i „kobrach”. Przycho-
dzą do pani w ściśle poufnej, a nawet drażliwej sprawie.

—Proszę, niech pan mówi.

—Widzi pani... nigdy bym się nie ośmielił poruszać z panią tego tematu, ale, jak wspomniałem, sprawa, którą obecnie prowadzę, jest poważna. Istnieje przypuszczenie, iż zostało popełnione morderstwo. Czy pani zna pewnego młodego człowieka, który nazywa się Andrzej Popiel.

Twarz Smorzeńskiej spoważniała nagle, Downarowi jednak wydało się, że reakcja ta nie jest zupełnie szczerą. Odnosił takie wrażenie, jak gdyby piękna pani była przygotowana na to pytanie.

—Znam Andrzeja Popiela — powiedziała wolno.

—Czy jest pani z nim zaprzyjaźniona?

—Nie bardzo wiem, co pan ma na myśli?

—Wobec tego sformułuję pytanie bardziej konkretnie. Czy Andrzej Popiel jest pani intymnym przyjacielem?

Ciemne brwi ściągnęły się gwałtownie nad niebieskimi oczami, które w tej chwili stały się prawie czarne z gniewu.

—Wydaje mi się, że nawet oficer prowadzący śledztwo nie ma prawa zadawać tego rodzaju pytań kobiecie z towarzystwa. Może pan zechce opuścić mój dom.

Słowa te nie wywarły na Downarze większego wrażenia. Powiedział spokojnie:

— To, że pani w tej chwili wyrzuci mnie za drzwi, niczego nie zmieni. Otrzyma pani oficjalne wezwanie do Komendy, gdzie moi koledzy będą zadawać pani te same niedyskretne pytania. Przyjeżdżając osobiście, pragnąłem oszczędzić pani przykrości i sprawę załatwić jak najdyskretniej. Jeżeli jednak pani woli inaczej...

Poruszyła się niecierpliwie i zapaliła papierosa.

—O co panu właściwie chodzi?

—Pragnę tylko, aby pani potwierdziła, że Andrzej Popiel

jest pani przyjacielem.

—Jak to „potwierdziła”? Więc pan wie...?

—On sam mi to powiedział.

—Cham.

—Och, nie używajmy mocnych wyrażań, proszę pani. Moglibyśmy za daleko zajechać. Bywają w życiu sytuacje, kiedy, niestety, mężczyzna nie może być stuprocentowym gentlemannem.

—No więc dobrze. Andrzej jest moim kochankiem. To znaczy był. To się raz na zawsze skończyło. Niech pan jednak zbyt surowo nie ocenia mojego postępowania. Mój mąż jest starym człowiekiem i doszliśmy do porozumienia, na mocy którego...

Downar przerwał jej ruchem ręki.

—To mnie nie interesuje. To są pani prywatne sprawy, których ja nie muszę znać. Przyszedłem tu tylko po to, żeby ustalić alibi.

—Ustalić alibi?

—Tak. Pragnę ustalić alibi Andrzeja Popiela. Czy to prawda, że ubiegłą noc spędził on u pani?

Skinęła głową.

—Tak.

—O której przyszedł do pani wczoraj wieczorem?

—Parę minut po dziewiątej.

—A o której panią pożegnał?

—Dzisiaj około szóstej rano.

—A czy pani zna Jacka Niewiarowskiego?

— Nie, nie znam go. Słyszałam tylko o nim od Andrzeja

Downar uznał rozmowę za zakończoną. Przeprosił piękną panią Smorzeńską, zapewnił ją, że może polegać na jego całkowitej dyskrecji i wyraził nadzieję, że nie czuje do niego żalu. Pożegnała go z chłodną rezerwą. O nic nie prosiła.

Wolno schodził po schodach. Sprawa komplikowała się coraz bardziej. Nie miał jasnego obrazu sytuacji, chciał go nabrać, ale kto i dlaczego?

Dozorca był mężczyzną niewielkiego wzrostu, o twarzy podłużnej, szarej, jakby bezustannie zmartwionej. bezbarwne wargi odsłaniały poślółkę od nikotyny, szerokie zęby. Krótko

przystrzyżone i gładko przylizane włosy wyglądały jak peruka.

Downar pokazał legitymację służbową i poczęstowawszy smutnego opiekuna domowego papierosem zapytał.

— O której pan otwiera zazwyczaj bramę?

— O szóstej, czasem wcześniej — zabrzmiała odpowiedź wypowiedziana głębokim basem, którego nikt by się nie spodziewał po tym drobnym, niepozornym człowieku.

— A dzisiaj o której pan otworzył bramę?

— Koło szóstej.

— Czy pan może zna z widzenia takiego wysokiego blondyna? Młody człowiek przystojny, elegancki,

— Mówi pan o tym, co tu przychodzi do Smorzeńskiej?

— O właśnie. Widuje go pan?

— No pewnie, że go widuję. Dzisiaj go nawet widziałem.

— O której godzinie?

— Zaraz jak tylko bramę otworzyłem. Była już pewnie szósta.

— Więc widział pan tego młodzieńca dzisiaj o szóstej rano? — spytał jeszcze raz Downar.

— No przecież mówię, że go widziałem.

Downar pożegnał zgorzkniałego dozorcę i wrócił do samochodu.

— Do Komendy — powiedział, siadając koło Sikory.

W Komendzie w hallu natknął się w drzwiach na porucznika Grabowskiego.

— Walczak was szuka od godziny.

— Czego chce?

— Nie wiem, ale chyba coś pilnego.

Downar pobiegł na pierwsze piętro. W pokoju Karola zastał sierżanta Pakułę.

— Gdzie ty się podziewasz, do wszystkich diabłów! — krzyknął Walczak.

— Byłem na mieście.

—Nigdy cię nie ma, jak jesteś potrzebny. Siadaj.

Mam dla ciebie wiadomości.

—Co się stało?

—Siadaj.

Downar usiadł posłusznie i wyjął papierosy.

—Już mam wyniki sekcji — powiedział Wilczak.

—No i..? .

—Tak jak przypuszczałem. Facet nie utonął. Kiedy wpadł do tego bajora, już nie żył.

—Czy istnieje prawdopodobieństwo, że zabił go wstrząs, spowodowany uderzeniem wozu o słup przy moście?

—To mało prawdopodobne. Silny wylew krwi do mózgu na skutek uderzenia w tył głowy, a właściwie w ciemię. W samochodzie nie bardzo jest o co się tak wyróżnić. Teoretycznie niby można, ale doktor Ziemba jest zdania, że ktoś tego faceta trzasnął czymś ciężkim, a potem wepchnął wóz do jeziora.

— O której nastąpił zgon.

— Według opinii doktora Ziemy pomiędzy pierwszą, a trzecią w nocy. To oczywiście w przybliżeniu. Trudność w określeniu dokładniejszego czasu polega na tym że ciało jednak przez kilka godzin pozostawało w wodzie.

— Pomiedzy pierwszą a trzecią — powtórzył Downar i zamyslił się.

—Masz podobno tego Niewiarowskiego u siebie.

—Tak.

— No. to gadaj, jak to wszystko wygląda.

Downar krótko zrelacjonował przebieg przesłuchań, następnie zaś opowiedział o rozmowie z Popielem i z panią Smorzeńską.

Walczak pokiwał głową.

—Tak. Będziemy musieli zatrzymać tego chłopaka. Czy wiesz co u niego w domu znalazł Pakuła?

—Co takiego?

— O tego Schaffhausena.

Downar wyciągnął rękę i wziął z biurka piękny złoty zegarek.

Czy jesteś pewien, że należał do Wencla?

— Oczywiście. Są inicjały wewnątrz. Zresztą pani Niewiarowska sama stwierdziła, że to zegarek jej brata.

— I co powiedziała? Jak odniosła się do tej rewizji w jej mieszkaniu?

— Niech ci sierżant opowie.

Pakuła odchrząknął.

— No cóż... towarzyszu majorze, była bardzo zaskoczona, ale żadnych specjalnych trudności nam nie robiła. Zresztą takiej gruntownej rewizji nie przeprowadzaliśmy.

—A gdzie znaleźliście ten zegarek.

—W szafie, w marynarce młodego Niewiarowskiego.

—A jego matka nie mówiła wam, że wuj podarował mu ten zegarek.

—Nie. Była zdziwiona.

Downar wstał.

—Musimy go zatrzymać.

Na widok swego prześladowcy Jacek zerwał się z krzesła.

—Pan nie ma prawa trzymać mnie tu tyle czasu! Ja muszę wracać do pracy! Będę miał przykrości. Co pan właściwie ze mną wyprawia?! Tak nie wolno! Ja złożę skargę!

—Proszę się uspokoić, panie inżynierze — powiedział beznamyślnie Downar. — Sprawa bardzo się komplikuje. Obawiam się, iż będziemy zmuszeni zatrzymać pana na dłużej.

Jacek zbladł.

—Co to znaczy? Jestem aresztowany?

—Chwileczkę. Zaraz to panu wszystko wytłumaczę. Otóż sekcja zwłok wykazała, że wuj pański został zamordowany.

—I wy podejrzewacie mnie o tę zbrodnię? Ależ to nonsens, to kompletny nonsens!

—Z przeprowadzonych badań wynika, że pański wuj został zamordowany pomiędzy pierwszą a trzecią w nocy.

—No, więc właśnie... Mówiłem przecież panu, że w nocy byłem u mojego przyjaciela. Nie mogłem jednocześnie być w dwóch miejscach.

Downar skinął głową.

—Bardzo słusznie. Nie mógł pan. Tylko w tym alibi jest małe błęd. Pański przyjaciel, Andrzej Popiel, twierdzi z całą sta-

nowością, że pan u niego nie był ubiegłej nocy. Co więcej okazuje się, że nie było go w ogóle w jego mieszkaniu. Noc spędził poza domem. Widzi więc pan, że sprawa się komplikuje. Alibi, które pan podał, jest nieaktualne.

W miarę, jak Downar mówił, na twarzy Jacka odzywało się kolejno zdumienie, wściekłość i wreszcie rozpacz.

— To kłamstwo, to podłe kłamstwo, Pan mnie chce zmusić... Pan chce, żebym się przyznał. Ale ja tego nie zrobiłem! Nie zrobiłem!

Downar zapalił papierosa, wypuścił dym nozdrzami i chwilę milczał, obserwując uważnie reakcję młodego człowieka.

— Pan twierdzi, panie inżynierze, że odwiózł pan wuja na Siekierki, a następnie pojechał pan do swego przyjaciela na Żoliborz.

— To prawda. Tak było.

— I twierdzi pan w dalszym ciągu, że zastał pan Andrzeja Popiela w domu?

— Ależ oczywiście. Był z dwoma dziewczętami. Poznałyby je pan?

Jacek zawahał się.

— Nie wiem. Może. Te kociaki teraz zrobione wszystkie na jedno kopyto. A poza tym... Bo ja wiem... Może bym i poznał, ale nie jestem pewien. Ciemnawo było. Wypiliśmy sporo.

— Niech mi pan powie, ale tak zupełnie szczerze, może się panu dni pomyliły, może to innym razem tańczył pan z tymi kociakami u Popiela?

Jacek poderwał się.

— Co pan ze mnie idiotę robi. czy co? Przecież jestem przytomny, wiem co mówię.

—No, to jak pan sobie wytłumaczy fakt, że pański przyjaciel twierdzi, że pana u niego nie było i że po raz ostatni widział pana w sobotę wieczorem w „Bristolu”?

—Nie mam pojęcia. Chyba Andrzej żartował.

Downar potrząsnął głową.

—Nie sądzę. Moja rozmowa z Andrzejem Popielem nie miała charakteru żartobliwego.

—Nie wiem, nie wiem. Nic nie rozumiem.

—Ja także niewiele rozumiem z tego wszystkiego — przyznał Downar. Sięgnął do kieszeni i wyjął złotego Schaffhasusena — Czy to pański zegarek?

Jacek zmieszał się.

—Tak, mój. To znaczy... Dostałem go w prezencie od wuja. Skąd pan go ma?

—Zegarek ten został znaleziony w kieszeni pańskiej marynarki.

—Robiliście u nas w domu rewizję?

—Taką maleńką.

—Nie mieliście prawa! Nie wolno tego robić. Przeszraszyliście moją matkę. To świństwo, to ostatnie świństwo!

—Uspokójcie się obywatelu — powiedział energicznie Kobiela, który dotychczas w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. — Liczcie się trochę ze słowami.

Downar dał znak ręką porucznikowi, żeby się nie wtrącał.

—Więc zegarek ten otrzymał pan w prezencie od wujaszka?

—Tak.

—A dlaczego matka pańska nic o tym nie wiedziała?

—Mama nie chciała, żebym przyjmował od wuja jakieś prezenty, a szczególnie takie kosztowne.

—No tak, to jest dosyć kosztowny podarunek.

—Czy pan naprawdę ma zamiar mnie zatrzymać?

—spytał Jacek.

—Niestety, w tej sytuacji to jest niezbędne

—Ale przecież ja nie jestem mordercą. Pan chyba w to nie wierzy.

—Moja praca nie opiera się na aktach wiary — powiedział Downar. — My tutaj operujemy tylko i wyłącznie faktami. A fakty te wyglądają następująco. Izydor Wencel został zamordowany ubiegłej nocy pomiędzy godziną pierwszą a trzecią. Przez ostatnie godziny życia przebywał w pańskim towarzystwie. Alibi, które pan podał okazało się nieprawdziwe. Pan potrzebował gwałtownie pieniędzy na pokrycie tej zdefraudowanej sumy. Poza tem znaleziono u pana w mieszkaniu złoty zegarek, który był własnością Izydora Wencla. Być może, że to wszystko jest tylko fatalnym zbiegiem okoliczności. Tym nie mniej jednak

musimy pana zatrzymać. do wyjaśnienia sprawy,

Jacek ukrył twarz w dłoniach,

— Boże. Boże...

Downar zbliżył się i położył chłopakowi rękę na ramieniu.

— Proszę nie rozpaczać. Jeżeli jest pan rzeczywiście niewinny, to wszystko się wyjaśni. Liczę na pańską pomoc.

—Co mam robić?

—Przede wszystkim wziąć się mocno w rękę

Inie poddawać się rozpaczy. Rozumiem doskonale, że sytuacja pańska jest niezmiernie przykra i ciężka, ale nie powinien pan tracić nadziei. Powtarzam: jeżeli pan jest niewinny, wszystko się dobrze skończy. Na razie chciałbym, żeby pan ze mną pojechał do Konstancina.

—Po co?

— Spróbujemy odnaleźć tę willę, którą odwiedzał wczoraj pański wuj.

—Nie wiem, czy tam. Trafię.

—Musimy spróbować. Pojedziecie z nami, poruczniku.

Okrągła twarz Kobieli ożywiła się szerokim uśmiechem.

—Bardzo chętnie, towarzyszu majorze.

Drogę odbyli w milczeniu. Jacek w ponurej zadumie przeżuwał swoje niewesołe myśli. Downar porządkował sobie fakty i spostrzeżenia. Od czasu do czasu wyjmował z kieszeni duży notes i zapisywał coś w nim starannie.

Wydostali się z miasta na szosę i Sikora dodał gazu.

—Jechaliście wczoraj tą drogą? — spytał Downar.

—Tak.

— Teraz niech pan dobrze uważa i niech pan mówi kierowcy, jak ma jechać.

— Nie jestem pewien, czy trafię do tej willi — powiedział cicho Jacek.

—Niech się pan postara. To ważne.

Przeszło godzinę błędzili po Konstancinie. Jackowi co chwilę wydawało się, że to już tu, że zaraz za skrzyżowaniem ukaze się dom w ogrodzie pełnym kwiatów. Wreszcie, kiedy już zaczynał tracić nadzieję, trącił szofera w plecy — Proszę skrócić na prawo. O tak, to chyba tutaj.

—Zatrzymać, towarzyszu majorze? — spytał Sikora.

— Nie, nie, jedźcie dalej. Skręćcie w pierwszą na lewo i dopiero tam staniemy. Czy pan jest pewien, że to ta willa?

— Na sto procent pewności nie mam — odparł Jacek

—Ale wydaje mi się, że to chyba ta. Widział pan jakie piękne dalie?

—Widziałem.

Downar wysiadł z samochodu i zawrócił w kierunku willi. Szedł wolno, rozglądając się uważnie dokoła. Zatrzymał się chwilę przód furtką, obejrzał metalową siatkę i ogród. Dalie rzeczywiście były wyjątkowo dużo i pięknie rozrośnięte.

Kamienne płyty, dokładnie oczyszczone z chwastów, wiodły do nowoczesnego, starannie utrzymanego domu.

Duże okna, zasłonięte zielonymi okiennicami, dwa tarasy, garaż. Na pierwszym piętrze jedno okno było otwarte.

Downar zdecydowanym krokiem wszedł na maleńki ganeczek i zadzwonił. Cisza. Ponownie nacisnął bakelitowy guzik. W głębi domu nie posłyszał żadnego poruszenia. Postał chwilę, parę razy jeszcze próbował nakłonić kogoś do otworzenia drzwi ale, widząc, że jego wysiłki na nic się nie zdadzą, zrezygnował i wrócił do wozu.

— No i co? — spytał zaaferowany Jacek.

— No i nic. Nie zastałem nikogo w domu.

—Co robimy?

Downar pomyślał chwilę.

— Słuchajcie, Sikora — powiedział nachylając się do kierowcy — odwieźcie porucznika i tego pana z powrotem do Komendy i wróćcie zaraz po mnie. Spotkamy się tutaj, dokładnie w tym miejscu. Traficie?

—Ma się rozumieć — uśmiechnął się Sikora — Nie taka znowu sztuka.

— A teraz jedźcie tak, żebyście przejechali koło tej willi.

— Rozumiem.

Downar wywołał jeszcze z wozu Kobięłę, odprowadził go na bok i wydał mu polecenie dotyczące Jacka,

— Obchodźcie się z nim możliwie grzecznie i delikatnie —

powiedział na pożegnanie — Zależy mi na tym, żeby chłopaka nie załamać psychicznie. Potrzebny mi jest.

Pojechali. Downar postął chwilę, patrząc za oddalającym się wozem. Następnie zawrócił i szedł ocienioną aleją, pachnącą świeżą zielenią. Nagle przypomniało mu się Zakopane, błyszczące słońcem stoki górskie, skrzypiący pod nartami śnieg. Paulina. Wspomnienie tej przemiłej, roześmianej dziewczyny było tak wyraziste, że posłyszał jej głos, zupełnie jakby stała tuż przy nim. Rozejrzał się. Nie było oczywiście nikogo. „Może szkoda, że nie zanotowałem jej adresu, telefonu” pomyślał. Nie bardzo nawet mógł się o nią dowiedzieć w pogotowiu. Nie znał jej nazwiska. Paulina to trochę za mało.

Po półgodzinnym spacerze wrócił do willi, przed którą rosły dalie. Tym razem drzwi, na odgłos dzwonka, otworzyły się. Z ciemnego tła pogrążonego w mroku przedpokoju wyłoniła się postać mężczyzny. Na pierwszy rzut oka trudno było określić jego wiek. Mógł mieć zarówno czterdzieści kilka lat jak i sześćdziesiąt. Wysoki, barczysty, pochylony do przodu, przypominał swą postacią wielką antropoidalną małpę. Wrażenie to potęgowała szeroka, nieregularna twarz, okolona gęstą, krótko przystryżoną ryżawą brodą. Długie ręce zakończone ogromnymi dłońmi zwisały niezgrabnie wzdłuż ciężkiego tułowia.

—Pan do kogo?

Downar, widząc niechętną a nawet wrogą postawę tego troglodyty, w jednej chwili zrozumiał, że jeżeli nie będzie działał energicznie to nie pozostanie mu nic innego do zrobienia jak tylko opuścić willę, dalie i brodatego człowieka.

— Pan pozwoli, że się przedstawię — powiedział zdecydowanym ruchem wyciągając rękę — Nazywam się Borkowski, inżynier Stanisław Borkowski.

—Moje nazwisko Hamer — mruknął brodacz. Te niespodziewane odwiedziny najwyraźniej nie wzbudzały w nim entuzjazmu, cofnął się jednak o dwa kroki, wpuszczając gościa do przedpokoju.

—Proszę, niech pan wejdzie. Pan pewnie ma jakąś sprawę do mnie.

Downar ruszył za ponurym olbrzymem, który szedł pro-

dem, nie wdając się w żadne uprzejmości.

Znaleźli się w dużym mrocznym pokoju. Hamer zamiast otworzyć okiennice zapalił światło,

— Niech pan siada, panie inżynierze. O cóż to chodzi?

— Nie, nie, dziękuję. Nie palę — dodał, zobaczywszy przed sobą otwartą papierośnicę. Papierosy mi szkodzą.

— Ale pan pozwoli zapalić?

— Niech pan pali. Panu także szkodzą papierosy. Każdemu szkodzą. No więc?

— Przyszedłem do pana w imieniu pana Wencła, pana Izydora Wencła — pośpiesznie wyjaśnił Downar.

— W imieniu pana Wencła? — zdziwił się Hamer.

— Tak. Wencel to mój przyjaciel. Poznaliśmy się jeszcze w czasie wojny w Anglii. On został za granicą a ja wróciłem do kraju. Teraz przyjechał, jak pawiadomo, z Mediolanu. Dzisiaj rano dostał jakąś wiadomość i musiał niespodziewanie wyjechać na Wybrzeże do Gdyni czy do Szczecina. Prosił mnie, żebym pana odwiedził i żeby pan przekazał mu za moim pośrednictwem wiadomości. Jutro ma do mnie dzwonić,

Hamer pracowitym ruchem włożył na nos okulary, jakby chciał się dokładniej przyjrzeć mówiącemu.

— Ależ, drogi panie, to jakieś nieporozumienie.

— Nieporozumienie?

— No tak, bo ja nie znam żadnego Wencła.

Teraz zdumiał się Downar.

— Jak to pan nie zna Wencła? Wencel, Izydor Wencel

— No właśnie Wencel. A ja Wencła nie znam i nigdy nie znałem.

— No jakżeż? Przecież dał mi pański adres i pańskie nazwisko,

Hamer wzruszył potężnymi ramionami. Robił teraz wrażenie starego, zmęczonego człowieka.

— Nie wiem — powiedział cichym, nagle zgaszonym głosem

— Nie wiem. Albo ten pański Wencel jest niespełna rozumu, albo pan coś pokręcił. A może i jedno i drugie. Ja nie znam żadnego Wencła.

— To niemożliwe — upierał się Downar — Przecież Izydor...

—Izydor nie Izydor — przerwał mu niecierpliwie Hamer — Ja Wenela nie znam i koniec. Ostatecznie chyba ja wiem najlepiej, kogo znam, a kogo nie znam.

W tym momencie gdzieś w górze rozległ się płacz. Właściwie to nie było takie zwykłe, normalne łkanie. To był krzyk, przejmujący, nasycony szlochem krzyk rozpaczny.

Downar drgnął i spojrział w kierunku schodów, prowadzących na pierwsze piętro.

—To nic, to nic — uspokoił go Hamer — To moja żona. Ona jest bardzo zdenerwowana.

—Może trzeba coś pomóc? Wydaje mi się, że...

Potrząsnął głową.

—Nie, nie, nic nie trzeba, nic nie można jej pomóc. To mi nie, to samo przejdzie.

Krzyk powtórzył się, jeszcze bardziej przeraźliwy, jeszcze bardziej tragiczny.

Downar wstał.

—Ależ trzeba tam pójść.

Hamer wyciągnął swą długą, potężną rękę.

— Nie trzeba — powiedział nieomal groźnie. —Nie trzeba. Ja chyba wiem najlepiej.

Downar spojrział na niego niezdecydowany. Ostatecznie nie miał żadnego prawa wtrącać się w rodzinne sprawy tych ludzi.

—No, jak pan uważa...

—Niech pan już idzie — mruknął Hamer i zdjął okulary — Niech pan idzie. Ja nie znam żadnego Wencla.

Razem wyszli przed dom. Przy furtce Downar zatrzymał się i spojrział na ogród,

— Piękne dale.

I nagle w jednej chwili twarz brodacza zmieniła się. Zniknęła wyraz gniewu i ponurej zaciętości. Mięśnie jakby się rozprężyły, rysy złagodniały. Wyglądał teraz na poczciwego dziadka Mroza albo na olbrzymiego krasnoludka.

— Lubi pan kwiaty?

— Bardzo — skłamał Downar — Kwiaty to moje hobby. Kocham kwiaty.

Hamer poufałym ruchem wziął go pod rękę.

— Cieszę się, że pana poznałem. Niech pan zajrzy kiedyś do mnie. Tak może za jakieś dwa tygodnie. Dam panu wspaniałe ablegierki. A na jesieni pan zobaczy, jak te dalie kwitną. Cudo. Powiadam panu, cudu.

Downar serdecznym uściskiem dłoni pożegnał zamilowanego botanika i obiecał, że wróci po ablegierki. Kiedy szybkim krokiem oddalał się od furtki, znowu posłyszał ten przeraźliwy, rozdzierający krzyk,

Sikora już stał z wozem na umówionym miejscu,

— Wszystko w porządku?

— Tak jest, towarzyszu majorze. Odwiozłem porucznika i tego chłopaka. Płakał biedaczysko.

— Płakał?

— Tak. Okropnie rozpaczał. Mówił, że jego matka tego nie przeżyje.

— Pojedziemy do niej.

— Zaraz?

— Tak.

Pani Maria z niepokojem spojrzała na nieznanego mężczyznę.

— Czy pan także z milicji?

— Tak

— Na miłość boską, niech pan mi powie co się stało z Jakiem, co się stało z moim synem?

— Nic się takiego nie stało, proszę pani — powiedział z łagodnym uśmiechem Downar — Proszę się uspokoić.

— Ale on żyje?! Niech pan powie prawdę, czy Jacek żyje?

— Oczywiście, że żyje. Cieszy się jak najlepszym zdrowiem.

— Chwała Bogu, chwała Bogu. Już myślałam, że jakieś nieszczęście. Dzwoniłam do niego do biura. Nie wiedzieli, co się z nim stało. Przyszli tu do mnie z milicji... Robili rewizję. Co to wszystko znaczy, proszę pana? Może mi pan powie.

— Przede wszystkim niech się pani nie denerwuje. Usiądźmy i spokojnie porozmawiajmy.

Szybkim ruchem odgarnęła kosmyk siwych włosów spadających na jej czoło.

— Jakżeż ja się mam nic denerwować? Przecież to mój syn,

mój jedyny syn. Ja bym tego nie przeżyła... To dobry, kochany chłopak. Niech mi pan wierzy.

Downar z trudem przełknął ślinę. Nie znosił takich sytuacji.

—Ależ wierzę pani. Proszę się uspokoić. Chciałbym z panią porozmawiać.

—Dobrze ... dobrze. Bardzo proszę. Może pan usiądzie.

Downar przysunął sobie krzesło i wyjął papierosy.

— Czy pani nie zauważyła, że ostatnio syn wpadł w niezbyt odpowiednie towarzystwo?

Zawahała się.

—No cóż... Bo ja wiem... Być może: Jak to młodzi..

—Wracał późno do domu.

—Tak. Ostatnio to się zdarzało dosyć często.

—Czuć było od niego alkohol?

—To ten łajdak wszystkiemu winien — wybuchnę- To przez niego ...

—Jaki łajdak? — spytał Downar.

—No ten niby jego przyjaciel. Andrzej.

—Andrzej Popiel?

—Tak. Zna go pan?

—Trochę

— To nic dobrego, proszę pana. W głowie mu się zupełnie przewróciło. Nie chciał się uczyć. Wyrzucili z Politechniki. Nigdzie nie pracuje. Ja nie mam pojęcia, z czego on w ogóle żyje. Nie znoszę tego chłopaka. To zły duch Jacusia. Przyłazi tutaj. Wyciąga go na wódkę, na karty.

—Dlaczego właściwie syn pani przyjaźni się z takim typem?

—Nie wiem. Myślę, że mu imponuje.

—Przed kilkoma dniami przyjechał do Warszawy pani kuzyn — powiedział Downar, chcąc zmienić temat rozmowy.

—Tak. Izydor to mój cioteczny brat.

—Czy pani wie, że on nie żyje?

—Nie żyje? Jezus Maria! Co się stało?!

—Pan Wencel miał wypadek samochodowy.

— Kiedy?

—W nocy. Wpadł z wozem do Jeziora Czerniakowskiego.

Fani Maria ukryła twarz w dłoniach.

—Boże... Boże... Co za nieszczęście. Po tylu latach przyjechał. Przeżył wojnę, przeżył tyle ciężkich chwil. Chciał mnie odwiedzić, chciał poznać Jacusia. I po to przyjechał z tak daleko, żeby w Jeziorne Czerniakowskim ... — Łzy poczęły płynąć po białych policzkach.

—Tak. to bardzo przykre — powiedział współczująco Downar — Proszę mi łaskawie powiedzieć. Czy brat pani przyjechał do Warszawy w jakimś określonym celu?

—No jak to? Przyjechał, żeby mnie odwiedzić.

—Oczywiście. Ale czy oprócz tego nie miał tu jakichś interesów do załatwienia. Nic pani nie mówił, że ma tu jakieś sprawy?

—Nie. Nic mi o żadnych sprawach nie wspominał. Po prostu przyjechał, bo chciał nas zobaczyć.

—A jak się ułożyły stosunki pomiędzy panem Wenclem, a pani synem?

—Bardzo dobrze. Jacuś ogromnie się spodobał Izydorowi. Wydaje mi się, że się polubili. Ale dlaczego pan wypytuje o to wszystko?

—Tak sobie. Z prostej ciekawości.

Przyjrzała mu się uważnie.

—Co jest z Jackiem? Proszę pana. Niech mi pan powie, niech mi pan powie prawdę... Co się stało?

—Zaręczam pani, że syn jest zupełnie zdrow — powiedział Downar. — Nic się nie stało. Niestety, pewne sprawy tak się pogmatwały, że musimy go przez parę dni zatrzymać... Mam nadzieję, że wszystko wyjaśni się.

Pani Maria zbladła gwałtownie.

—Jak to? Jak to musicie go zatrzymać? Aresztowaliście Jacka? Ale dlaczego? O co go oskarżacie? Przecież on nic... Dlaczego? Proszę pana. On nic złego nie zrobił. Na miłość boską ...

— Niech się pani uspokoi. Bardzo proszę. Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci pani brata. Jest szereg rzeczy niejasnych, które musimy wyświecić, a syn pani ostatni widział żywego pana Wencła. Nie jesteśmy pewni, czy to był wypadek i dlatego... Zerwała się ze swego miejsca.

— Jezus, Maria! Podejrzewacie Jacka o to, że zamordował Izydora?

— Proszę się uspokoić. Nikogo jeszcze nie podejrzewamy. Na razie prowadzimy wstępne dochodzenie tej sprawie.

Zachwiała się i nim Downar zdążył podbiec, żeby ją podtrzymać, upadła zemdlona na podłogę.

Pochylił się, wziął ją na ręce i zaniósł na tapczan. Następnie pobiegł do kuchni i przyniósł szklankę wody. Zaczął cucić zemdloną. Dopiero po dłuższej chwili otworzyła oczy. Oddychała ciężko, z wysiłkiem.

— Słabo mi — szepnęła. Bardzo mi słabo. — znowu popadła w omdlenie. Downar skoczył do telefonu i połączył się z pogotowiem.

Był tak zdenerwowany, że z trudnością nakręcił numer Powiedział, że sprawa jest bardzo pilna i prosił pośpiech. Wrócił do chorej. Otworzyła oczy. Patrzyła na niego ze smutkiem. Wzięła ją za puls.

— Jak się pani czuje?

— Trochę lepiej.

Zaraz przyjedzie lekarz. Niech pani leży spokojnie

— Przymknęła oczy. Powiedziała tak cicho, że ledwie pmr-tyszał.

— Proszę pana ...

— Słucham?

—Ale pan chyba nie wierzy, że Jacuś... Pan nie wierzy, prawda?

—Nie wierzę i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby sprawę wyjaśnić, żeby oczyścić pani syna ze wszystkich podejrzeń.

Dotknęła jego ręki.

—Dziękuję.

Downar nie mógł się doczekać pogotowia. Raz jeszcze zatelefonował z przynagleniem. Wreszcie na ulicy rozległa się syrena.

Lekarz był młody szczupły, wyglądał na studenta. Starannie zbadał chorą. Powiedział: — Osłabienie mięśnia, silna nerwica. Na razie nie ma potrzeby przewozić do szpitala. Chora musi po- być parę dni w łóżku. Damy parę zastrzyków glukozy, doustnie Cardiamid. Wszystko będzie dobrze.

— Dlaczego nie przyjechała Paulina? — spytała pani Maria.

—Mówi pani o koleżance Daneckiej?

— Tak. Chciałabym, żeby do mnie przyjechała. To jest narzeczona mego syna.

— Ma dzisiaj wolny dzień. Jak ją zobaczę, to powiem, żeby panią odwiedziła.

Odprowadzając do drzwi lekarza, Downar spytał

— Czy pani doktor Danecka była na urlopie w Zakopanem?

Młody medyk spojrzał zdziwiony.

— Tak. Wróciła przed paroma dniami. Ale skąd pan wie...?

ROZDZIAŁ VI

Downar bał się tej rozmowy. Wiedział jednak że to jest nieuniknione. Jednakże inaczej wyobrażał sobie ewentualne spotkanie z Pauliną. Siedziała teraz naprzeciwko niego zimna, obojętna, wroga.

—Nigdy nie przypuszczałam, że pan jest milicjantem — powiedziała pogardliwie.

—Ktoś musi być milicjantem.

—Ale dlaczego właśnie pan?

—Tak się złożyło. Widzę, że pani jest najwyraźniej niechętnie usposobiona do mego zawodu.

—To obrzydliwy zawód.

Uśmiechnął się.

—No cóż... Rzecz gustu oczywiście. Jeżeli chodzi mnie, to muszę powiedzieć, że lubię swoją robotę.

—Lubi pan wsadzać ludzi do więzienia?

—Często ratuję ludzi przed więzieniem.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Nie bardzo rozumiem.

—To chyba proste. Jeżeli uda mi się na przykład dowiedzieć, że to nie Jacek Niewiarowski zamordował Wencela to tym samym uratuję chłopaka przed więzieniem.

Wtej chwili materiał dowodowy przeciwko niemu jest zupełnie wystarczający, żeby zacząć proces.

—Niech go pan ratuje — powiedziała cicho — Błagam pana.

—Widzę, że błyskawicznie zaczyna się pani przekonać do zawodu milicjanta.

—Niech pan nie żartuje. Proszę. Tu chodzi o życie.

—Czy chciałaby mi pani trochę pomóc w ratowaniu Jacka?

— Oczywiście, ale cóż ja mogę zrobić?

—Przed wszystkim przypuszczam, że może mi pani udzielić pewnych informacji.

—Jakich informacji?

—Dotyczących Jacka Niewiarowskiego. Chciałbym na przykład wiedzieć, jak dawno pani go zna..

—Och, poznaliśmy się dawno, jeszcze oboje byliśmy studentami.

—Co pani o nim myśli?

—To bardzo przyzwoity, porządny chłopak.

Downar zapalił papierosa.

—No tak... W tego rodzaju sytuacjach matka, żona, narzeczona czy siostra zawsze mówi: „To bardzo przyzwoity, porządny chłopak”. Mnie nie o to chodzi.

—Czego pan właściwie chce ode mnie?

— Chciałbym, żeby pani pomogła mi, dzieląc się ze mną swoimi spostrzeżeniami, które dałyby coś w sensie naświetlenia sytuacji. A więc, na przykład, czy pani spostrzegła jakieś niekorzystne zmiany w swym narzeczonym?

Zawahała się.

— Niech pani mówi zupełnie szczerze, co pani myśli

—nalegał Downar — Pani nie zdaje sobie sprawy, że czasem nawet zupełnie drobny szczegół może być dla mnie ważny.

Paulina skinęła głową.

—Rozumiem. No cóż... Może rzeczywiście Jacek w ostatnich czasach zmienił się na niekorzyść.

—To znaczy?

—Narzekał na niskie zarobki. Ciągle mówił o tym jak to jego koledzy sobie radzą. Zrobił się niesłowny, niesolidny. Nieraz nie przyszedł na spotkanie. Mam wrażenie, że pił. W ogóle wydaje mi się, że wpadł w złe towarzystwo.

—Zna pani Andrzeja Popiela?

— Poznałam go kiedyś w kawiarni. Nieciekawy typ. Być może, że on także ma zły wpływ na Jacka. To taki niebieski ptak.

—Czy ma pani o nim jakieś bliższe wiadomości?

—Nie. Raz go widziałam. Zrobił na mnie wrażenie zarozumiałego bufona, strasznie pewnego siebie.

—Przystojny mężczyzna.

—Przystojny, ale antypatyczny.

—A Jacek jak się do niego odnosi.

—Jacek jest w nim zakochany. Uważa go za nadzwyczajnego człowieka.

— Na jakiej podstawie uważa go za takiego „nadzwyczajnego człowieka”?

Wzruszyła lekko ramionami.

—Bo ja wiem... Chyba dlatego, że Andrzej nic nie robi, a ma zawsze kupę forsy. Wydać tysiąc złotych w „Bristolu” czy w „Grandzie”, to dla niego drobnostka.

—Jak pani sądzi, z czego czerpie te dochody?

—Nie mam pojęcia. Ale nie sądzę, żeby to nie były zupełnie czyste zarobki.

— Kiedy pani widziała Jacka po raz ostatni?

—Zaraz po moim powrocie z Zakopanego, ale wtedy rozmawialiśmy bardzo krótko. Byłam zajęta. Umówiliśmy się na sobotę. Nie przyszedł.

—Czy pani wie, dlaczego nie przyszedł? Tłumaczył jakoś Mówił gdzie był?

— Nie. Nie rozmawiałam z nim. Dzwoniłam w niedzielę do niego, ale pani Niewiarowska powiedziała mi, że Jacek wcześniej wyszedł. Nie było go w domu przez całą niedzielę.

— A w poniedziałek rano nie usiłował się z panią skomunikować?

— Nie. Dzwoniłam do biura. Także go nie zastałam.

— Czy Jacek mówił coś na temat przyjazdu wuja z zagranicy?

— Tak. Wspominał mi o tym.

— A może powiedział coś interesującego odnośnie osoby wuja?

—Powiedział tylko, że jego wuj jest detektywem. Śmieliśmy się. Prywatny detektyw to brzmi trochę dziwacznie na naszym terenie.

—Czy Jacek mówił pani, że dostał w prezencie od wuja złoto Schaffhausena?

—Nie.

—A czy nie mówił, że wuj jego przyjeżdża do Warszawy w jakiejś sprawie, że chce tutaj coś zbadać, czegoś się dowiedzieć?

—Nie. Nic takiego mi nie mówił. Wiem, że wuj Jacka przyjechał, aby odwiedzić rodzinę. O ile się orientuję, to Jacka w ogóle nie znał. Widział tylko jego fotografie.

— Tak — Downar w zamyśleniu przyglądał się swoim panokciom — Czy pani nic więcej nie ma mi do powiedzenia?

— Nie. Cóż mogę panu powiedzieć?

— Coś, co by rzuciło trochę światła na tę ciemną sprawę.

— Niestety, muszę pana rozczarować. Nic takiego nie wiem.

— No to wobec tego, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko podziękować pani za rozmowę.

Paulina była zaskoczona.

— Jak to? Więc pan uważa naszą rozmowę za skończoną?

— Chyba tak.

— No dobrze, a Jacek? Co będzie z Jackiem?

— Jacka będziemy musieli jeszcze trochę zatrzymać.

— Ależ pan przecież nie przypuszcza, że on...! że mógłby zamordować swojego wuja. To kompletny nonsens. Nie możecie go trzymać w więzieniu. Niechże pan ...

Downar pochylił się nad biurkiem.

— Proszę mnie wysłuchać, Paulino — powiedział spokojnie — Zapewniam panią, że to, co się stało, jest dla mnie naprawdę wielką przykrością. Miałem nadzieję, że spotkamy się kiedyś na terenie Warszawy, ale nie w takich paskudnych okolicznościach. Będę z panią zupełnie szczery. Istnieje szereg poszlak, poważnie obniżających Jacka.

— Ale pan przecież nie wierzy, że on!

— To nie ważne czy ja wierzę, czy nie wierzę. Szereg konkretnych faktów przemawia przeciwko niemu. W sobotę wieczorem przegrał dziesięć tysięcy służbowych pieniędzy. Za wszelką cenę musiał zdobyć tę sunę do poniedziałku. W niedzielę cały wieczór spędził w towarzystwie swego wuja. Do domu wrócił około czwartej nad ranem. Twierdzi, że kilka godzin spędził u swego przyjaciela Andrzeja Popiela, który z całą stanowczością zaprzecza temu, mówiąc, że całą noc nie było go w domu. Przeprowadzony wywiad potwierdza to. Tak więc alibi Jacka upada. Widzi pani więc, że sprawa jest bardzo niewyraźna. Nie mówię już o tym złotym zegarku, który został znaleziony w marynarce Jacka. Jeżeli jednak, w co chcę wierzyć, Jacek, mimo wszystkich tych pozorów, jest niewinny, to lepiej będzie dla niego, gdy go trochę przytrzymamy.

— Nie rozumiem.

— To proste. Nie jest wykluczone, że mogłoby mu grozić niebezpieczeństwo.

— Niebezpieczeństwo?

— Oczywiście. Założmy, że jest to jakaś bardzo perfidnie zmontowana intryga. Czy pani nie sądzi, że w pewnym momencie Jacek mógłby komuś zawadzać? Sprzątnąć człowieka nie tak trudno. Ten, kto ewentualnie zadał sobie tyle trudu, żeby sfin-gować te wszystkie poszlaki, nie cofnąłby się przypuszczalnie przed morderstwem. Na przykład jeszcze jeden wypadek samochodowy.

— Może pan ma trochę racji — powiedziała zamyślona Paulina — To wszystko jest takie dziwne, takie tajemnicze. Muszę porozmawiać z Andrzejem.

Downar ożywił się.

Niech pani tego nie robi. I, na miłość boską, niech pani się nie miesza do śledztwa. Błagam. Żadnej zabawy w amatora de-tektywa.

Przecież pan mnie prosił, żebym panu pomogła,

Prosiłem, żeby mi pani powiedziała wszystko to, co pani wie, ale bynajmniej nie miałem na myśli, aby pani włączała się do akcji. Bardzo proszę, niech pani tego nie robi w żadnej formie. Jeśli będzie pani miała jakieś wątpliwości, podejrzenia, czy przypuszczenia, to proszę o natychmiastowe porozumienie się ze mną. Każda działalność na własną rękę może się bardzo smutnie skończyć i dla pani i dla Jacka. Czy pani mnie dobrze zrozumiała?

Posiada pan dar jasnego formułowania swych myśli — powiedziała Paulina — Nie widzę tu żadnych niejasności. Mam do pana prośbę. Czy pozwoliliby mi pan zobaczyć się z Jackiem?

Downar zawahał się.

No, dobrze — powiedział po chwili — Poproszę go tutaj. — Podniósł słuchawkę i wydał polecenie.

Po paru minutach wszedł Jacek. Był blady, zgarbiony, jak gdyby postarzały. Zobaczywszy Paulinę, poblądł jeszcze bardziej.

Paulina.

Podbiegła do niego i objęła go za szyję.

— Jacku! Kochany! Jak ty wyglądasz? Boże!

— Co z mamą? — spytał cicho.

— Wszystko w porządku. Nie martw się. Zaopiekowałam się mamą.

— Dziękuję ci. Jesteś bardzo kochana.

— No jakżeż mogło być inaczej. Przecież wiesz... powiedz. może d coś przynieść. Co byś chciał, co ci potrzeba.

— Nie, nie. Nic mi nie potrzeba. Dziękuję.

Przytuliła się do niego.

— Biedaku. Tak mi strasznie przykro, tak mi przykro. Już nawet nie mam pretensji o to, że w sobotę czekałam na ciebie godzinę, a ty nie przyszedłeś.

— Przepraszam cię. Tak mi zawrócili głowę tymi kartami, że zapomniałem o świecie bożym. Zresztą nie chcieli mnie puścić. Byłem mocno wygrany.

— Tyle razy cię prosiłam, żebyś nie grał w karty. Tyle razy cię zaklinałam, błagałam.

— I miałaś rację. Jeżeli wyjdę z tej całej okropnej historii, to już nigdy nie spojrzę na karty. Obiecuję ci to. Ale...

Wzięła go silnie za ramiona i potrząsnęła nim.

— Jacek. Trzymaj się. Na pewno wszystko się wyjaśni. No przecież... Nie wolno ci się załamywać. Musisz być silny, musisz to przetrwać.

— Dlaczego Andrzej kłamie?

— Nie wiem. Ja też tego nie rozumiem. Chciałam się z nim zobaczyć, spytać, ale major nie pozwala.

Downar stał przy oknie odwrócony do nich plecami i patrzył na jaśniejącą w słońcu ulicę. Nadaremnie próbował przekonać sam siebie, że rozmowa tych dwojga wcale go nie obchodzi, a raczej, że obchodzi go tylko z punktu widzenia śledztwa. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo zależy mu na Paulinie. Właściwie wszystko to co go dotychczas łączyło z tą dziewczyną, uważał za nieważną, urlopową znajomość. Chciał, żeby tak było, ale... Ale od chwili ich pożegnania w jego podświadomości żyło pragnienie zobaczenia jej znowu. Czułości, jakie okazywała temu chłopakowi drażniły go w sposób niesły-

chany. Miał ochotę chwycić go za kark i wypchnąć za drzwi. „Ona kocha tego chłopaka” myślał z goryczą „Nie ulega wątpliwości, że ona go kocha”. Odwrócił się od okna — Stanowczo zabraniam pani mieszać się do tych wszystkich spraw, rozmawiać z Popielem czy z kimkolwiek innym — Głos jego zabrzmiał twardo, nieuprzejmie.

Paulina spojrzała szybko na niego, potem znowu zwróciła się do Jacka.

—No widzisz. Nie mogę mówić z Andrzejem.

—Rozumiem.

Wzięła go za obydwie ręce.

—Jacku błagam cię, bądź dzielny. Pamiętaj o mamie, o mnie. Nie załamuj się. Przecież to wszystko jest tylko jakimś fatalnym zbiegiem okoliczności. Nikt naprawdę nie wierzy z twoją winę. Pan major także nie wierzy. Prawda, panie majorze?

—Czy państwo już skończyli rozmowę? — spytał Downar.

Jacek rzucił mu złe spojrzenie. — Skończyliśmy. Dziękuję.

— Pocałował pośpiesznie Paulinę, odwrócił się i wyszedł.

Pobiegła za nim, jakby chciała mu jeszcze coś na pożegnanie powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnowała i zawróciła od drzwi.

—Dlaczego pan nie powiedział, że pan nie wierzy, w jego winę?

Downar niechętnie wzruszył ramionami.

—Mówiłem już pani, że to, czy ja wierzę czy nie wierzę, to nie ma żadnego znaczenia. Są bardzo poważne poszlaki obciążające pani narzeczonego i teraz trzeba dowieść, że poszlaki te są nieistotne, trzeba znaleźć ewentualnego mordercę.

Ale pan przecież potrafi dowieść niewinności Jacka. Pan go obroni.

—Ja, proszę pani, jestem milicjantem, a nie adwokatem. Adwokaci zajmują się obroną.

Patrzyła na niego zdziwiona. Słowa te i ton, jakim zostały wypowiedziane, zaskoczyły ją.

—Dlaczego? Dlaczego pan tak jakoś dziwnie? Obraził się pan na mnie?

— Ale skądże? Za cóż miałbym się na panią obrazić.

—Bo taki pan jakiś nagle zrobił się inny.

— Zdaje się pani. No, więc tak... Mam wrażenie, że wszystkośmy sobie mniej więcej omówili. Jeżeli poznałaby pani jakieś interesujące wiadomości, z którymi chciałaby się pani ze mną podzielić, proszę do mnie zadzwonić. Gdyby mnie nie było, niech się pani komunikuje z majorem Walczakiem. On jest poinformowany o tej sprawie. Prowadzimy ją razem,

—Do widzenia — powiedziała Paulina — I jeżeli czymś pana uraziłam, to bardzo przepraszam.

—Nie ma mnie pani za co przepraszać — mruknął Downar niezbyt uprzejmie i odprowadził ją do drzwi.

Został sam. Usiadł za biurkiem, zapalił papierosa, patrzył w okno. Czy zawsze tak będzie? Czy zawsze musi dowodzić niewinności czyjegoś męża, narzeczono, kochanka? Ileż już miał takich spraw za sobą.

Ile widział łez zrozpaczonych kobiet. I nagle doznał uczucia ogromnej samotności. Uświadomił sobie, że gdyby on znalazł się w trudnej, groźnej sytuacji, to nikt by nie płakał. Miał już czterdzieści parę lat i ciągle był sam. Dotychczas cieszył się swą swobodą, niezależnością. Śmiał się z żonatych kolegów i z ich rodzinnych kłopotów. „Nie ma to jak kawalerski stan” mówił. „Mężczyzna jest wolnym człowiekiem. Robi co mu się żywnie podoba i nikt nie może mieć do niego pretensji”. Ale od pewnego czasu zaczęły pojawiać się jakieś niepokojące nastroje. Zaczynała dokuczać mu samotność. Nie wystarczały mu już przelotne, nie obowiązujące flirty. Wracając wieczorem do domu, odczuwał brak kogoś, z kim mógłby się podzielić swoimi wrażeniami, przeżyciami. Paulina. Nie ulegało wątpliwości, że był nią bardzo zainteresowany, bardziej aniżeli jakąkolwiek kobietą dotychczas.

Zadzwonił telefon. W słuchawce posłyszał zaferowany głos Walczaka: — Wpadnij, Stefan, do mnie na chwilę.

Karol chodził po pokoju i nucił arię z „Cyganerii”. Na dźwięk otwieranych drzwi zatrzymał się i przestał podśpiewywać.

—Siadaj. Mam dla ciebie trochę wiadomości.

Downar usiadł. Spojrzał na przyjaciela bez zbytniego zain-

teresowania.

—No, to mów.

—A więc po pierwsze, dodatkowe badania wykazały, że Wencel został zamordowany.

—To nie taka znowu rewelacja.

—Rewelacja nie rewelacja, ale przynajmniej mamy pewność. Wiesz przecież, że istniała taka hipoteza, że może zabił się uderzywszy w słup kołem.

Downar skrzywił się.

—E, to mi się od razu wydawało mało prawdopodobne, żeby się zabić, to trzeba porządnie wyrznąć w coś głową. A tutaj przednim prawym kołem trzasnął w słup, odbił się miękko i wpadł do wody. Nie miał o co tak się uderzyć. Chyba, że...

— Dobra, dobra — przerwał mu Walczak — Nie ma o czym gadać. Tę sprawę mamy już odfajkowaną. Facet został zamordowany, a potem morderca czy mordercy wepchnęli go z wozem do jeziora. Gdyby karoseria nie była pomalowana na jasno, to dłuższy czas mógłby siedzieć ten fiacik w Jeziorze Czerniakowskim. Nikt by go nie zauważył. Tylko dzięki temu, że ten perłowy kolor tak przebijał przez wodę... Ale wiesz, co mnie zastanawia?

—Co takiego?

—Zastanawia mnie to, że nie znaleźliśmy żadnych notatek, żadnego notesu, ani w hotelu ani przy denacie. Nic.

—No, co się dziwisz? Zabrali mu. Tak samo. jak mu zabrali forszę. Przy nim znaleziono tylko pięćdziesiąt dolarów i czterysta złotych. Nie wyobrażasz sobie chyba, że facet z taką gotówką wybrał się na wycieczkę do Polski?

— Ale wiesz, czego mordercy nic zabrali?

— Czego?

— A tego — Walczak otworzył szufladę biurka i wyjął z niej fotografię — Spójrz.

— Śliczna dziewczyna — powiedział Downar. patrząc na powiększone zdjęcie efektownej blondynki w kostiumie kąpielowym. — Skąd to masz?

— Kamiński z Komendy Ruchu znalazł pod obiciem przedniego siedzenia.

— Wencel pod obiciem woził fotografie babek? — zdziwił się Downar — Zupełnie nieprawdopodobna historia. Po co mu to było?

Walczak wziął do ręki zdjęcie i w zamyśleniu przyglądał mu się przez chwilę.

—Po co, to ja nie wiem, ale fakt pozostanie faktem. Ta odbitka została zrobiona przez fotografa mediolańskiego. Masz tu firmę na odwrocie. A teraz zastanówmy się chwilę. Dziewczyna, jak sam widzisz, pierwsza klasa, piękna, fantastycznie zbudowana, młoda, jednym słowem luksusowa babka. Zdjęcie zrobione na tle jeziora. W oddali widać pałacyk, statek na jeziorze. Jeżeli Wencel zadał sobie tyle trudu, żeby schować tę fotografię pod obiciem samochodu, to widocznie bardzo mu na niej zależało. Mógł mieć więcej takich odbitek ale liczył się z tym, że zgubi, albo że mu ktoś ukradnie. Najwyraźniej chciał się zabezpieczyć. Pomyślmy teraz chwilę nad tym, dlaczego taką wagę przywiązywał do tego dziewczęcia?

—Chyba to nie była jego ukochana — uśmiechnął się Downar.

—Na pewno nie. Fotografię ukochanej nie wsadzałby pod obicie.

—A może szukał kogoś takiego.

Walczak strzelił w palce.

—O, to już. Stefuś, bardziej prawdopodobne. Szukał kogoś. Otrzymał polecenie znalezienia tej dziewczyny, która być może zaginęła, zdobył informacje, że znajduje się na terenie Polski i prosił nas o pomoc.

—Przyjmij sobie, że cały czas mówił o jakiejś bardzo delikatnej i dyskretnej sprawie — zauważył Downar — Gdyby chodziło o zwykłe zaginięcie, to zwróciłby się do nas oficjalnie, a nie obiecywał pięciuset dolarów za współpracę.

Walczak skinął głową.

—Tak. To też prawda. Mówił, że to dyskretna sprawa o charakterze towarzyskim. Może chodzi o jakiś skandal. Może babka uciekła od męża z konduktorem, albo z pilotem. Cóż chcesz, różne rzeczy się zdarzają. Jak taka bogata cizia zakocha się, to na nic nie zważa.

— Masz rację, jak się kobieta zakocha, to na nic nie zważa — powiedział Downar i zapalił papierosa. — To, co mówisz, nie jest pozbawione sensu. Bardzo prawdopodobne, że Wencel przyjechał tutaj w celu znalezienia czyjejś zbłąkanej żony. Tylko teraz trzeba dopasować do tej koncepcji motywy zbrodni. Kto i dlaczego zabił mediolańskiego detektywa?

Walczak zawzięcie szarpał wzburzoną czuprynę i pogwizdywał arię Radamesa.

— No, cóż ... Można sobie oczywiście różne budować teorie. Powiedzmy, że Wencel wpadł na trop wiarołomnej żony i zrozpaczony kochanek postanowił go zgładzić.

— Wierysz w to, że istnieją w Warszawie tacy zrozpaczeni kochankowie?

Walczak z powątpiewaniem pokręcił głową,

— Właśnie, w tym cały feler, że nie bardzo wierzę w taką bezgraniczną miłość, która prowadzi aż do zbrodni. To mi jakoś w obecnej rzeczywistości nie siedzi. Tutaj także i forsa musiała by wchodzić w grę.

— A może piękna pani wywiozła z Italii ogromny majątek — zaproponował Downar. — Powiedzmy rodzinne klejnoty. Zwiąła do Warszawy z jakimś hochsztaplerem i teraz ją poszukuje rodzinka, której może nie tyle chodzi o piękną kuzynkę, ile o te brylanty. Zresztą i jedno i drugie może wchodzić w grę.

— To jest, Stefuś, zupełnie niezła koncepcja. Taka kombinacja mogłaby być prawdopodobna. Tylko, że tak to coś wygląda za bardzo powieściowo. A może ty byś zaczął pisać scenariusze filmowe? Masz fantazję,

— Nie wygłupiaj się.

Walczak uśmiechnął się.

— Wcale się nie wygłupiam. Mówię zupełnie poważnie. Nie da się przecież zaprzeczyć, że natura obdarzyła cię szczerze literacką fantazją. Pomyśl co za temat do powieści. Piękna Włoszka ucieka z rodzinnymi klejnotami do Warszawy, gdzie mieszka jej ukochany. Zazdrosny mąż wynajmuje prywatnego detektywa i posyła go w ślad za wiarołomną połowicą. Nowoczesny Sherlock Holmes wpada na trop kochanków i ginie z rąk oszalałego z namiętności młodzieńca. Niezłe dziewiętnasto-

wieczne powieściłło, co?

—Czekaj, czekaj — powiedział Downar. — To, co mówisz, nasuwa mi pewną myśl. A gdyby tak odwrócić sytuację? Może to wcale nie Włoszka. Może to Polka. Sądząc ze zdjęcia, to nie jest typ Włoszki. Wysoka, blondynka ... Wprawdzie kobiety często zmieniają maść, ale... Ta babka nie wygląda mi na Włoszkę. Mogła coś na terenie Włoch narozrabiać. Trzeba by sprawdzić, czy ktoś tutaj u nas nie widział tej ślicznotki.

—No to sprawdzaj. Nie bardzo sobie wyobrażam, jak masz to zamiar robić. Nie będziesz chyba latał po Warszawie i pokazywał napotkanym znajomym kociaka w kostiumie kąpielowym.

Downar zamyślił się.

—Nie wiem. Może będę. Muszę się nad tym zastanowić.

Życzę powodzenia.

Downar wrócił do siebie. Uporządkował papiery w biurku, przejrzał notatki, dotyczące sprawy Jacka Niewiarowskiego i dłuższy czas przyglądał się fotografii pięknej dziewczyny w kostiumie kąpielowym. Przypomniała mu się rozmowa z Pauliną. Właściwie sprawę miał w swoich rękach i gdyby był świnią... Nie ulegało wątpliwości, że mógł zdobyć dalsze dowody winy tego chłopaka i tak wszystkim pokierować ... Uśmiechnął się.

ROZDZIAŁ VII

Paulina kończyła nocny dyżur. Tak się złożyło, że tym razem przeważnie kobietom udzielała pomocy. Samotna staruszka, zawał serca. Nieszczęśliwa żona jakiegoś rzemieślnika, zbita i poraniona przez męża Płukanie żołądka młodej dziewczyny, która próbowała odebrać sobie życie. Rzucił ją narzeczony, smutna lista ludzkich tragedii. Była zmęczona. Czuła się jakby osaczona przez płacz, złośczenia, narzekania na los. Tak bardzo chciała pomóc tym wszystkim maltretowanym przez życie istotom, a tak mało mogła zrobić. Wiedziała przecież, że zastrzyk, płukanie żołądka czy wsadzenie do aresztu zwyrodniałego sadysty to są tylko dorywcze półśrodki, nie dające tym wszystkim ludziom żadnych perspektyw lepszego jutra. Kto wie, czy zdradzona dziewczyna nie rzuci się pod pociąg albo czy zbrodniczy pijak następnym razem nie zabije swej żony?

„Dlaczego właściwie przejmuję się cudzymi nieszczęściami?” pomyślała „Czyż nie dość mam własnych

—Wiedziała, że sprawa Jacka jest poważna. Nie wierzyła oczywiście, żeby on popełnił tę zbrodnię, ale to, co jej powiedział Stefan, brzmiało groźnie. Stefan? Uśmiechnęła się mimo woli. Kiedyś tak go nazywała w myślach. Bardzo go lubiła. Był taki niesłychanie sympatyczny, bezpośredni, wesoły, wspaniały kompan. Nigdy nie przypuszczała, że to milicjant, Jak mógł taki człowiek wybrać sobie taki zawód? Od razy straciła dla niego całą sympatię. W jednej chwili stał się i zupełnie obcym, a nawet wrogiem. Czy zdoła tak poprowadzić śledztwo, żeby wykazać niewinność Jacka? Czy będzie mu się chciało pochodzić koło tego? Po co mu to? Czyż nie prościej zadowolić się wyraźnymi poszlakami i nie zawracać sobie głowy żmudnym, niepewnym dochodzeniem? Pod koniec ich rozmowy zrobił się nagle taki dziwny, nieprzyjemny. Dlaczego? Czy zrobiła mu nieświadomie jakąś przykrość? Czyżby był zazdrosny o Jacka? Nonsens. Nigdy między nimi nic nie było. Nigdy, podczas całego pobytu w Zakopanem, nie zrobił najmniejszej aluzji na ten temat, że mu

się podoba. Nawet miała mu to trochę za złe. Na ogół mężczyźni zwracali na nią uwagę, nie tylko jako na towarzysza górskich wycieczek.

Nie, nie, ten element na pewno nie wchodził tu w grę. Może po prostu był już znudzony tym wszystkim. Chciał się jej jak najprędzej pozbyć. Trzeba z nim jeszcze koniecznie porozmawiać. Koniecznie. Nie można dopuścić do sprawy. Nie, nie, w żadnym wypadku. W tej chwili przyszło jej na myśl, że Jacek nie ma adwokata. Powinien mieć dobrego obrońcę. Ale skąd na to wziąć pieniądze?

—Pani doktor widzi, co się wyprawia? — powiedział nagle kierowca.

—Co się stało?

—Niech pani patrzy. O tam, tam, na prawo. Jakaś babeczka zasuwa w pidżamie po ulicy.

Paulina spojrzała we wskazanym kierunku. Rzeczywiście tuż przy chodniku biegła młoda dziewczyna w pidżamie. Widać było, że jest bardzo wyczerpana i że dobywa resztek sił.

—Niech pan ją minie i niech pan jej zajedzie drogę. panie Jasiu.

Karetką pogotowia zatrzymała się przy krawężniku. Paulina szybko wyskoczyła z wozu. — Co pani robi? Gdzie pani tak biegnie? — Napotkała przerażone, na wpół przytomne oczy.

—Muszę uciekać! Puśćcie mnie! Muszę uciekać!

—Gdzie pani musi uciekać? Dlaczego?

—Zabijają mnie! Za biją mnie! Muszę uciekać!

Paulina łagodnie, ale zdecydowanie ujęła dziewczynę za rękę.

— Proszę się uspokoić. Nikt pani nie zabije. Nic pani nie grozi.

Obejrzała się.

— Gonią mnie. Słyszysz pani? Gonią mnie. Zabijają.

—Zdaje się pani. Nic nie słyszę.

—Czy zabierzemy ją do wozu? — spytał sanitariusz, który przybiegł z pomocą.

Paulina skinęła głową.

—Tak.

Dziewczyna szarpnęła się.

— Nie, nie. Ja muszę uciekać. Oni mnie zabiją!

— Ale przecież to jest pogotowie ratunkowe. W naszym wo-
zie nic pani nie grozi. Niechżeź się pani uspokoi.

Sanitariusz ujął ją mocno pod rękę.

— Idziemy. I proszę bez żadnych grymasów. Zaprowadzili
ją do karetki. Paulina otworzyła torbę przygotowała krople
uspakajacie.

— Proszę to wypić.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Dziewczyna powoli przy-
chodziła do siebie.

— Jak się pani czuje? — spytała Paulina, obserwując ją
uważnie.

— Już lepiej. Dziękuję... I przepraszam, że narobiłam tyle
kłopotu.

— Gdzie panią odwieźć?

Znowu w dużych, błękitnych oczach pojawił się paniczny
strach.

— Nie wiem. Nie wiem. Boję się.

— Odwieziemy panią do domu.

Chwyła Paulinę za rękę i aż do bólu wpiła się paznokciami
w jej dłoń.

— Nie, nie. Znajdą mnie. Zabiją!

— Więc gdzie panią mamy odwieźć? Może do jakichś krew-
nych, do rodziny?

— Nie mam rodziny. Nie mam nikogo. W nagłym ataku
strachu objęła kurczowo Paulinę. — Niech mnie pani ratuje!
Niech mnie pani ratuje! Ja nie chcę umierać. Ja jestem młoda.
Ja chcę żyć.

— Proszę się uspokoić. Tutaj nic pani nie grozi. Nie pozwoli-
my zrobić pani krzywdy.

Pod wpływem łagodnych, spokojnych słów mięśnie dziew-
czyny rozluźniły się. Zaczęła płakać.

— Jestem taka nieszczęśliwa, taka nieszczęśliwa — powta-
rzała przez łzy.

— Co pani doktor z nią zrobi? — spytał cicho sanitariusz.

Paulina patrzyła na jasne włosy dziewczyny, na prawie

dziecinne, zgarbione ramiona, wstrząsane płaczem. Zrobiło jej się żal.

—Zabiorę ją do siebie.

Sanitariusz spojrział zaskoczony na lekarkę.

—Tego niech pani nie robi. pani doktor.

—Nie mam innego wyjścia. Widzi pan, w jakim dziewczyna jest stanie.

—Może ją odwieźć na milicję.

Podniosła głowę.

—Nie. nie, błagam was, tylko nie na milicję. Błagam panią.

—Zabiorę ją do siebie — powtórzyła Paulina,

Sanitariusz wzruszył ramionami.

—Jak pani doktor chce, ale ja nie radzę.

Paulina mieszkała na Grochowie. Miała duży pokój z kuchnią. Wprowadziła dziewczynę i posadziła ją na krześle.

— Zaraz zrobię kąpiel, to się pani rozgrzeje — powiedziała, widząc, że drży z zimna. — A potem prześpiemy się trochę. Rozłożę amerykańkę. Całą noc pracowałam, a i pani przyda się odpoczynek. Poszła do łazienki i puściła wodę. Kiedy wróciła, dziewczyna siedziała w tej samej pozycji, Paulina wzięła ją za ręce. — Odwagi. Tutaj nie potrzebuje się pani niczego obawiać. Proszę iść do wanny, Pchnęła ją delikatnie w kierunku łazienki, a widząc, że się opiera, objęła ją serdecznie w pól i zaprowadziła do kąpeli. Pomogła jej zdjąć pidżamę i aż krzyknę.

—Jezus, Maria! Kto panią tak skatował? Co się stało? — Ciało dziewczyny było poznaczone krwawymi pręgami.

— To nic. To nic. To przejdzie.

Paulina nie dopytywała się. Zdawała sobie sprawę z tego, że dziewczyna przeżyła jakąś ponurą tragedię. I że w tej chwili lepiej o tym nie mówić. Podała jej gąbkę i mydło. — Niech się pani umyje, tylko bardzo delikatnie. Nie trzeba zdrapać tych strupów.

Później Paulina ułożyła swoją nową lokatorkę na amerykańce, sama wzięła ciepły prysznic i przygotowała śniadanie. — Jak pani na imię? — spytała, zajądając z apetytem jajecznicę na

boczku.

—Iwona.

— Ładne imię. Niech pani je, bo wystygnie.

Kiedy piły herbatę, dziewczyna podniosła na Paulinę duże, niebieskie oczy i spytała:

— Dlaczego pani to robi?

—Co?

—Dlaczego pani zabrała mnie do siebie, wykapała, nakarmiła? Przecież ja jestem zwykłą k... Skąd pani może wiedzieć, że ja panią nie okradnę?

—Nie wiem skąd, ale wiem.

—Ale dlaczego pani się mną zaopiekowała? Nie rozumiem. Dlaczego?

Paulina uśmiechnęła się.

—Czy pani nie sądzi, Iwonko, że czasem można zrobić dla drugiego człowieka ot tak sobie, po prostu, żeby mu pomóc.

Iwona bardzo uważnie przyjrzała się młodej lekarce.

—I pani tak bez żadnego powodu wzięła mnie do siebie?

—Bez żadnego powodu.

—Nieprawdopodobne. Zupełnie nie mogę w to uwierzyć.

—Nigdy nikt nie zrobił dla pani nic bezinteresownie. Każdy, jak coś robi, to chce coś z tego mieć.

—Widocznie jednak nie każdy. Ja na prawdę nic nie chcę z tego mieć, że panią wzięłam do siebie.

—Pani jest albo święta albo niezupełnie normalna.

—Że jestem nienormalna, to bardzo prawdopodobne — roześmiała się Paulina. — Już nawet ktoś mi to kiedyś powiedział. No, dosyć gadania. Niech się pani kładzie. Prześpimy się trochę, ale przedtem jednak opatrzę pani te rany. Będzie trochę piekło, ale chyba pani wytrzyma.

Iwona bez sprzeciwu poddała się zabiegom lekarskim. Nie syknęła nawet z bólu. Powtarzała tylko: — Ja go zabiję! Ja drania zabiję!

Paulina nie usiłowała dowiedzieć się, pod czyim adresem skierowane są te groźby, ale Iwona sama, nie pytana, powiedziała. — Pani pewnie myśli, że to mój kochanek. Nie, on nie jest moim kochankiem.

—Dlaczego pani nie złoży skargi do milicji? — spytała Paulina.

—Nie mogę. Nie mogę pokazywać się na milicji, bo by mnie wsadzili do więzienia. Wrocławska prokuratura mnie poszukuje.

—Co pani takiego zrobiła?

— A, nie warto o tym gadać. Wciągnął mnie Wacek do bandy. Wacek, to był kiedyś mój kochanek, mój pierwszy chłopak. Wierzyłam mu. Uważałam go za bohatera. Bandzior!

— Później mi pani to wszystko opowie — zaproponowała Paulina. — Teraz trochę odpoczniemy. Nie trzeba przypominać sobie przykrych rzeczy. Nie trzeba się denerwować. — Podeszła do okna i pociągnęła zasłony. — Niech pani śpi, Iwonko. Proszę się niczym nie martwić. Wszystko się ułoży.

— Dziękuję. Pani jest bardzo dobra.

Spały do trzeciej po południu. Obudziwszy się. Iwona w pierwszej chwili nie mogła się zorientować, gdzie jest i co się z nią dzieje. Czowała, że jest jej jakoś bardzo dobrze, ale właściwie nie wiedziała, dlaczego. Dopiero uśmiechnięta twarz Pauliny przywróciła ją do rzeczywistości

— Wypoczęła pani.

— Znakomicie. Jestem zupełnie odrodzona.

Paulina pogładziła ją po głowie.

— To się bardzo cieszę. Musi pani nabrać sił. przyjsć do siebie. Zaraz zrobię obiad. Zobaczymy, co tam mamy w lodówce.

— Ja ... dziękuję. Nie jestem głodna.

— O, tylko proszę bez żadnych grymasów. Jak pani jest u mnie, trzeba jeść i to dużo.

— w takim razie pomogę pani — powiedziała Iwona wyskoczyła z pościeli.

Wspólnymi siłami przygotowały błyskawiczny obiad. Zupa z torebki, gulasz konserwowy i budyń z dżemem. Gospodarując w kuchni, śmiały się, żartowały. Robiły wrażenie dwóch siostr czy przyjaciółek, znających się od lat. Iwona przestała być ściganym, przerażonym zwierzęciem. Zaczęła się poruszać i mówić normalnie. Kiedy kończyły jeść, powiedziała: — Ja chciałabym.. ja muszę pani wszystko wytłumaczyć.

Paulina łagodnym ruchem dotknęła lej dłoni.

—To nie jest konieczne, kochanie. Na prawdę.

—Ale ja chcę... ja muszę...

—O nic panią nie pytam — uśmiechnęła się Paulina. — Ani nie namawiam do żadnych zwierzeń, ale jeżeli ma to pani przynieść ulgę, to proszę mówić.

—Chcę, żeby pani wszystko dokładnie o mnie wiedziała, żeby pani nie miała złudzeń.

—Ja staram się w ogóle nie mieć złudzeń — powiedziała Paulina. — A jeśli chodzi o osobę pani, to jakież mogłabym mieć złudzenia? Ot po prostu wracałam od chorego, zobaczyłam panią biegnącą w pidżamie po ulicy i uważałam za swój obowiązek pomóc komuś, kto tej pomocy bardzo potrzebował i chyba w dalszym ciągu potrzebuje.

—Bo widzi pani... są różne dziewczęta. Są takie, które idą na tę drogę, bo im się to po prostu podoba. Lubią wódkę, mężczyzn. Lubią się ładnie ubrać, chodzić po lokalach, tańczyć, spędzać nocę w hotelach. Ja nigdy o takim życiu nie myślałam. Pochodzę z dobrej rodziny. Mój ojciec był adwokatem. Moja matka jest nauczycielką. Po co ja to wszystko mówię? Pani i tak mi nie wierzy.

Paulina przysunęła krzesło i otoczyła dziewczynę ramieniem.

—Dlaczegoż mam ci nie wierzyć, kochanie? Przecież nie musisz tego wszystkiego mówić. Nikt cię nie zmusza. Sama chcesz ...

—Ja wiem. ja wiem... — szepnęła szybko Iwona. — Ale... ale każda taka dziewczyna, jak ja, stara się wydać w lepszym świetle, chce być nie taka zwyczajna... I dlatego stwarza jakąś legendę o sobie, o swoim życiu. Chce być lepsza. Chce mieć coś na swoje usprawiedliwienie, chociaż by to nawet była nieprawda. Rozumie pani?

—Rozumiem.

—Ja się dobrze uczyłam. Miałam same piątki. Byłam zdolną uczennicą. Chciałam skończyć politechnikę, byłam na politechnice w Gliwicach, ale tylko jeden rok

—A co się stało?

—To wszystko przez niego, przez tego drania.

—O kim pani mówi?

—Ojciec mój zginął w katastrofie kolejowej, jak miałam dwanaście lat. Po trzech latach od jego śmierci mama zakochała się w jednym inżynierze i wyszła za niego za mąż. Z początku było wszystko dobrze, ale to nie długo trwało. Zaczął mnie zaczepiać, nagabywać, namawiać. Mówił, że mnie kocha, że żyć beze mnie nie może. Miałam szesnaście lat. Nie wiedziałam, co robić. Bałam się, strasznie się bałam. Wreszcie przed samą maturą... Mama wyjechała do Warszawy na zjazd nauczycieli. Zostaliśmy sami.

— Byłam tak wstrząśnięta tym wszystkim — ciągnęła dalej Iwona — że myślałam, że nie zdam matury.

Ale wzięłam się w garść i zdałam. Zdałam także i na politechnikę. Nie mogłam jednak zostać w domu. Uważał, że ma do mnie prawo. Były ciągle awantury. Kiedyś mnie pobił. Nie byłam w stanie znieść tego dłużej. W tym czasie poznałam Wacka. Pokochałam go. W takiej sytuacji szuka się kogoś, kto mógłby pomóc, obronić. Wacek wydał mi się fantastycznym chłopakiem. Wysoki, silny, zaradny, bardzo przystojny, Szalałam za nim. Byłam przekonana, że jest dobry, szlachetny, rycerski.

— I pomyliła się pani.

— Oczywiście, że się pomyliłam. To był zwykły bandzior. Kazał mi rzucić politechnikę, zabrał mnie ze sobą do Wrocławia. Byłam tak zakochana, że godziłam się na wszystko. Wciągnął mnie do swojej bandy. Kradł po prostu. Urządzali napady na sklepy. Kiedyś wzięli mnie ze sobą na taką robotę. Wpadli. Milicja zamknęła wszystkich. I mnie też by zamknęli, gdyby nie Oskar.

— Jaki Oskar?

— Oskar Przetecki. Zabrał mnie do siebie, do Warszawy. Mieszkałam u niego ze dwa tygodnie. Ubrał mnie. Myślałam, że mnie kocha. Ale on mnie zaczął napuszczać na zagranicznych gości. Z początku nie chciałam. Groził, że mnie wyda milicji. Co miałam robić? Nie znałam nikogo. Do matki już wrócić nie mogłam. Oskar wyrobił mi dowód osobisty na inne nazwisko.

— Ale co pani takiego zrobiła? — spytała Paulina. — Dlaczego

go właściwie bała się pani milicji?

—Mówiłam pani, że Wacek wciągnął mnie do swojej bandy. Ja nie brałam udziału w tych kradzieżach. Zostawiali mnie zawsze na ulicy. Miałam gwizdać, jakby się zbliżało niebezpieczeństwo.

—Skąd milicja dowiedziała się o pani?

—Na pewno któryś z nich sypnął mnie na badaniu. Może nawet sam Wacek. To podły tchórz.

Paulina w zamyśleniu przyglądała się dziewczynie.

—Tak. Trzeba przyznać, że nie miała pani dotychczas szczęścia do mężczyzn. Jakoś to wszystko pechowo się układało. Proszę mi powiedzieć, ile pani ma lat?

—Dwadzieścia jeden.

—A kto panią tak teraz pobił?

—Oskar.

—Za co?

—Za to, że nie byłam mu posłuszna. On chce, żebym szła z każdym, którego mi namota. A ja nie mogę. Pani chyba rozumie?

—Oczywiście, że rozumiem. Musi pani z tym skończyć.

Iwona roześmiała się.

—Skończyć? To się tak łatwo mówi. A z czego będę żyła? Kto mi da pracę? Co ja umiem robić? Nic, absolutnie nic.

—Pomogę pani.

Wzruszyła ramionami.

—Co mi pani może pomóc? Sama pani ledwie koniec z końcem wiąże. Co taka lekarka w pogotowiu zarobi? Grosze. Bardzo pani dziękuję za dobre chęci, ale nic z tego. Ja już zostanę tym, czym jestem. Tylko muszę wyjechać z Warszawy,

— Dlaczego?

— Dlatego, żeby mnie zabili tu te oprychy. Uciekłam Ryśkowi,

— Kto to znowu jest Rysiek?

— Rysiek Karwacz. To taki pomagier Przeteckiego. Oskar kazał mu mnie pilnować. Uciekłam. Teraz będą mnie szukać, a jak znajdą, to zatłuką gdzieś w ciemnej ulicy. To są tacy ludzie, że po nich wszystkiego się spodziewać. Widziała pani, jak mnie

ten drań skatował. Żelazną szpicrutą mnie siekł. Jak wściekłego psa. Ale ja mu tego nie daruję. Przyjdzie chwila, że się zemszczę. Zabiję drania. — Tyle było w tych słowach ponur ej zawziętości, że Paulina aż się wzdrygnęła.

— Po co myśleć o zemście. To niepotrzebne, niedobre myśli. Musimy się zastanowić, jak panią urządzić. Być może, że rzeczywiście pobyt pani w Warszawie jest w danym momencie nie wskazany. Wie pani co? W Łowiczu mam kuzynkę, która poszukiwała gosposi. Może dałoby się u niej... Szkoda, że nie ma Jacka. On by coś doradził.

—Jakiego Jacka?

— Jacek to mój narzeczony. Chwilowo wyjechał. Zna go pani może?

—Nie, skąd. Nie znam go. Tylko Rysiek chwalił się przede mną, że ograli jakiegoś Jacka. Dlatego mi się przypomniało. Podobno frajer spłukał się kompletnie.

ROZDZIAŁ VIII

Przetecki był w złym nastroju. Po wczorajszym piciu bolała go głowa, a poranne rozmowy telefoniczne nie najlepiej wpłynęły na jego humor. Wszystko wskazywało na to, że w najbliższym czasie mogą nastąpić komplikacje, które ... Przetecki był człowiekiem przewidującym, doświadczonym i wiedział, iż pewne sprawy należy likwidować w odpowiednim momencie. W swym życiu był już świadkiem wielu paskudnych wpadek, spowodowanych zbytnią zachłannością i przeciągnięciem tak zwanej struny. Wypadki ostatnich czasów stworzyły wokół niego niezbyt korzystną atmosferę i należało, bez pośpiechu oczywiście, pomyśleć o rozsądnej likwidacji interesów. Jeszcze najwyżej dwie, transakcje i chyba będzie mógł wyjechać na stałe,

Kiedy kończył się golić, zadzwieczał dzwonek u drzwi wejściowych. Wytarł twarz ręcznikiem i poszedł otworzyć. Zdziwił się, ujrawszy Ryszarda.

—Co się stało?

—To nie moja wina, szefie.

—Ale co się stało? Gadaj, do diabła!

—Iwona uciekła.

Przetecki wpadł we wściekłość. Oczy mu się zwężyły, twarz nabiegła krwią.

— Ty kundlu — syknął przez zaciśnięte zęby. Zamachnął się i na odlew trzasnął chłopaka w twarz. — Ja cię nauczę.

Karwacz zatoczył się i byłby upadł, ale oparł się o ścianę. — Tylko bez bicia — wybełkotał — Bo ja także potrafię bić.

Przetecki podszedł bliżej, wziął go pod brodę i brutalnie przechylił głowę do tyłu. — Stawiasz się? Mnie? Podskakujesz?

Karwacz nagle spokorniał.

—Po co ta rozróżba, szefie? Jak Boga kocham. Nie moja wina. Zmęczony byłem. Zdrzemnąłem się. Uciekła

—To nie mogłeś drzwi zamknąć na klucz?

—Zamknąłem, ale zapomniałem klucza wyjąć z zamka.

—Kretyn.

Karwacz dotknął obolałej twarzy. Gotowało się w nim, ale bał się. Wiedział, że z tym człowiekiem nie ma żartów. Nie jedno już widział. Przetecki zużył dużo energii, żeby w swoich współpracowników wpoić żelazną dyscyplinę i ślepe posłuszeństwo. Na najmniejsze przejawy buntu reagował pięścią, nożem, a nawet pistoletem. Zarabiali przy nim dużo, ale musieli słuchać Wykonywać rozkazy błyskawicznie i dokładnie. Od tego przecież zależało powodzenie. Zresztą przeważnie dobierał sobie ludzi, których utrzymywał w dyscyplinie nie tylko terrorem i widokami dużych zarobków. Prawie każdy z jego pomocników miał jakieś dawne grzeszki na sumieniu, coś zawdzięczał „szefowi” i wołał żyć z nim w zgodzie.

—Siadaj i mów jak było — warknął Przetecki.

— Ano wziąłem ją wtedy wieczorem do siebie. Na razie siedziała cicho. Kurowała się po tym przeszkoleni Nie przypuszczałem, że będzie chciała pryskać. Dzisiaj w nocy położyłem się spać, jak zwykle, około chyba dwunastej. Zasnąłem zaraz, bo byłem zmęczony. Budzę się po szóstej, patrzę Iwony nie ma. Myślałem, że w łazience. Ani śladu. Zwiąła. Zabrała mi klucz od bramy. Ale chyba nie ma się co tym tak bardzo przejmować. Zwiąła to zwiąła. Pies z nią tańczył.

Przetecki spojrział ponuro.

—Jesteś skończony idiota. Jeżeli ją jakiś patrol milicyjny zatrzymał w nocy, to ją będą wypytywać, co, jak, kto ją pobił. Możemy mieć z tego powodu duże kłopoty. Chyba schowałeś jej ubranie. W czym wyleciała na miasto?

—W pidżamie.

A niech cię cholera. No to oczywiście, że ją milicja zatrzymała. Babka biega w nocy po ulicy w pidżamie i mieli ją nie zatrzymać. Słuchaj, cymbale, musisz się na jakiś czas zlikwidować z terenu. Wyjedź i to zaraz. Zadekuj się gdzieś na wsi. Może ci się uda załatwić meldunek z wcześniejszą datą. W razie czego zaprzeczysz, że Iwona u ciebie mieszkała, że ją w ogóle znasz. Ja tu sobie poradzę.

—A forsa, szefie?

—No przecież podobno wygrałeś od tego idioty kupę pieniędzy.

—Miałem zobowiązania. Szefuńcio mi jest jeszcze winien parę złotych.

Przetecki wyjął portfel.

—Masz dwa patyki i znikaj. Żeby cię tu nikt w Warszawie nie widział. Rozumiesz?

—Miej więcej. Jadę na zieloną trawkę. Akurat wiosną. Opa-
lę się.

—Utrzymuj ze mną kontakt. Możesz mi być potrzebny. Ale nie telefonuj do mnie. Napisz na poste restante, gdzie się ulokujesz.

Pozegnali się w pozornej zgodzie, ale Przetecki był zbyt dobrym psychologiem na to, żeby nie wyczuć, iż Ryszard nie prędko zapomni uderzenia w twarz. Żałował teraz tego, co się stało. Ostatnio popełniał sporo błędów, był nieopanowany, dawał się ponosić chwilowej pasji. Przecież także zupełnie niepotrzebnie skatował Iwonę. Nerwy, wszystkiemu winne nerwy. Ale jednak boją się go, znają mores. Karwacz nie należał do wątłych mężczyzn. Kiedyś był dobrym bokserem, świetnie umiał posługiwać się nożem. Nie odważył się jednak. Nie odważył się odpowiedzieć pięścią na uderzenie. Nigdy się nie odważy

Nierzebne to było, zupełnie niepotrzebne. Spojrzał na zegarek. Za pół godziny miał się spotkać z Andrzejem

W Słowiańskiej o tej porze było pusto. Pod oknem trzech mężczyzn, wyglądających na szoferów. Pili wódkę pod śledzia i kłócili się o coś zawzięcie, i naumyślnie wybrał tę podłą knajpę, ponieważ nigdy tutaj nie bywał i nikt go nie znał.

Andrzej siedział w rogu i udawał, że nie zauważa porozumiewawczych znaków leciwego dziewczęcia,

— Coś ty znowu narozrabiał? — spytał bez żadnych wstępów Przetecki.

Andrzej spojrzał na niego wyczekująco, nie rozumiejąc o co chodzi.

— Narozrabiałem? Chyba należy mi się extra gratyfikacja za to wszystko. Sprytnie, no nie? Niewiarowski siedzi za zamordowanie wujaszka i spokój, milicja już ma winnego. Alibi Jackowi nie wyszło, sprawa załatwiona. Dożywocie.

— Dwie duże kawy — powiedział Przetecki. widząc zbliżającą się kelnerkę. Pochylił się nad stolikiem i zniżył głos.

— Nie bądź dziecinny, Andrzej. Nie wyobrażaj sobie, że tam w milicji siedzą sami idioci. Myślisz że tak od razu uwierzyli w to, że Niewiarowski jest mordercą.

— Aresztowali go.

— To nic nie znaczy. Być może. że mają przeciwko niemu szlaki, a być może, że to tylko trick.

— Trick?

— Oczywiście. Robi się tak. Zamyka się faceta, żeby uspokoić teren. Opowiedz mi jeszcze raz, jak to było.

— Ano zwyczajnie. Przyszedł do mnie Jacek późnym wieczorem. Nawet się go wcale nie spodziewałem. Było trochę wódki, dziewczyny.

— I dziewczyny były?

— Były dwie.

— Do diabła. Które? Znam je?

— Może je i znasz. Luiza, ta czarna wysoka, i Sabina, pulchniutka babeczka.

— No i co dalej?

— No i nic. Popiliśmy, potańczyli. Kupiłem od Jacka sto dolarów. A potem ty zadzwoniłeś.

— Ja?

— A kto? Napoleon? Kazałeś mi załatwić z tym alibi, no to załatwiłem. Lepiej nie można.

— Ja do ciebie wcale nie telefonowałem — powiedział stanowczo Przetecki.

Andrzej spojrział na niego i uśmiechnął się łobuzersko.

— Co ty? Chcesz mnie czarować? Ale dobra, niech

będzie. Rozumiem, że musisz tak mówić. No więc Jacek się przespał, potem poszedł. Było już chyba po trzeciej. Pojechałem do mojej przyjaciółki. żona jedi nego literata. Mówiłem ci kiedyś o niej.

— I co?

— I kazałem jej powiedzieć, jakby się milicja pytała, że spędziłem u niej całą noc. A potem jeszcze tak wykombinowałem, żeby mnie cieć spostrzegł, jak będę wychodził. Wróciłem do

domu i położyłem się spać. Obudził mnie ten śledczy.

— Pytał o Jacka?

— Jasne. Powiedziałem, że nie było mnie całą noc w domu i że nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Po długich ceregielach przyznałem się, że noc spędziłem a pani Smorzeńskiej.

— Sądziś, że potwierdziła twoje zeznanie?

— Oczywiście. Przede wszystkim jest we mnie szalenie zakochana, a poza tym boi się, żebym jej nie syknął przed mężem. Zresztą nawet kłamstwo nie było takie wielkie, bo wprawdzie nie siedziałem u niej całą noc, ale od czwartej do szóstej.

— Psiakrew — zaklął Przetecki — Głupio to wszystko wyszło. Niepotrzebnie to zrobiłeś.

— Przecież sam mi kazałeś.

Tłumaczę ci, że ja do ciebie nie telefonowałem. Nic ci nie kazałem.

Andrzej wzruszył ramionami.

No dobra, dobra. Nie ty, tylko duch królowej Bony. Ale mniejsza z tym. Jeżeli ci na tym zależy, to możesz sobie zaprzeczać, ile tylko ci się podoba. Uważam tylko, że ze mną mógłbyś nie robić tych komedii.

— Przestań się czepiać — warknął Przetecki.

— Rozumiem twoje zdenerwowanie — mówił dalej Andrzej — Nie dziwię się wcale, że jak przyjechał ten facet z Mediolanu i zaczął węszyć, to mógł cię szlag trafić. No, niechby tak dowiedział się o Marioli. Koniec. A był już na dobrym tropie. Pojechał do tego starego dziada do Konstancina, potem zasunął na Siekierki.

— Do Justyny?

Prawdopodobnie. W tej sytuacji wcale ci się nie dziwię, żeś wyszedł, jak to się mówi, z nerw i zlikwidowałeś faceta. Uważam jednak, że to było niepotrzebne i źle zrobione.

Twarz Przeteckiego poczerwieniała gwałtownie.

— Ile razy mam ci tłumaczyć, że ja nie zamordowałem tego gościa. No przecież znasz mnie. Andrzej. Nie jestem idiota, żeby się wdawać w mokrą robotę.

Popiel machnął ręką.

— Widzę, że się nie dogadamy. Nie to nie. Nie znałeś. nie

telefonowałeś. W ogóle nie masz z tym nic wspólnego. Byłeś wtedy u spowiedzi.

—Przestań się wygłupiać. Nie czas teraz na to. Słuchaj. Trzeba pomyśleć, jak załatwić z tymi, które wtedy u ciebie były. Niewiarowski je zna?

—Wtedy je poznał.

— A myślisz, że w razie konfrontacji poznałby je?

— Diabli wiedzą. Światło u mnie było niezbyt jasne, takie nastrojowe. Mógłby i nie poznać.

Przetecki nerwowo bębnił po blacie stolika.

—Musisz się nimi zająć.

—W jakim sensie?

—weźmiesz wóz i natychmiast wywieziesz je gdzieś poza Warszawę. Powiedzmy do Sochaczewa czy do Łowicza. Wszystko jedno. Mieszkanie i utrzymanie ja zapłacę. Niech się niczym nie zajmują. Poza tym trzeba je obydwie przemalować. Tę czarną każesz zrobić na blondynkę, a ta druga nie pamiętam jakiego teraz jest koloru.

—Ruda.

— No to rudą zrobisz na czarną. Nie mów im oczywiście, o co chodzi, ale muszą wyjechać. Dasz sobie radę?

— Myślę, że tak. Nie wiem tylko, czy to wszystko potrzebne.

— Na pewno potrzebne. Przecież tamten chłopak będzie się bronił. Za wszelką cenę będzie chciał dowiedzieć, że jednak był wtedy w nocy u ciebie. Powie milicji o tych dziewczynach. Imiona może pamiętać. Ci z obyczajówki zaczną szukać. Po jakiego lichą narobiłeś tego wszystkiego?

—Bo tyś mi kazał. Po coś telefonował?

Przetecki chwycił chłopaka za rękę i zacisnął palce.

— Co ty bredzisz o tym telefonie. Andrzej? Ja do ciebie nie dzwoniłem! Rozumiesz? Nie dzwoniłem.

Popiel szarpnął się.

—Zostaw. Nie dzwoniłeś, no to nie dzwoniłeś. Dobra jest. Nie mówmy już o tym.

—Słuchaj. a może to kto inny do ciebie dzwonił? Może się podszył?

—No przecież mówiłem, że Napoleon albo królowa Bona —

zaśmiał się Andrzej. — Zostawmy to.

Przetecki kiwnął na kelnerkę i zapłacił za kawę.

Uważał dalszą rozmowę za bezcelową.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Andrzej wziął go pod rękę i szepnął.

— A może ty masz ochotę mnie wrobić w tę historię?

— W jaką historię? .

— No ... w tego nieboszczyka. Może chcesz mnie wpaśować na mordercę, co?

— Oszalałeś? Co ci do głowy przychodzi? Przypuszczasz, że ja mógłbym ...

Andrzej uśmiechnął się.

— O, mój drogi, bardzo dużo się może, gdy chodzi o własną skórę. Czy masz co do tego jakieś wątpliwości?

Przetecki spojrział na niego ponuro,

— Nie podoba mi się ten ton. Posuwasz swoje żarty za daleko.

— Uważaj, żebyś ty nie posunął za daleko twojego cwaniactwa — powiedział Andrzej — No, to cześć. Zdaje się, że wszystko ustalone. Trzymaj się.

Przetecki przytrzymał go za rękę.

— Chwileczkę.

— O co chodzi?

— Słuchaj, Andrzej, uważałem cię dotychczas za jednego z moich najlepszych przyjaciół. Nie chcę, żebyśmy się tak rozstawiali. Nie myślisz chyba tego na serio ...? Nie sądzisz, że ja byłbym zdolny ...

Andrzej spojrział na niego zmrużonymi oczami.

— Co ty? Masz zamiar napisać naprędce maleńki traktacik o przyjaźni? Daj spokój, Oskar. Po co ta mowa? Znamy się obydwaj nie od dziś i wiemy, co mamy o sobie nawzajem myśleć. Zostaw ten melodramacik. To przecież jasne, że jak będzie trzeba, to..

— Tutaj już nie chodzi o forszę. Tu chodzi o szyjkę, na którą mogą zarzucić pętelkę. W takiej sytuacji każdy kumpel wysiada. Jak cię mocno przyprą do muru, to będziesz mówił, że to Andrzej Popiel wepchnął tego wujaszka z Mediolanu do jeziora

Czerniakowskiego, a znowu ja, być może, będę zmuszony zmienić pierwotne zeznania i powiedzieć, że całą noc siedziałem z dziewczętami i z Jackiem w domu. Różnie się może zdarzyć.

— Tak. Różnie się może zdarzyć — powtórzył Przetecki i wyciągnął rękę na pożegnanie. — Bądź zdrow. Załatw z tymi dziewczynkami.

— Ali right, szefie — uśmiechnął się Andrzej. Odszedł szybkim sprężystym krokiem. Był jak zawsze pewny siebie, nonszalancki, kpiący.

Przetecki przez chwilę patrzył za oddalającym się chłopakiem. Nie lubił Andrzeja, ale cenił go za jego inteligencję, szybki refleks i umiejętność pozyskiwania sobie sympatii. To był dobry współpracownik. Takich ludzi było mu potrzeba.

Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i kazał się zawieźć na Siekierki. Jego wóz zbyt rzucił się w oczy. Wolał się z nim nie afiszować. Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę z tego, że dawno nie widział Justyny. Stęsknił się za nią. To była jedyna w jego życiu kobieta, która na dłużej zatrzymała go przy sobie. Zawsze do niej wracał, przynajmniej tak było dotychczas. Chciał ją zobaczyć, a poza tym musiał z nią omówić szczegóły jej podróży.

Samochód zatrzymał się przed parterowym domem. Mały ogródek pachniał świeżą zielenią. Okna zasłonięte były okiennicami. „Czyżby nie było jej w domu?” pomyślał Przetecki i doznał uczucia dużego rozczarowania. Chęć zobaczenia Justyny stała się jeszcze silniejsza. „A może śpi?” — Wyjął klucze i, sam nie wiedząc dlaczego, ostrożnie otworzył drzwi. W niewielkim hallu było ciemno. Postąpił więc chwilę, aby oczy przyzwyczyły się do mroku. Potem, ciągle cichym, skradającym się krokiem, ruszył w kierunku sypialni.

Chłopak jednym susem wyskoczył z sypialni. Drżał z przerażenia.

— Co pan chce zrobić? Ja... Co pan chce zrobić? — bełkotał, widząc wymierzone w siebie ostrze sprężynowego noża.

Justyna narzuciła na siebie podomkę.

— Uciekaj. On cię zamorduje! Uciekaj! — krzyknęła histerycznie.

Młody człowiek wreszcie poczuł się pewniej. Wyprostował się i odetchnął głęboko.

— Niech się pan zastanowi. Co pan chce zrobić? Ja jestem bezbronny...

— Tym lepiej — powiedział spokojnie Przetecki i zbliżał się powoli, połyskując w półmroku klingą noża.

Justyna rzuciła się ku oknu i otworzyła okiennice. — Uciekaj

Chłopak zasłonił się krzesłem przed ewentualnym starciem i wyskoczył przez okno. Przetecki nie gonił go Schylił się, podniósł z podłogi marynarkę i wyrzucił ją za niefortunnym amantem. Następnie zwrócił się ku Justynie.

Napotkawszy jego spojrzenie cofnęła się instynktownie. Dobrze знаła te zimne, nieruchome oczy, prawie pozbawione źrenic. Czuli, że za chwile stanie się coś złego. Była jak sparaliżowana. Chciała wołać o pomoc, krzyknąć, ale poruszyła tylko bezdźwięcznie wargami.

Nie stało się jednak nic. Przetecki przyjrzał się trzymanemu w ręce nożowi, następnie złożył go i schował do kieszeni. — Co to za chłopak? — spytał, a głos jego zabrzmiał zupełnie spokojnie.

Justyna, widząc, że nie grozi jej bezpośrednio niebezpieczeństwo, odzyskała mowę.

— Ja go kocham. Nie masz prawa mną się rozporządzać. Ja go kocham. Rozumiesz? Kocham. — Nie będę wiecznie na twojej rozkazy. Nie będę twoją niewolnicą.

Przetecki usiadł, wyjął papierośnicę i z ogromnym zainteresowaniem przyglądał się dziewczynie. Bardzo mu się podobała.

Ośmielona, a zarazem zaniepokojona trochę tym spokojnym przebiegiem akcji, Justyna zbliżyła się do niego.

—No mówże coś. Wymyślaj mi. Bij mnie! — krzyknęła, jakby zniecierpliwiona jego flegmą.

Przetecki zaciągnął się dymem i wzruszył ramionami.

—Dlaczegoż miałbym cię bić, kochanie? Czy dlatego, że wolisz tego chłystka ode mnie? Tym gorzej dla ciebie.

—To porządny, dzielny chłopiec. Ja go kocham.

— Czy porządny, to nie wiem, ale w jego dzielność śmiem wątpić. Widziałaś chyba, co się z nim działo, jak zobaczył mój

scyzoryk. Nie, stanowczo ten twój . amant nie wygląda mi na bohatera.

— To nie jest bandzior, nożownik — powiedziała energicznie Justyna.

Przetecki uśmiechnął się.

—Czy chcesz przez to. kochanie, powiedzieć, że ja jestem bandzior i nożownik?

—Nic nie chcę przez to powiedzieć. Daj mi spokój.

—Zaczynasz być niegrzeczna, a ja tego nie lubię. Wiesz chyba o tym.

Justyna spojrzała na niego spłoszona. Zrozumiała, że się trochę zagalopowała.

—Przepraszam cię. Jestem zdenerwowana.

—A czegóż ty się koteczku mnie boisz? Czyż nie byłem zawsze dla ciebie dobry?

Przełknęła ślinę.

—Nie wiedziałam. Nie wiedziałam, jak to przyjmiesz ...

Siedziała na brzegu łóżka. Wstał, podszedł blisko, chwycił mocno pełną garścią gęste, miedziane włosy i przechylił głowę do tyłu. — A wiesz, że ja cię lubię, ty ... — powiedział przybliżając twarz do jej twarzy. Potem wymierzał jej potężny policzek i zaczął całować

Wyglądała jak zaszczute zwierzę.

— Nienawidzę cię. Nienawidzę. Czuję wstręt do ciebie i do siebie,

Uśmiechnął się.

—Ty mnie ciągle kochasz i nigdy mnie kochać nie przestaniesz.

— Ja się zabiję.

—Uspokój się i skończ z tymi melodramatami — Powiedział ostro. — Dosyć mam tych błazeństw. Muszę z tobą pomówić o interesach. Przecież za parę dni jedziesz

— Nigdzie nie pojedę.

W oczach Przeteckiego zapalił się gniew.

— Wyjedziesz, kołeczku, co do tego nie ma żadnej dyskusji.

Zerwała się z łóżka i zaczęła biegać po pokoju.

— Dosyć mam tego wszystkiego. Dosyć mam tych kantów,

tych afer. Nie możesz mnie do niczego zmusić. Ja chcę wreszcie żyć normalnie.

— A jak ty sobie właściwie wyobrażasz to twoje normalne życie? — spytał Przetecki. opanowując która zaczynała go chwycić za gardło — No jak? Powiedz ślicznotko.

— Pójdę na posadę. Będę pracowała. Obejdę się bez ciebie. Przetecki uśmiechnął się.

— Na posadę? Doskonale. Nie masz żadnych kwalifikacji. Ile zarobisz na posadzie? Jak ci się zdaje, kochasiu? Tysiąc dwieście złotych. To już będzie zupełnie nieźle jak na początek. A czy wiesz, najmilsza, ile teraz kosztuje twoje utrzymanie? Spróbuj zgadnąć proszę cię. Wydaję na ciebie około ośmiu tysięcy miesięcznie. Bodziesz żyła za tysiąc dwieście złotych? Tak? Czy jesteś przyzwyczajona do takiego życia? No, odpowiedz.

—Nienawidzę cię. Jesteś skończonym łotrem.

O, widzę, że się jednak kochamy.

—Ja nie chcę tak dalej żyć, nie chcę. Rozumiesz?

—Czy sądzisz, Justynko, że ja w nieskończoność będę prowadził ten interes. Ani mi to w głowie. To zbyt niebezpieczne. Mam zamiar zrobić jeszcze ze dwie, trzy transakcje, a potem ogłaszam likwidację. Nigdy nie trzeba chcieć przesadnie dużo zarobić. Należy mieć umiar i wiedzieć, kiedy przestać. Jak dotychczas, nie wyszłaś źle na naszej współpracy.

—Jestem wyczerpana nerwowo. Nie sypiam po nocach! — krzyknęła Justyna — Ciągłe mi się zdaje, że słyszę kroki, że idzie po mnie milicja.

—O, to fatalnie — zmartwił się Przetecki — Musisz się leczyć, dziecko — No nic... Pojedziesz teraz do słonecznej Italii, to trochę odpoczniesz.

—Kiedy chcesz, żebym jechała?

—No, nareszcie zaczynamy rozmawiać rozsądnie. Bez tych wszystkich dramatycznych scen. Otóż... ja sobie to wyobrażam w ten sposób, że ty wyjedziesz pociągiem w przyszłym tygodniu, a ja w parę dni po tobie pojedę wozem. Paszporty mamy już załatwione. Nie widzę więc przeszkód. Im prędzej, tym lepiej.

—A rewizja celna? Myślisz, że nie znajdą?

Uśmiechnął się.

—Miejże do mnie trochę zaufania. „Ja już tak to wszystko zorganizuje, że pojedziesz bez żadnego ryzyka. Wiesz, jak bardzo chodzi mi o ciebie, a gdyby mi nawet na tobie zupełnie nie zależało, to gra idzie o zbyt wysoka stawkę, żebym miał ryzykować. To jest duży transport.

—Gdzie się spotkamy we Włoszech?

—Jeszcze nie wiem. To będzie zależało od różnych okoliczności. Ty i tak przecież będziesz u Marioli. Dam ci znać. Znajdę cię. Nie bój się.

—Jestem tego pewna — powiedziała z jakąś ponurą intonacją w głosie.

Nie zwrócił na to uwagi. Zbyt był zajęty swoimi myślami, wizją ogromnych zarobków. Tak... Jeszcze dwie, trzy takie transakcje i dosyć. Wyjedzie, zabierze Justynę, urzędzą się może we Włoszech, a może w południowej Francji, gdzieś w pobliżu Marsylii. Tam także można kombinować niezłe numery. Casablanca, a może Egipt. Kiedyś w Aleksandrii zarobił kupę forsy. To były czasy.

Poszedł do łazienki, wziął prysznic i ubrał się pośpiesznie. Miał do załatwienia kilka spraw.

— Do widzenia, kochanie. Cieszę się, że ci już wystrzały te humory. A tego idioty nie sprowadzaj tu więcej. Może mu się przytrafić coś bardzo niemiłego.

Stała przy oknie i patrzyła za nim długo, aż zniknął na zakręcie. Miała w oczach nienawiść.

ROZDZIAŁ IX

Uważnie wysłuchali opowiadania Pauliny.

— Czy pani odniosła wrażenie, że ta dziewczyna mówi prawdę? — spytał Downar.

Skinęła głową.

— Tak. Jestem przekonana, że nie kłamała. To był u niej moment załamania. Czułam, że chce, że musi to wszystko komuś powiedzieć. A zresztą, jakież mogłaby mieć interes w tym, żeby mnie okłamywać. Ja ją przecież o nic nie pytałam. Czy sądzi pan, panie majorze, że ten poker, do którego wciągnęli Jacca, to mogła być z góry zaplanowana zasadzka?

Downar zrobił niewyraźną minę.

— Tego nie można wykluczyć oczywiście, ale nie bardzo mi się wydaje prawdopodobna taka koncepcja.

— Ja sędzę — wtrącił się do rozmowy Walczak — że to był zbieg okoliczności, który, być może, chciano wykorzystać. Czy pani jest pewna, że ta dziewczyna wymieniła nazwisko Przetecckiego?

— Oczywiście. Pamiętam doskonale. Przetecki, Oskar Przetecki.

Obaj oficerowie wymienili między sobą szybkie, porozumiewawcze spojrzenia, ale żaden z nich nie rozwinął tego tematu. Downar zajął się zmienianiem wkładu w długopisie, Walczak zaś spoglądał z zazdrością na ćwierkające na drzewie wróble. Jakże chętnie wyrwałby się z Komendy do jakiegoś ogródka, albo na działkę.

— Chyba byłoby dobrze, żebyś osobiście porozmawiał z tą dziewczyną.

— Właśnie o tym myślę i, jeżeli pani nie miałaby nic przeciwko temu...

— Ależ bardzo proszę — powiedziała z ożywieniem Paulina. — Możemy do mnie pojechać choćby zaraz. Iwona tam na pewno szykuje obiad.

Downar miał wprawdzie dużo pilnych spraw do za-

łatwienia, ale uważał przejazdzkę na Grochów za niezbędną.

— Słuchaj, Karol, mam do ciebie prośbę. Porozum się z Krysztyną, wiesz z tą z obyczajówki, powiedz, że ja koniecznie chce się z nią zobaczyć. Jeżeli byś ją złapał, to może od razu umów mnie z nią. Jak tylko wróci cię z Grochowe, to zaraz mógłbym z nią pogadać.

— Dobrze — zgodził się Walczak. — Postaram się to załatwić. — Chyba żebym jej nie zastał.

Downar wziął wóz i pojechali. Kiedy minęli most Poniatowski, Paulina powiedziała:

— Mam do pana wielką prośbę.

— Słucham?

— Chciałabym prosić, żeby pan jakoś bardzo delikatnie rozmawiał z tą dziewczyną, żeby pan jej nie dał odczuć.

— Ależ, proszę pani, to się samo przez się rozumie. Niech pani będzie zupełnie spokojna. Załatwię tę rozmowę bardzo dyplomatycznie.

— Boję się, żeby Iwona nie straciła do mnie zaufania.

— Bardzo słusznie. Dlatego też wydaje mi się, że powinna pani postawić jasno sprawę i powiedzieć, że . chodzi o pani narzeczonego.

— Tylko, widzi pan, nie wiem, jak ona przyjmie to, Ja ją sypnęłam przed milicją.

— Prawda. Zapomniałem pani powiedzieć najważniejszej rzeczy. Ja wcale nie mam zamiaru występować w roli milicjanta. Powie pani, że jestem adwokatem Jacka. Za tamte, dawne wrocławskie przewinienie będziemy jej na razie niepokoić. Kiedyś zrozumie, że powinna sama oddać się w ręce sprawiedliwości. Dostanie niewielki wyrok z zawieszeniem i w porządku.

— Tak bardzo chciałabym jej pomóc — szepnęła Paulina.

Downar popatrzył na nią. „Porządna dziewczyna“ — pomyślał „Miła, porządna dziewczyna. Mało takich na świecie“.

Zatrzymali się przed domem, w którym mieszkała Paulina. Downar kazał Sikorze odjechać kawałek i zaczekać za rogiem. Weszli na trzecie piętro. Paulina wyjęła klucze z torebki i otworzyła drzwi.

— Iwona — Woląła od progu — Iwonka. Gdzie jesteś? —

Odpowiedziało jej milczenie. Iwony nie było ani w kuchni ani w pokoju, ani w łazience. Paulina bezradnie spojrzała na Downara.

— Co się z nią mogło stać?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Zapewne wyszła.

— A może ją porwali? Może ten Przetecki?

Uśmiechnął się.

— Niech pani nie fantazjuje. To jest zbyt inteligentny facet żeby się wdawał w takie numery. Miała klucze ta pani podopieczna?

— Nie.

— Ale drzwi były zamknięte.

— Zatrzasnęła. A może tylko wyszła po coś do sklepu, drzwi się zatrzasnęły i nie mogła wrócić do mieszkania. Pójde ją poszukać.

— Wydaje mi się to bezcelowe — powiedział Downar, biorąc ze stolika przy tapczanie kartkę papieru. Niech pani spojrzy.

Paulina przeczytała:

„Była pani dla mnie bardzo dobra. Dziękuję za wszystko. Postaram się kiedyś odwdziżyć. Proszę się na mnie nie gniewać, ale muszę pozalatiwać moje sprawy, sama muszę sobie poradzić z tym wszystkim. Jeszcze raz dziękuję. Nigdy tego nie zapomnę, co pani dla mnie zrobiła. Iwona“;

Downar zapalił papierosa.

— No więc, sprawa się wyjaśniła. Dziewuszka prysnęła.

Paulina spojrzała na niego smutnie.

— Biedna dziewczyna. Dlaczego tak zrobiła? Przecież chciałam jej pomóc.

Niech się pani tym zbytnio nie przejmuj. — Te dziewczęta często zachowują się właśnie w ten sposób, Proszę sprawdzić, czy czegoś nie ukradła.

— Ukradła? Iwona? Wykluczone. Ona nigdy by czegoś podobnego nie zrobiła. Jak pan może...?

— Pani jest jeszcze bardzo młoda — uśmiechnął się Downar.

— Nie zdążyła pani stracić wiary w człowieka. Może to i dobrze.

— Czy jej nie grozi jakieś niebezpieczeństwo? Jak pan

myśli?

— Nie wiem. To zależy, co ma zamiar przedsięwziąć. Byłoby dla niej lepiej, gdyby zrezygnowała z zemsty. Zresztą i tak ją niedługo znajdziemy. Będzie nam potrzebna.

— Dlaczego to zrobiła? Kupiłam jej sukienkę, żeby miała czym wyjść. Niedobra dziewczyna. Tak bardzo chciałam jej pomóc. Naprawdę,

Downar zostawił zmartwioną Paulinę i wrócił do Komendy. Nie miał czasu roztkliwiać się nad zbiegłą,

W pokoju Walczaka zastał Krystynę.

— Prosiłeś mnie o Krysię, to ją masz.

— Karolku, jesteś nieoceniony.

— Może byś się ze mną przywitał — upomniała się Krystyna.

— Podobno stęskniłeś się za mną.

— Szalenie.

— No to mów prędko, o kogo ci chodzi, bo nie mam czasu

Downar usiadł i poczęstował Krystynę papierosami, Kiedyś podobała mu się, ale to było dawno. Zbyt charakteryzowała się na mężczyznę i z biegiem lat zatraciła kobiecy wdzięk. Ruchy miała energiczne, kanciaste

— Tym razem interesuję się dziewczętami.

— No, to chyba nie od dzisiaj — uśmiechnęła się Krystyna.

Walczak wstał i włożył płaszcz.

— Poflirtujcie tu sobie, a ja skoczę na miasto. Za godzinę wracam. Jeżeli możesz, czekaj na mnie.

Kiedy drzwi się za Walczakiem zamknęły, Downar przysunął swoje krzesło do Krystyny i wyjął z kieszeni powiększoną fotografię.

— Chciałbym się czegoś dowiedzieć o tej dziewczusce,

— Bardzo piękna — powiedziała Krystyna — Jakaś zagraniczna cizia. Malownicze tło. Czyżby Italia?

— Zgadłaś. Fotografia robiona we Włoszech, ale nie wykluczone, że cizia jest nasza, eksportowa. Nie widziałas nigdy tej twarzy?

Krystyna uważnie przyjrzała się fotografii.

— Nie, nie przypominam sobie. Zresztą babka tak potrafi

zmienić, uczesanie, kolor włosów, brwi, rzęsy. Można rodzonej siostry nie poznać. Muszę cię zmartwić, ale tej nigdy nie widziałam. Jeżeli chcesz to daj mi to zdjęcie. Pokażę kolegom. Może oni kogoś takiego kiedyś widzieli. Chyba masz więcej odbitek.

— Oczywiście. A teraz powiedz mi taką rzecz. Słyszałaś o faciecie, który się nazywa Andrzej Popiel?

— Interesujesz się pięknym Andrzejkiem?

— Co o nim wiesz?

— No cóż... Współpracuje z Przeteckim.

— Znasz tego Przeteckiego?

— Z widzenia. To facet na większą skalę. Podaje się za hrabiego skrzywdzonego przez socjalizm. Oczywiście tę historyjkę opowiada nie mnie, ale zagranicznym gościom. On operuje wyłącznie w strefie dolarowej. Najładniejsze dziewczęta z nim współpracują. Oprócz Popiela ma jeszcze takiego Rysia do pomocy. Bandzior.

— Nie możecie ich pozamykać?

Krystyna wzruszyła ramionami.

— Śmieszny jesteś, Stefan. Czasem coś tak powiesz, jakbyś przyjechał z innej planety. Spróbuj im coś dowieść. W jaki sposób? Zawsze ci się facet wyprze.

— Więc mówisz, że ten Przetecki to gruba ryba? Poluje wyłącznie na zagranicznych gości?

— Tak. Ale muszę ci powiedzieć, że ostatnio zauważyłam znaczne zmniejszenie jego aktywności na tym polu.

— Może prowadzi jakiś inny, intratniejszy interes?

— To bardzo prawdopodobne. Jeżeli cię to interesuje, to ci mogę powiedzieć, że w ostatnich czasach widywałam go w towarzystwie waluciarzy.

— Ognomnie mnie to interesuje — ożywił się Downar — Czy może mogłabyś mi coś bliższego na ten temat powiedzieć?

— Cóż mogę ci bliższego powiedzieć? Po prostu widziałam go parę razy z waluciarzami. Taki elegancki, starszy pan. Kręci się po „Europejskim”, przesiaduje tam często w barze.

— Mogłabyś mi go pokazać?

— Chętnie. Przy okazji. Chociaż waluciarze to zasadniczo nie moja branża.

Dwnar sięgnął po nowego papierosa i zaczął go ugniatać w palcach.

— Powiedz mi, Krysiuniu, jeszcze taką rzecz. Czy znasz młode dziewczęta, których imiona brzmią Sabina i Luiza?

— Owszem. Nie wiem tylko, czy właśnie o te ci chodzi.

— Kombinuję z Popielem.

— No to chyba będą te. Luiza taka szczupła, brunetka, a Sabina raczej pulchna, wesola dziewczyna, Dwnar pokiwał głową.

— Tak, to chyba te. Wprawdzie ja ich na oczy nie widziałem, ale sędzę z opisu ...

— Do czego one są ci potrzebne?

— Chodzi o obalenie fałszywego alibi Popiela. Jestem prawie pewien, że postarał się już o to, żeby te dziewczęta wysłać z Warszawy. Trzeba będzie przeszukać województwo i chciałbym cię prosić, żebyś się tym zajęła

— Czy to ma jakiś związek ze sprawą tego mediolańskiego detektywa?

— Jak najbardziej. No i co, Krysiuniu, mogę na ciebie liczyć?

Uśmiechnęła się.

— Czego ja bym dla ciebie nie zrobiła. Postaram się wytropić te dziewczyny.

— Pamiętaj o tym, że na pewno zmieniły maść.

— Biorę to pod uwagę. — Spojrzała na zegarek — Masz coś jeszcze do mnie? Muszę jechać na miasto.

— Jeszcze tylko jedno pytanie. Słyszałaś coś o Iwonie. pięknej blondynce?

— Iwona... Iwona... Czekaj, czekaj. Jest taka, owszem. Przyjechała nie dawno do Warszawy z Katowic czy z Wrocławia. Do niej też masz interes?

— Nawet bardzo pilny. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś mi ją dostarczyła do Komendy.

— Bardzo duże masz wymagania, Stefanku. Tyleż zamówień. A ja co z tego będę miał??

— Kupię ci lizaka na Dzień Dziecka — uśmiechną! się Dwnar.

—A ja ci kupię skakankę.

Downar był zadowolony z rozmowy. Zdobył sporo informacji, które potwierdzały jego przypuszczenia, a poza tym nie miał wątpliwości co do tego, że dziewczęta, które tamtej nocy tańczyły u Popiela z Jackiem Niewiarowskim, zobaczy niebawem w swoim gabinecie. Na Krystynie nigdy się jeszcze nie zawiódł.

Następnym etapem, realizowanego konsekwentnie planu, była wizyta u Loli. O tej porze najprawdopodobniej można ją było zastać w domu. Downar nie czekał na powrót Karola i pojechał na Saska Kępe.

Lola skończyła władnie skomplikowane zabiegi. mające na celu zatarcie śladów, jakie niemiłosierny czas zostawiał na jej pastelowej urodzie. Była zaskoczona niespodziewanymi odwiedzinami.

—Stefan, jak się masz? Wieki cię nie widziałam. Bardzo się cieszę. Siadaj.

—Ślicznie wyglądasz — powiedział Downar.

Westchnęła.

—Ach nie żartuj mój drogi. Lata lecą. Wszystko się kończy. Nowa kadra wypływa na widownię dziejową. Starzejemy się.

—Komu to mówić o starzeniu się — zaproponował z zapalem Downar — Wyglądasz jak pensjonarka. Zdobyłaś chyba receptę na eliksir młodości.

—Nie żartuj — powtórzyła i karcącym mchem klepnęła go po ręce. Uśmiechnęła się jednak z zadowoleniem.

—Rzeczywiście uważasz, że dobrze wyglądam?

— Fantastycznie. Daję ci słowo, że odwodniałaś.

—Napijesz się kawy?

—Nie, nie. Dziękuję bardzo, ale mam mało czasu. Wpadłem tylko na chwilę. Chciałem cię prosić o pomoc w pewnej sprawie.

— O pomoc? Mnie? A w czymże ja d mogę pomóc? — Nikt tak dobrze nie zna w Warszawie terenu jak ty.

— Och, mój złoty, wspominasz dawne czasy. To są scampi passati. Coraz rzadziej się udzielam. Z ostatnim moim przyjacielem rozstałam się pół roku temu. Od tej pory żyję jak zakon-

nica, to znaczy, jak wzorowa zakonnica. Żyję z oszczędności. A poza tym wiesz, że odkryłam w sobie zamiłowania artystyczne. Zaczęłam wykonywać abażury. Nawet mi to zupełnie nieźle wychodzi, No cóż... trzeba się przestawić na inny sty pracy. Zresztą tak trudno znaleźć teraz mężczyznę na poziomie, coraz trudniej. Rozumiesz chyba.

—Tak, tak, rozumiem, oczywiście — powiedział Dowar, który jak najprędzej chciał sprowadzić rozmowę na właściwe tory. — Ale przecież nie zerwałaś zupełnie dawnych kontaktów. Interesujesz się życiem, bywasz w kawiarniach.

—Czasami. Lubię sobie poplotkować z przyjaciół-

— Otóż to. Właśnie mi o to chodzi.

— O co?

— O te ploteczki. Chcę cię prosić, żebyś mi dopomogła w zdobyciu informacji dotyczących pewnej młodej damy. Mam tutaj jej fotografię. Spójrzj łaskawie.

Lola bardzo uważnie obejrzała zdjęcie, włożyła nawet do tej czynności okulary.

— Wiesz co? — powiedziała po chwili — Głowy nie dam oczywiście, ale ta dziewczyna podobna jest do Marioli. Może to nawet i Mariola ...

—Kto to jest Mariola?

—Kręciła się tutaj kiedyś po Warszawie taka śliczna dziewczyna. Wydaje mi się, że była kochanką Przteckiego. Słyszałeś coś o nim?

—Tak słyszałem.

—Otóż on ma szalone szczęście do ładnych dziewczyn. Ta Mariola to było coś zupełnie extra.

—Nie wiesz, co się z nią stało?

—Nie wiem. Nagle zniknęła z terenu.

—Sądzisz, że to ona na tym zdjęciu?

—Tak mi się wydaje. Bardzo podobna.

—Mogła wyjechać za granicę — powiedział w zamyśleniu Downar.

—Oczywiście, że mogła. Mało to dziewczyn wyjeżdża od nas za granicę. Są nawet takie, które wychodzą za mąż za bogatych cudzoziemców. Czy wiesz, że kiedyś jedna moja przyjaciółka

wyszła za mąż za milionera amerykańskiego, tylko, że zabili biedaczkę gągnsterzy. Nie zawsze dobrze się kończą te zagraniczne wspaniałości.

—Downar pokiwał głową.

—Tak. A wiesz, że ja się nie raz zastanawiam nad tym, jak się taki facet nie boi ożenić z tego rodzaju dziewczyną. Przecież może się skompromitować w swoim kraju.

—To mało prawdopodobne. Dziewczyna pojawia się w zupełnie obcym środowisku, nikt jej nie zna. nikt nie wie nic o jej przeszłości. Przeważnie jest to osoba bardzo ładna, efektowna, dobrze ułożona, znająca parę języków. Oczywiście, że taki zagraniczny gość nie ożeni się z byle wycirusem. To musi być dziewczyna dużej klasy.

— Żebyś ja mógł mieć pewność, że ta babeczka na zdjęciu, to jest Mariola Przeteckiego, o której mówisz. Lolita zamyśliła się.

—Słuchaj, Stefanku, jak mi zafundujesz tabliczkę czekolady z orzechami, to ci coś poradzę.

—Masz u mnie cztery tabliczki czekolady. Mów.

— Ale muszą być z orzechami.

—Będą z orzechami. Wszystkie trzy.

—Mówiłeś o czterech tabliczkach.

— Tak. tak. oczywiście. Pomyliłem się. Przepraszam. Zamśmieli się.

—Lubię cię za to, że nigdy nie tracisz humoru. — powiedział Downar.

— No cóż. mój drogi. Humor to ratunek w najcięższych sytuacjach życiowych. Kto traci humor, ten przegrywa. A wiesz, co jest w życiu najważniejsze? Nauczyć się śmiać z samego siebie.

— Widzę, że zaczynasz się bawić w filozofowanie — uśmiechnął się Downar — Ale może powiesz mi wreszcie, jaką to genialną radę postanowiłaś mi dać?

— Acha, właśnie. Odbiegliśmy coś nie coś od tematu.

Więc ci radzę, żebyś z tą fotografią przeszedł się po hotelach. Ci z recepcji lepiej nieraz znają pewne środowiska aniżeli milicja obyczajowa. Bez przerwy patrzą na to wszystko. Zajrzyj

do Grand Hotelu, do „Bristolu” i do „Europejskiego”. Pogadaj sobie. Jeżeli i oni w tej syrenie poznają Mariolę, to znaczy, że moja skleroza nie jest tak daleko posunięta.

— Rada jest genialna — przyznał Downar — Chociaż prawdę mówiąc, miałem zamiar to zrobić. Masz najzupełniejszą rację, że personel hotelowy może coś wiedzieć o tej dziewczynie, tym bardziej, że sądząc ze zdjęcia, dziewczyna jest śliczna, rzucająca się w oczy.

—No, oczywiście. To jest towar pierwszego sortu.

Downar porozmawiał jeszcze chwilę z przechodzącą na emeryturę kokotą, pochwalił jej abażury i obiecał za parę dni pojawić się z czekoladą. — Jeżeli możesz, to zbierz dla mnie garść poufnych informacji o tym Przeteckim — powiedział na pożegnanie.

Postanowił, nie tracąc czasu, odwiedzić hotele. Ani jednak w „Grandzie” ani w „Europie” nikt nie widział pięknej dziewczyny z włoskiej fotografii. Dopiero w „Bristolu” jedna z urzędniczek recepcji wykrzyknęła bez wahania: — Ależ to Mariola!

—Jaka Mariola? — spytał Downar, nie okazując wzruszenia.

—Była tutaj kiedyś taka śliczna dziewczyna. Polowała na zagranicznych gości. Mówiła dobrze po francusku, po angielsku, zdaje się że i po niemiecku. Bardzo efektowna. Miała ogromne powodzenie.

—Co się z nią stało?

Urzędniczka uśmiechnęła się.

—O, zrobiła kolosalną karierę.

—To znaczy?

—Wyszła za mąż za bardzo bogatego Włocha. Jakiś arystokrata, hrabia czy baron.

—Jak się nazywa?

—Dokładnie nie pamiętam, ale, jeżeli pan major sobie życzy

...

—Bardzo będę pani wdzięczny za tę informację. To dla mnie ważne. Jak dawno ożenił się z tą dziewczyną?

—Jakiś półtora roku temu. może dwa lata. Ten czas tak szybko ucieka. Zaraz poszukamy w książkach.

Downar uzbroił się w cierpliwość i czekał. Był podniecony.

Czuł, że wpadł na trop. Ogarnęła go żądza działania.

Urzędniczki z recepcji wspólnymi siłami odnalazły nazwisko Włocha, który ożenił się z Mariolą. Hrabia Luigi Bompennelli.

— To starszy facet? — spytał Downar.

— O tak. Już dobrze po pięćdziesiątce. Dlatego też pewnie ta dziewczyna tak mu zawróciła w głowie, że aż się ożenił.

— Nie pamięta pani, w jakim celu tu przyjeżdżał?

— W jakichś handlowych interesach. Zdaje się, że skupował konie.

— Skupował konie?

— Tak. Sporo Włochów tu przyjeżdża skupować konie. Podobno to dla nich dobry interes. — Czy pani jest zupełnie pewna, że to jest fotografia Marioli.

— Najzupełniej. Wielokrotnie z nią rozmawiałam. To była bardzo sympatyczna i inteligentna dziewczyna. Wyróżniała się spośród tych innych, Downar podziękował uprzejmej urzędniczce z recepcji i pojechał do Biura Paszportowego. Od razu w korytarzu natknął się na Szczepańskiego.

— Jak się masz, Stefan. Co nowego?

— Mam do ciebie romans,

— No, to chodź do mnie, bo zapewne coś poufnego. Kiedy znaleźli się w niedużym pokoiku, Downar powiedział:

— Mam do ciebie prośbę. Chodzi mi o ludzi wyjeżdżających na indywidualne zaproszenia do Włoch. Odwiedziny do rodziny, do przyjaciół. Rozumiesz

— Dlaczegoż miałbym nie rozumieć rzeczy dość prostych? — zdziwił się Szczepański — O jaki okres ci chodzi

— Ostatnie dwa lata.

— A aktualne wyjazdy?

— Jak najbardziej.

— A czy interesowała by cię wiadomość, że niejaki obywatel Oskar Przetecki otrzymał wczoraj paszport?

Downar spojrział zdziwiony.

— Trafiasz w dziesiątkę. Jak ty to robisz? Skąd przypuszczałeś, że ja...? Niebawem.

Szczepański uśmiechnął się.

— Żebyś ty widział chłopie, jaki gość ma wóz. Cacko powia-

dam ci. A w ogóle ten Przetecki zrobił na mnie wrażenie lepszego kombinatora. Od razu sobie pomyślałem, że lada dzień będzie u mnie Stefan Downar. No i zgadłem. Czy chcesz, żeby mu cofnięto paszport. Myślę, że chyba jeszcze nie wyjechał

—Broń Boże — powiedział z ożywieniem Downar — Żadnych takich numerów. Wydadź mu i dziesięć paszportów, jak będzie chciał. Powiedz mi, kto mu przysłał zaproszenie?

Szczepański poszedł do sąsiedniego pokoju i wrócił, niosąc teczkę z aktami.

— Czekać, czekać znajdziemy. O jest. No więc zaproszenie przysłał Przeteckiemu jakiś Włoch z Ferrary. Giacomo Antonelli, właściciel domu handlowego. Poza tym w tych dniach wydaliśmy także paszport jednej bardzo miłej dziewczynie.

—O kim mówisz?

—O pani Justynie Sarnowskiej. Interesuje cię?

—Może mnie interesuje. Jeszcze nie wiem. Kto jej przysłał zaproszenie?

—O, to wyższe sfery towarzyskie. Zaproszenie przysłała pani hrabina Mariola Bompennelli.

Downar aż podskoczył na krześle.

—Chłopie, dlaczego ty mi tego od razu nie mówisz?

—A skąd ja mogę wiedzieć, kto cię interesuje? Dziwne pretensje.

—Słuchaj — Downar pośpiesznie zapalił papierosa

—Słuchaj, gdzie mieszka ta ... ta Sarnowska.

—Chwileczkę — powiedział flegmatycznie Szczepański — Nie denerwuj się. Zaraz ci powiem. Justyna Sarnowska mieszka na Siekierkach, na ulicy Nadrzewnej. Gdzie tak lecisz? Poczekaj! Stefan!

Downar nie słuchał. Pędem wybiegł z biura paszportowego. Ludzie zaczęli się za nim oglądać.

—Co się stało, towarzyszu majorze? — spytał zdumiony Sikora.

—Na Siekierki. Pełnym gazem.

—Pełnym gazem nie mogę. Miasto.

Kiedy minęli Belweder i wpadli na Belwederską, Downar oprzytomniał. Nagle pojawiły się wątpliwości. Czy w ogóle jest

sens jechać do tej babki? Co mu to da? Jeżeli ona ma jakieś powiązania z Przeteckim to nie należało jej przedwcześnie spłoszyć.

—Zaczekajcie, Sikora.

—Co się stało?

— Wracamy do Komendy.

Sikora spojrział niespokojnie na majora.

— Wracamy? A Siekierki?

— Siekierki zaczekają. Co nagle to po diable.

— Święta prawda, towarzyszu majorze.

W Komendzie Downar opowiedział Walczakowi o swoich dotychczasowych sukcesach.

—Zdaje mi się, Karolku, że wpadłem na właściwy trop. Chciałem jechać do tej Sarnowskiej na Siekierki, ale się rozmyśliłem. Postanowiłem odłożyć tę rozmowę na później.

— Może to i lepiej. Nie jest wykluczone, że Wencel był u niej przed śmiercią.

— Prawie na pewno — przytaknął Downar — Nie-wiarowski zeznał, że pojechali z wujem na Siekierki i że zatrzymali się na rogu Koszykarskiej, Wencel poszedł w kierunku Nadrzecznej. Wszystko pasuje.

Walczak zaczął palcami przeczesywać niesforną czuprynę. Zagwizdał parę taktów z „Poławiaczy Perel” powiedział:

—Wiesz co, Stefan? Ja bym ci radził jednak sprawdzić tę Mariolę. Przejedź się do MSZ-etu i przejrzyj tygodniki włoskie. Na pewno trafisz na tę historię. Wtedy już nie będziesz miał żadnych wątpliwości.

— Myślałem o tym, ale nie wiem, czy w obecnej sytuacji jest to konieczne. Jeżeli przysłała tej dziewczynie zaproszenie...

—Sprawdź. Co ci szkodzi. Stosunkowo mała fatyga.

Fatyga okazała się spora. Downar spędził w Ministerstwie Spraw Zagranicznych parę godzin. Wreszcie znalazł to czego szukał. W jednym z ilustrowanych czasopism włoskich zdjęcia z ceremonii ślubnej. Tytuł wydrukowany był ogromnymi czcionkami: „Conte Luigi Bompenelli sposa una bellissima Polacca”. Uroczysty orszak weselny. Panna młoda w białym welonie. Tak to była ta sama dziewczyna, której zdjęcie znaleziono w wozie

Wencla.

Wyszedszy z Ministerstwa, Downar poczuł potrzebę wypicia filiżanki mocnej kawy. W kawiarni „Ujazdowskiej” było niezbyt tłoczno. Usiadł pod oknem i zamówił dużą „bardzo” czarną. Zapalił papierosa. Przez chwilę w zamyśleniu patrzył na ulicę. Aleje Ujazdowskie lśniły świeżą zielenią.

Był zadowolony z siebie. Sprawa zaczynała się kryształizować, nabierała konkretnych kształtów. Mariola, przyjaciółka, a następnie podopieczna Przeteckiego uwiodła podstarzałego Włocha, który się w niej zakochał do tego stopnia, iż nie zważając na jej dotychczasowy tryb życia, ożenił się. Przetecki jednak nie zrezygnował z korzyści, które czerpał, jako opiekun pięknej dziewczyny. Postanowił najprawdopodobniej wykorzystać jej pobyt w Italii i jej obecną pozycję społeczną. Pozostał z nią przypuszczalnie w stałym kontakcie, czego najlepszym dowodem był fakt, że Mariola przysłała zaproszenie Justynie. Nie jest wykluczone, że wyrobiła także zaproszenie dla Przeteckiego. Obracając się w sferach przemysłowo-handlowych mogła to zrobić bez większych trudności. Wencel przyjechał do Polski i oprócz zaspokojenia tęsknoty za rodziną i za ojczystym krajem miał za zadanie dowiedzenia się czegoś o żonie hrabiego Bompennelli. Wskazywała na to zarówno fotografia, którą przezornie ukrył pod obiciem wozu, jak i wyprawa na Siekierki. Było bowiem rzeczą chyba zupełnie pewną, że mediolański detektyw odwiedził kochankę Przeteckiego.

W jakim innym celu mógł to zrobić, jeśli nie wiedziony chęcią dowiedzenia się czegoś bliższego o hrabinie Marioli. Teraz i sprawa zabójstwa a zaczynała rysować się bardziej konkretnie. Motyw zbrodni był zupełnie wyraźny. Przetecki nie chciał dopuścić do tego, żeby Mariola została kompromitowana na terenie Włoch. Popsuło by mu to interesy, które prowadził. Gdyby familia hrabiego dowiedziała się o tym, że członek rodu Bompennellich ożenił się z taką dziewczyną, wybuchłby straszliwy skandal, hrabia musiałby się rozwieść i wszystkie włosko-polskie kombinacje Przeteckiego wzięłyby w łeb. Widząc że Wencel jest na warszawskim tropie Marioli, Przetecki postanawia pozbyć się raz na zawsze wścibskiego detektywa i kiedy ten

wracał od Justyny... Kto zawiadomił Przeteckiego? Może Justyna? Czego szukał Wencel w Konstancinie u tego małpoluda kochają- go kwiaty? Jak Przetecki dokonał zbrodni? Jakiego rodzaju11 interesy prowadził na terenie Italii za pośredni swej byłej kochanki? To były pytania, na które na razie Downar nie znajdował odpowiedzi. Wydawało mu się jednak, że jego dotychczasowy tok rozumowania jest prawidłowy. To wszystko właściwie się trzymało kupy i znajdowało potwierdzenie w konkretnych faktach. Po dokonaniu zbrodni. Przetecki zadzwonił do jednego ze swych adiutantów, Andrzeja Popiela, a dowiedziawszy się, że u niego jest Niewiarowski. błyskawicznie stworzył sobie plan działania i wydał Andrzejowi polecenia, mające na celu pozbawienia Jacka alibi. Nie wziął tylko pod uwagę że u Popiela były także te dwie dziewczyny, które mogą sprawę bardzo skomplikować. Być może Andrzej wcale mu o nich nie wspomniał. Przetecki rzucając podejrzenia na narzeczonego Pauliny, chciał się oczywiście zabezpieczyć. Będąc człowiekiem doświadczonym i niewątpliwie w jakimś stopniu obznajomionym z zagadnieniami kryminalistyki, nie łudził się co do tego, że milicja uwierzy w wypadek samochodowy. To było mało prawdopodobne. Przypuszczał być może, iż samochód ze zwłokami Wencła nie zostanie tak od razu znaleziony w Jeziorze Czerniakowskim i tak mogło się być zdarzyć, gdyby nie kremowy kolor karoserji. Jasna plama pod woda zaintrygowała porannych przechodniów i rybaków. Tak. W umyśle Downara Przetecki coraz wyraźniej zaczynał się rysować jako kandydat na mordercę mediolańskiego detektywa.

Zapłacił za kawę i zatelefonował do Komendy. Poprosił o przysłanie wozu. Po upływie niecałych dwudziestu minut Sikora zatrzymał wóz przed „Ujazdowską”.

—Dokąd jedziemy, towarzyszu majorze? Znowu na te Siekierki?

Downar uśmiechnął się.

—Nie. Przejedziemy się do Konstancina.

—Do tej willi z ogródkiem?

—Właśnie. Drogę już znacie.

Sikora, którego pasjonowały sprawy kryminalne, miał

ogromną ochotę dowiedzieć się czegoś o toczącym się śledztwie, ale Downar nie był skory do pogawędki. Nazbyt absorbowwały go własne myśli, a poza tym nie miał zwyczaju opowiadać o swojej pracy w trakcie trwania akcji. To było zawsze ryzykowne. Tak więc Sikora nie dowiedział się, w jakim celu jechali do willi w Konstancinie.

Furtka była otwarta. Downar wszedł ostrożnie, jakby się skradał. Sam nie wiedział, dlaczego. Może nastrój tego milczenia w domu z zamkniętymi zawsze okiennicami tak na niego działał.

Zadzwoił. Odpowiedziała mu zupełna cisza. Zaczekał chwilę i znowu dotknął dzwonka. Nikt nie otwierał. Zastukał. Nic. żadnej odpowiedzi. Spróbował nacisnąć klamkę. Drzwi ustąpiły. Nie były zamknięte.

Wszedł do mrocznego hallu, w którym go wtedy przyjął Hamer. Chrząknął, potem zakaszłał, chcąc dać znać domownikom o swojej obecności. Nikt jednak nie interesował się jego obecnością. Postać chwilę niezdecydowany. Nie mógł przecież pozostawać dłużej w pustym domu. Już miał wrócić do wozu, gdy nagle z pierwszego piętra dobiegło jego uszu coś, jakby ciche jęczenie. Wyteżył słuch. Tak. Ktoś najwyraźniej jęczał jakby tłumił szlochanie.

Downar zbliżył się do schodów, rozejrzał się przezornie dookoła i cicho wszedł na pierwsze piętro.

Pokój był ciemny, tak jak reszta tego dziwnego mieszkania. W powietrzu unosił się ostry zapach potu zmieszany z jakimiś chemikaliami czy lekarstwami, nagle Downar poczuł, że jest obserwowany, że ktoś na niego patrzy z intensywną natarczywością. Siedziała skulona. Pościel była rozrzucona w nieładzie. Przy łóżku stał stolik, zastawiony szklankami i tabletkami.

—Kim pan jest? Kim pan jest?

—Proszę się nie obawiać — powiedział uspakajająco Downar, któremu pod wpływem tych niesamowitych, szeroko otwartych oczu zrobiło się trochę nieswojo — Nie zrobię pani nic złego. Proszę się uspokoić. Nagle zerwała się i z niespodziewaną szybkością podbiegła do Downara, wpijając palce w jego ramię do bólu.

— Ratusz mnie! Ratusz! Musisz mnie ratować. Błagam. Ja... ja dłużej nie mogę... Ja zginę. Błagam!]

—Doprawdy nie wiem, co mógłbym dla pani zrobić — powiedział zakłopotany Downar, uwalniając się z niemiłego uścisku — Proszę się uspokoić. Może mi pani wyjaśni, o co chodzi!

—Ja muszę mieć ... ja muszę ... Ja muszę to mieć! —chwyciła ze stolika niewielki słoiczek. Niech pan to weźmie! Proszę Niech mi pan przyniesie! Zapłacę... zapłacę każdą cenę. Może pan zabrać wszystko, absolutnie wszystko. Mnie nic nie potrzeba. Ja tylko chcę to mieć!... Ja muszę! Dłużej nie wytrzymam.

Downar stał speszony, nie wiedząc, co robić i jak się w tej sytuacji zachować. Nie miał już wątpliwości co do tego, że ma przed sobą narkomankę, oszalałą z braku narkotyku. Właściwie należało ją zabrać do szpitala. Stan jej był taki, że lada chwila mogło się stać jakieś nieszczęście.

Nagle rozległ się niski, schrypnięty głos.

— Co tu się dzieje.? — We framudze drzwi ukazała się ogromna postać Hamera.

— Ta pani jest chora — powiedział pośpiesznie Downar — Sądzę, że należało by ją przewieźć do szpitala. Nie wiem czy to pańska żona ... Bardzo przepraszam. Wpadłem do pana na chwilę. Posłyszałem, że ktoś płacze. Wydaje mi się, że...

Hamor za kołysał się na swych pałkowatych nogach i zrobił krok naprzód.

— A mnie się zdaje, że pan się miesza nie do swoich spraw. Może pan teraz zechce mnie zostawić z moją żoną. Trafi pan do furtki, czy mam panu pokazać, jak się wychodzi — W ostatnich słowach zabrzmiała wyraźnie groźba!

Downar wyszedł posłusznie. Nie widział celu przedłużania tej bardzo przykrej sceny.

ROZDZIAŁ X

Następne dwa dni upłynęły bez większych sensacji. Downar uporządkował akta sprawy, przemyślał raz jeszcze wszystko od początku na zimno i rezultatami swego rozumowania podzielił się z Karolem.

Walczak powiedział.

— No cóż... Każda teoria jest dobra pod warunkiem, że znajduje pokrycie w rzeczywistości. To, co mówisz, wydaje mi się zupełnie rozsądne i logicznie trzyma się kupy. Teraz dużo zależy od tego, czy Krystyna odszuka ci te dziewczynki, które wtedy były u Popiela.

Krystyna dziewczynki odszukała i to już na drugi dzień po tej rozmowie. Okazało się, że odpoczywały, po trudach warszawskiego życia, w Kobyłce. Obydwie zmieniły kolor włosów. Luiza stała się jasną blondynką, a Sabina reprezentowała kruczowłosą piękność. Downar natychmiast zarządził konfrontację. Jacek poznał je bez trudu. Nie próbowały zaprzeczać. Tak, były wtedy na herbatce u pana Popiela. Kiedy wyszły? Przed pierwszą. Czy tańczyły z panem Jackiem? Oczywiście. Kilka razy. Twista, tango. Bardzo lubią pana Jacka.

— Czy jesteście zaaresztowane? — spytała niespokojnie Luiza.

— Nie, na razie nie. Proszę podpisać protokół. Panie są wolne.

Downar odprawił dziewczęta, ale Jacka zatrzymał jeszcze. Przez chwilę przyglądał się jego pobladłej, wymizerniałej twarzy i zgaszonym oczom. Żal mu się zrobiło tego chłopca.

— Niech mi pan powie, czy pan pamięta, kiedy wtedy w nocy wyszły te dziewczęta od Popiela?

— Nie bardzo pamiętam. Sporo wypilem.

— I może pan zasnął?

— Tak. Spałem. — Jak długo?

— Nie wiem. Nie pamiętam. Może godzinę, a może dwie.
Byłem zmęczony, a do tego ta wódka.

— O której się pan mniej więcej obudził?

— Przed trzecią. Zaraz potem pojechałem do domu.

— Tych dziewczyn już wtedy nie było.

— Nie.

— A Popiel?

— Był oczywiście.

— Czy jest możliwe, że Popiel wychodził z domu, kiedy pan spał?

— Tak, to jest możliwe.

— I pan mógł tego nie spostrzec.

— Mogłem, ponieważ spałem.

— A czy pan pamięta moment wyjścia dziewczyn?

— Nic tego nie pamiętam.

— Czy Popiel ma wóz?

— Tak. „Octavię”.

— A gdzie garażuje ten wóz?

— W tym samym domu, w którym mieszka.

— Czy musi budzić dozorcę, żeby wyprowadzić wóz z garażu?

— Nie. skądże, ma klucze.

— Dziękuję panu. Na razie to byłoby wszystko.

Jacek podniósł się z krzesła, ale nie wychodził.

— Panie majorze... Co ze mną będzie? Co ze mną zrobicie..?

Downar poklepał go po ramieniu.

— Niech pan będzie dobrej myśli. Wszystko jest na najlepszej drodze.

— Ale pan nie wierzy w to..., że... ja..., że ja... zabiłem ...

— Nie. nie wierzę. Jeszcze trochę cierpliwości, wszystko się wyjaśni.

Downar kazał wyprowadzić Jacka. Zaraz potem wszedł Kobiela.

— Przywiozłem tego gagatka, towarzyszu majorze.

— Dawajcie go tu.

Andrzej był bardzo pewny siebie. Założył nogę nu nogę. zapalił papierosa i z wyraźną niechęcią spojrzął na siedzącego za

biurkiem Downara.

— Zupełnie nie rozumiem. dlaczego bez przerwy zawracacie mi głowę. Ostatecznie nie jestem obowiązany przylatywać do was na każde zawołanie. Jeżeli ma się do mnie jakiś interes, to należy przysłać wezwanie z parodniowym terminem. Ja też mam swoje sprawy, które muszę jakoś rozplanować. W ten sposób nie można postępować.

Downar z zupełnym spokojem wysłuchał słów obrażonego młodzieńca. Miał wielką ochotę trzasnąć go pysk, ale się opanował.

— Musi nam pan wybaczyć, drogi panie, ale czasem dobro śledztwa wymaga szybkich posunięć. Inaczej y bym się nie ośmielił deranżować pana. Możliwe, że niebawem nie będzie pan musiał jechać do nas aż Żoliborza. Mam nadzieję, że postaramy się dla pana o jakieś bliżej położone locum.

— Co to znaczy? ! — krzyknął Popiel — Co to za głupie żarty? !

Downar uśmiechnął się.

— Żałuję bardzo, że ten rodzaj humoru, który reprezentuję, nie znajduje u pana uznania.

— O co panu właściwie chodzi. Może pan wreszcie powie, bo ja naprawdę nie mam czasu na takie gadki.

Pod tą pozorną pewnością siebie, pod tymi impertynenckimi słowami, Downar zupełnie wyraźnie wyczuwał rosnący niepokój delikwenta.

— Pragnę się z panem podzielić pewnymi rewelacyjnymi wiadomościami,

—Cóż to za wiadomości?

Downar wygodniej rozsiadł się w fotelu.

— Otóż, niech sobie pan wyobrazi, że odwiedziły mnie dziś rano dwie bardzo miłe panienki, które twierdziły ponad wszelką wątpliwość, iż ową pamiętną noc z niedzieli na poniedziałek spędziły w pańskim mieszkaniu i, co więcej, bawiły się w pańskim towarzystwie. Z tego wnioskuje, że wprowadził mnie pan błąd podczas naszej pierwszej rozmowy i że pan wtedy nie był u swojej przyjaciółki. Nie wątpię, że pan w tej sytuacji będzie musiał zmienić swe pierwotne zeznanie. Czy można zapytać, w ja-

kim celu usiłował mnie pan wprowadzić w błąd ?

Popiel milczał. Tak mocno zacisnął szczęki, że widać było napięte mięśnie twarzy.

Nie chce pan odpowiadać — mówił dalej Downar, nie zrażony milczeniem swego interlokutora — No cóż... można przyjąć i taką taktykę. Sądzę jednak, że dla pana byłoby lepiej, gdyby pan ze mną swobodnie i szczerze pogawędził. To robi lepsze wrażenie. Zapewniam pana.

Będę rozmawiał z panem tylko i wyłącznie w obecności mojego adwokata — powiedział gniewnie Popiel. Utrzymywał się konsekwentnie na pozycji uciśnionej niewinności.

Downar uśmiechnął się. Ten dialog zaczynał go bawić, tylko gra przeciwnej strony była niezbyt przejrzysta. Popiel jednak nie był tak inteligentnym chłopakiem, za jakiego go pierwotnie uważał.

A skąd pan właściwie wie, że w ogóle będzie panu potrzebny adwokat. Czyżby się pan poczuwał do jakiejś winy?

Nie poczuwam się do żadnej winy. Proszę nie próbować mi nic wmawiać.

—Ależ nie mam najmniejszego zamiaru... Jeżeli pan nic złego nie zrobił, to... Nie rozumiem, dlaczego pan zaraz mówi o adwokacie. To fałszywe zeznanie i wprowadzenie władzy w błąd będzie oczywiście miało swe konsekwencje, ale, jeżeli nic się poza tym nie kryje...

—Cóżby się mogło kryć? Nie rozumiem.

Downar postanowił zabluffować. Pochylił się nad biurkiem i zbliżył swą twarz do twarzy Popiela.

—Czy pan wie, o co jest podejrzany? — spytał, nadając swemu głosowi nastrojowe, trochę teatralne brzmienie.

—Nie wiem.

—A więc ja panu powiem. Jest pan podejrzany o zamordowanie niejakiego Izydora Wencla.

Popiel zerwał się na równe nogi.

— Co takiego? Co pan powiedział?

—Powiedziałem, iż jest pan podejrzany o zamordowanie Izydora Wencla, który przybył do nas z Mediolanu.

—Pan sobie chyba kpi ze mnie?!

— Bynajmniej. Nie mam i nie miałem takiego zamiaru. Proszę, niech pan siada. Nie lubię, kiedy moi rozmówcy stoją, a ja siedzę. To mnie krępuje.

— Na jakiej podstawie oskarża mnie pan o zbrodnię? — spytał drżącym głosem Popiel. Cała jego dotychczasowa arogancka postawa zniknęła bez śladu. Był błądy i przerażony.

Downar nie od razu odpowiedział. Zapalił papierosa, zaciągnął się dymem i zrobił psychologiczną pauzę. Czuł jak z każdą sekundą siedzący naprzeciwko niego chłopak mięknie i zamienia się w roztrzęsioną, galaretowatą masę.

— Jeśli pana to interesuje, to przedstawię panu w dużym skrócie oczywiście, przebieg wypadków, które miały miejsce owej nocy. Otóż wieczorem przysły do pana te dwie dziewczyny Luiza i Sabina. A propos, zupełnie niepotrzebnie kazał pan przefarbować Luizę na blondynkę. Nie do twarzy jej. Ale to taka uwaga na marginesie. Pomiędzy dziesiątą a jedenastą przyszedł do pana pański przyjaciel Jacek Niewiarowski. Chłopak był zdenerwowany i wypity alkohol szybko na niego podziałał. Zasnął. Wtedy pan wyprawił dziewczęta, a sam wziął wóz i pojechał na Siekierki, gdzie zabił pan Izidora Wencla i wepchnął go pan wraz z wozem jeziora Czerniakowskiego. Wróciwszy do domu, pozbył się pan przyjaciela i pojechał do swej kochanki, którą pan pouczył, jak ma zeznawać w razie przesłuchania milicyjnego. Wszystko zostało przemyślane dosyć dokładnie.

Podczas gdy Downar mówił, Popiel usiłował opanować wewnętrzne drżenie. Zmusił się nawet do ironicznego uśmiechu.

— Ma pan niezwykle bujną fantazję, panie majorze — powiedział, siłąc się na swobodny ton. — Szkoda tylko, że to wszystko, co pan tutaj powiedział, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. To są tylko takie pańskie fantastyczne pomysły. Doprawdy śmiać mi się chce.

Downar zgasił papierosa i spojrzał wesoło na mówiącego.

— Cieszę się niezmiernie, że tak dodatnio wpływam na poprawę pańskiego humoru. Obawiam się tylko, iż jest pan w błędzie. Czy sądzi pan, że mówiłbym to wszystko, nie mając po temu pewnych podstaw? Dlaczego chce mnie pan traktować

jako autora scenariusza filmowego?

—Dlatego, że to, co pan mówi, jest wytworem pańskiej fantazji.

—No... może nie zupełnie. Co do tego na przykład, że pan mnie celowo wprowadził w błąd podczas naszej pierwszej rozmowy, nie mamy chyba obaj wątpliwości. Pan przecież nie spędził tej nocy u swojej przyjaciółki. Stwierdzają to Sabinka i Luiza, a poza tym pani Smorzeńska także zapewne nie będzie się upierała przy swym pierwotnym kłamstwie.

Popiel milczał.

—No więc jak? Przyznaje się pan do tego kłamstwa?

—Chciałem pana nabrać. To był głupi kawał.

—I tak tylko dla kawału poleciał pan o czwartej rano do pani Smorzeńskiej? — zdziwił się naiwnie Downar.

—I tak miałem zamiar ją odwiedzić.

— Uhm. Gnany tęsknotą pobiegł pan do swej kochanki i kazał pan jej fałszywie zeznawać na milicji. A skąd pan wiedział, że w ogóle milicja będzie się interesowała panem i pańską przyjaciółką? Ciekawe. Telepatia? Intuicja?

Popiel spojrział w bok, unikając wzroku Downara. Gorączkowo szukał w myśli jakichś argumentów, które mogłyby usprawiedliwić jego postępowanie. Argumentów takich jednak nie znajdował. Nie przypuszczał, że milicja tak szybko wpadnie na trop tych dziewcząt.

—No więc co? — powiedział po chwili Downar. — Wydaje się, że może nie wszystko to, co mówię, jest czystą fantazją. Chciał pan rzucić podejrzenie na swojego przyjaciela. Początkowo to się panu w pewnym stopniu udało i Niewiarowski został aresztowany. Ale w takiej poważnej sprawie, jaką jest morderstwo, trzeba wszystko dokładnie zbadać i przeanalizować. Muszę panu powiedzieć, że zrobił to pan bardzo po dyletancku.

— O czym pan mówi?

— No ... o zamordowaniu Izydora Wencla.

— Ależ ja go nie zabiłem! To kłamstwo!

Downar uśmiechnął się.

—Jak dotąd, wszystko wskazuje na to, że to pan kłamie.

—Nie mam nic wspólnego z tą zbrodnią!

— A jeżeli ja bym przedstawił panu świadka, któryby stwierdził, że pan jest mordercą, to co? ...

— Niech mnie pan przestanie straszyć! — krzyknął Popiel.
— Taki świadek nie istnieje!

Downar troskliwym ruchem strzepnął popiół z kłapy marynarki.

— Mam wrażenie, że zna pan pana Oskara Przeckiego.

— Tak. Znam go pobieżnie. Kiedyś go poznałem w towarzystwie.

— I twierdza pan, że to jest taka zupełnie przypadkowa znajomość?

— Tak.

— Ale pan pamięta, jak wygląda pan Prztecki?

Popiel spojrzał niespokojnie na majora.

— Oczywiście, że pamiętam.

— To dobrze, to bardzo dobrze — ucieszył się Downar. — Bo niech pan sobie wyobrazi, że niedawno przesłuchiwałem pana Oskara Przteckiego, zamieszkałego przy ulicy Wiktorskiej. Otóż pan Prztecki twierdzi, że to właśnie pan zamordował Izzydora Wencła.

Popiel zerwał się tak gwałtownie, że aż przewrócił krzesło.

— Co pan powiedział?!

— To, co pan słyszał.

— Prztecki?! To niemożliwe!

Downar wzruszył ramionami.

— Widocznie możliwe. Jeżeli pan chce, mogę panu pokazać podpisane przez niego zeznanie. Twierdził, że usiłował odwieźć pana od tego nierozważnego kroku, ale pan chciał podobno wejść w posiadanie tych kilku tysięcy dolarów, które Wencel przywiózł tu ze sobą. No i stuknął w głowę tego biednego detektywa, a że jednocześnie tak się złożyło, iż Jacek Niewiarowski przegrał w karty firmowe pieniądze, więc koncepcja zrzucenia na niego winy nasunęła się sama przez się.

— To kłamstwo! To wszystko podłe kłamstwo! — krzyknął Popiel, a w głosie jego zadrgała rozpacz.

— Ja jestem skłonny wierzyć raczej panu Przteckiemu — powiedział spokojnie Downar. — Choćby dlatego, że to jest

człowiek już starszy, stateczny, solidny. Robi bardzo pozytywne wrażenie. Ogromnie nad tym ubolewa, że pan dopuścił się tej zbrodni.

Twarz Popiela stała się sina.

— Teraz ja panu powiem, jak to wszystko wyglądało naprawdę.

Downar powolnym, opanowanym ruchom sięgnął po nowego papierosa.

— Słucham. Ciekaw jestem, jakie nowe kłamstwo pan wymyśli.

— Teraz ja powiem prawdę i tylko prawdę. Nie muszę go kryć, tego łajdaka

— Niech pan mówi.

— Powiem. Powiem wszystko. Nic nie będę ukrywał. Więc tak... oszukałem pana wtedy. Cały wieczór i całą noc byłem u siebie. Chciałem się trochę zabawić. Koło jedenastej przyjechał niespodziewanie Jacek.

Popiliśmy zdrowo. Jacek się urznął i poszedł do kuchni, a myśmy jeszcze tańczyli. Potem zatelefonował Oskar, Przetecki. To on kazał mi to wszystko zmontować. Powiedział, żebym w razie przesłuchania zaprzeczył, że Jacek był u mnie i żebym sobie wyrobił alibi u Wandy.. Mówił, że to bardzo ważne. Wtedy nie wiedziałem o co chodzi, ale potem kapnąłem się, że to Przetecki zlikwidował tego z Mediolanu.

— Czy dziewczęta słyszały, jak pan rozmawiał przez telefon?

— Chyba jeszcze były, kiedy Przetecki zadzwonił, pewno były.

— Ale nie wiedziały, że to dzwonił pan Przetecki?

— Skąd mogły wiedzieć? Ja im przecież nie powiedziałem.

— Jednym słowem, pan postanowił zostać współnikiem zbrodniarza, mordercy. Dziwne. Przed chwilą pan oświadczył, że Przeteckiego zaledwie pan zna, że to taka przypadkowa, przelotna znajomość,

— Ja nie jestem jego współnikiem! — krzyknął — Przecież panu powiedziałem, że wtedy, kiedy telefonował Przetecki, nie miałem pojęcia, że Wencel nie żyje, że został zamordowany.

— Więc dlaczego wobec tego zrobił pan to wszystko, aby przygotować sobie fałszywce alibi i rzucić podejrzenie na Nie-wiarowskiego?

— Przetecki mi tak kazał.

— Przetecki może panu w ogóle coś kazać? Taki przelotny znajomy?

Popiel począł się kręcić na krześle, jakby nagle dostał bole-
ści

— Być może, że wyraziłem się niezbyt ściśle. To znaczy...
Ja... ja... dosyć dobrze znam Przeteckiego.

— Ach tak... A może to pański przyjaciel?

— Jaki tam przyjaciel?! Ja mu pokażę!

— Teraz jest pan do niego niechętnie usposobiony —
uśmiechnął się Downar — ponieważ pański przyjaciel oskarżył
pana o zamordowanie Izydora Wencla.

— Bydle!

— Och, nie używamy zbyt mocnych słów. To nawet nie pa-
suje do pańskiej wytwornej aparycji. Wytworzyła się dosyć
dziwna i. powiedziałbym, oryginalna sytuacja. Przetecki twier-
dzi, że to pan jest mordercą, a pan twierdzi, że to on. Jak z tego
wybrnąć? Komu mam wierzyć?

— Panie, majorze — powiedział, odetchnąwszy głęboko Po-
piel. — Panie, majorze, niechże się pan zastanowi. Dlaczegoż ja
miałbym mordować tego człowieka? Dla głupich paru dolarów?
No, niechby miał nawet dziesięć tysięcy. Przecież nigdy bym na
coś takiego nie poszedł. Może pan powiedzieć, że ja jestem zło-
dziej, ciemny typ, zakała społeczeństwa, na wszystko zgoda...,
ale morderca... Nie..., nigdy. No... przecież pan jest dobrym
psychologiem. Czy pan sobie wyobraża, żebym ja w celach ra-
bunkowych...? Panie majorze.

Downar uważnie przyglądał się mówiącemu. Zanotował coś
na kawałku papieru i wsunął kartkę do kieszeni marynarki.

— A może istniały jakieś inne motywy zbrodni?] Może nie
chodziło wyłącznie o rabunek?

— Jakież ja mógłbym mieć motywy? Nonsens. Nie znalazłem
tego człowieka, nigdy w życiu go nie widziałem.

— A co, według pana, mogło skłonić Przeteckiego do popeł-

nienia tej zbrodni?

—To chyba proste. Mariola!

—Mariola? Kto to jest Mariola?

Popiel zawahał się, ale trwało to zaledwie ułamek sekundy. Gra była zbyt niebezpieczna, aby nie wyłożyć wszystkich kart

— Mariola to śliczna dziewczyna. Była kiedyś przyjaciółką Przeteckiego.

—A potem, jak przestała być przyjaciółką Przeteckiego? — spytał Downar.

—Wyszła za mąż za bogatego Włocha. Wyjechała,

— No to cóż z tego wynika? Dlaczego Przetecki miałby zabić detektywa z Mediolanu?

— Bo ten facet prowadził tu wywiad w sprawie Marioli. To chyba jasne.

— Czy to jest powód, żeby mordować człowieka? —zapytał Downar, udając naiwną nieświadomość.

— Zupełnie jak dziecko — zdenerwował się Popiel. — Nie rozumie pan, że Przetecki kombinował grubo z Mariolą i że mu to wcale nie było na rękę, żeby rodzinka tego hrabiego dowiedziała się, że Mariola... Urwał by się interes.

— Teraz zaczynam rozumieć — powiedział wolno Downar. — A co to za interes?

— Niech pan zapyta Przeteckiego. Ja się do jego spraw nie wtrącam.

— To bardzo cenna zasada, ale pragnę panu przypomnieć, że Przetecki oskarżył pana o to morderstwo. Czym więcej dostarczy mi pan wiadomości, tym dla pana. Prędzej potoczy się śledztwo i prędzej sprawa zostanie wyjaśniona.

— Waluta — mruknął Popiel. — Ale ja nie miałem nigdy nic z tym wspólnego.

— Nie wątpię w to. A więc twierdzi pan, że Przetecki prowadził za pośrednictwem swej byłej kochanki interesy walutowe?

— Tak.

— Prawdopodobnie szmuglowali z Włoch złote dziesiątki i dwudziestki.

— Tak

— I za te złote dolary, nie zawsze prawdziwe, Przetecki sku-

pywał na naszym terenie dolary papierowe.

—Oczywiście. U nas ludzie, szczególnie na wsi, wolą złoto od papieru. Można wyciągnąć sporą różnicę na kursie.

—I dawno już Przetecki prowadzi ten proceder?

—O, kawał czasu. Będzie pewnie około dwóch lat.

—I pan uważa, że to jednak Przetecki sprzątnął tego detektywa?

Popiel wzruszył ramionami.

—A któżby? Przecież nie ja. Chyba pan sobie nie wyobraża, żebym dla marnych paru dolarów ryzykował mokrą robotę. Przetecki to co innego. On miał zamiar zrobić jeszcze ze dwie, trzy transakcje i pryskać do Włoch. Dolary w bankach zagranicznych. Spokojne życie.

—Tak. — Downar skończył notować i schował do kieszeni długopis. — To chyba na dziś byłoby wszystko.

—Czy mogę pojechać do domu? — spytał z niepokojem w głosie Popiel.

Downar potrząsnął głową.

—Nie. W tej sytuacji nie wydaje mi się to możliwe, żeby pan jechał do domu. Nie sądzi pan chyba, że to wszystko, co pan tutaj mi powiedział, wezmę bez sprawdzenia za dobrą monetę. Jeżeli chodzi o nasze dotychczasowe kontakty, to mam pewne przykre doświadczenia.

—Więc jestem aresztowany?

—Jest pan zatrzymany w śledztwie. Wszystkie formalności zostaną dokonane.

—Chciałbym mieć adwokata.

—Na to także przyjdzie czas. Sądzę, że dobry adwokat przyda się panu w każdym razie.

—Nie mam nic na sumieniu.

—To się okaże. Wprowadzenie w błąd oficera śledczego nie jest uważane za czyn godny pochwały. Choćby z tego tytułu będzie pan miał pewne przykrości. Niech mi pan jeszcze powie, czy ta partyjka pokera, podczas której Jacek Niewiarowski przegrał dziesięć tysięcy służbowych pieniędzy, to była impreza ukartowana przez Przeteckiego? Napuścił was na to?

—Nic podobnego — zaprzeczył energicznie Popiel. — Nikt

na to nie napuszczal. Często grywaliśmy sobie Jackiem. Ja mu zresztą nie radziłem stawiać tych dziesięciu tysięcy. To go Karwacz namówił.

—Karwacz? Kto to taki?

—To pomocnik Przeteckiego.

Popiel, który wyczuł, że bezpośrednie zagrożenie minęło, nabral znowu pewności siebie. Po prostu współ pracownik.

—A ten czwarty partner do pokera?

—Madejski? To porządny chłopak. Ma złote serce.

—Czy to na skutek częstego obracania dwudziestodolarówkami?

—Skąd pan wie, że on robi w walucie? — zdziwił się Popiel.

Downar uśmiechnął się.

—No cóż..., ja też muszę mieć od czasu do czasu jakieś wiadomości.

*

Downar był zadowolony z rozmowy z Andrzejem Popielem, która w pewnym sensie potwierdzała jego przypuszczenia. Obraz całości sprawy stawał się coraz bardziej klarowny. Poszczególne ogniwa zazębiały się. Wiązanie faktów było logiczne.

Walczak tym razem podzielał optymizm przyjaciela,

—Ale ty nie rozmawiałeś z tym Przeteckim?

— Skąd. Nie wiem nawet, jak on wygląda. Popiel dał się na to nabrać bez trudu.

— Ma nieczyste sumienie, to dlatego.

—Ja od początku nie wierzyłem przecież w to, żeby on zamordował Wencla — powiedział Downar.

—To na pewno nie — zgodził się Walczak. — Ale o tym, że Przetecki miał zamiar sprzątnąć faceta, to mógł wiedzieć.

—Zobaczymy. Ja także przypuszczam, że nie działał w zupełnej nieświadomości.

Walczak podrapał się w głowę.

—No cóż ... z tego wszystkiego wynika, że to jednak chyba Przetecki załatwił tego mediolańskiego detektywa.

—Na pewno.

—Trzeba go jak najszybciej aresztować, żeby nie prysnął.
—Kobiela go pilnuje. Na nim można polegać.
—Kiedy chcesz to załatwić?
—Najrzęcniej chyba będzie wieczorem. Cicho, dyskretnie, bez większego szumu.
—Gdzie mieszka?
—Na Wiktorskiej.
—Pojadę z tobą.
—Dobra. Jak chcesz.
—Wiesz że taki facet może się bronić.
—To mało prawdopodobne, ale musimy być przygotowani na wszystko.

Około dwudziestej trzeciej Kobiela dał znać telefonicznie, że Przetecki jest u siebie. Dłuższy czas spędził w garażu. Przygotowywał wóz do drogi, a teraz poszedł na górę do mieszkania.

Downar i Walczak zabrali ze sobą sierżanta Pakułę i pojechali. Na Wiktorskiej znaleźli Kobielę. Przechadzał się przed domem, w którym mieszkał Przetecki. Dał znak, że wszystko w porządku.

—Zostańcie przy bramie — powiedział Downar do Pakuły.
— We dwóch wejdziemy na górę.

W milczeniu szli po schodach. Downar zarepetował pistolet. Zatrzymali się pod drzwiami, na których była tabliczka „Oskar Przetecki” Na dźwięk dzwonka nikt nie zareagował. Postali chwilę i znowu zadzwonili. Cisza. Downar nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Weszli. Na środku pokoju na dywanie zobaczyli nieruchome ciało mężczyzny.

ROZDZIAŁ XI

Pierwszy ochłonął z wrażenia Walczak. Ostrożnie uklęknął na dywanie i przyjrzał się zwłokom.

— Nie żyje— powiedział i wstał.

— Na pewno nie żyje?

— No widzisz, że facet ma nóż wbity w serce — zdenerwował się Walczak. — Jak ma żyć? Zawołaj Kobielę a ja zatelefonuję do Komendy.

Kobiela był zupełnie osłupiały.

— Rany boskie! Przetecki? Co się stało? Jak?

— Przecież nie my żeśmy go zarżnęli — powiedział Downar. — Od was chciałbym się dowiedzieć, jak to się stało.

— Nie mam pojęcia. Nie dawno go widziałem żywego, tak jak was widzę, towarzyszu majorze. Nic nie rozumiem.

— O której Przetecki przyjechał tutaj?

— Przed dziesiątą, dokładnie za dwadzieścia dziesiątą.

— Przyjechał swoim wozem?

— Nie. Taksówką.

— A potem?

— Potem poszedł do garażu i siedział tam przeszło godzinę. Nie mogłem zaglądać, co tam robił. Myślałem, że pewnie podszkowuje wóz do dalszej drogi. Miał podobno jechać za granicę.

— I widzieliście, jak wyszedł z garażu?

— Oczywiście, że widziałem. Pilnowałem go, żeby gdzie nie prysnął. Wyszedł z garażu, zgasił światło i poszedł na górę.

— Czy jak Przetecki był w garażu, to nie zauważyliście, kto wchodził do domu i wychodził?

— Nie bardzo na to zwracałem uwagę. Pilnowałem Przeteckiego.

— Czy podczas gdy Przetecki był w garażu, to w jego mieszkaniu przez cały czas paliło się światło?

— Nie wiem. Nie zauważyłem.

— Nie jesteście zbyt spostrzegawczy, Kobiela.

Porucznik zrobił się pąsowy.

—Miałem pilnować Przeteckiego, towarzyszu majorze, a nie światła w oknie.

—I z tego pilnowania taki mamy rezultat, że nieomal na naszych oczach faceta zadźgano nożem.

—Przestań, Stefan — mitygował go Walczak — Trudno stało się. Nie ma w tym ani naszej winy, ani Kobieli. Nie mógł przecież pójść za Przeteckim. Otrzymał zresztą ściśle instrukcje.

—No właśnie — powiedział Kobiela, podniesiony na duchu słowami majora — Otrzymałem instrukcje i wykonałem je dokładnie. Nic sobie nie mam do wyrzucenia.

Downar zwinął prawą pięść i zaczął nią uderzać w dłoń lewej ręki, jakby walczył z niewidzialnym przeciwnikiem.

—W głowie mi się to nie mieści. Morderca chyba musiał czekać na Przeteckiego w mieszkaniu. Może miał klucze.

— A może przyszedł w tym momencie, kiedy Kobiela telefonował. Skądżeście telefonowali?

—Z automatu.

—Ile czasu to mogło trwać?

— No... sporo czasu, bo ten najbliższy automat nie działa. Musiałem lecieć do drugiego.

— Powinno było dwóch ludzi pilnować Przeteckiego — powiedział Walczak.

Downar wzruszył ramionami.

— Co tu się teraz zastanawiać nad tym, co powinniśmy byli zrobić? Mądry Polak po szkodzie.

W tym momencie drzwi się otworzyły, weszli fachowcy od daktyloskopii i doktor Ziemba.

—Znowu morderstwo?

— Tak. Niech go pan dokładnie obejrzy, doktorze.

Ziemba otworzył walizeczkę i wyjął swoje przybory. Następnie ukląkł przy zwłokach i przystąpił do badania. Downar i Walczak niecierpliwie czekali na jego opinię. Wprawdzie nie mieli wątpliwości, co do jej treści, ale...

Doktor skończył, podniósł się i spojrzął na oficerów.

—No cóż, proszę panów, sprawa jest właściwie dość prosta. Śmierć nastąpiła na skutek przebicia komory sercowej. W tej

chwili nie mam podstaw, żeby sądzić, że przyczyną śmierci mogło być coś innego.

— Czy wyklucza pan samobójstwo? — spytał Walczak.

— Całkowicie. Zarówno sposób wbicia noża, jak i położenie zwłok wskazuje na to, że zostało dokonane morderstwo.

Downar wpatrywał się w nieruchome ciało.

— Niech mi pan łaskawie powie, panie doktorze, czy pańskim zdaniem cios został zadany przez fachowca, to znaczy przez kogoś, kto umie operować nożem?

— Pytanie bardzo trafne — ożywił się nieco Ziemba

— Otóż wydaje mi się, że to nie fachowiec wbił ten nóż. Zawodowy nożownik uderza zazwyczaj z dołu i noża nie pozostawia w ranie. W danym wypadku zaś cios został zadany z góry i nóż, jak widzimy, tkwi w sercu. Bardzo możliwe, że morderca uderzył, kiedy ofiara siedziała na krześle. Sądzę, że to nie panowie przewrócili to krzesło.

— Na pewno nie— uśmiechnął się Walczak. — Pan sądzi, doktorze, że ten człowiek zerwał się z krzesła po otrzymaniu ciosu?

— To bardziej aniżeli prawdopodobne. Natychmiastowe wyjęcie noża z rany przyspiesza śmierć. Jeżeli zaś nóż się w ranie pozostawi, to ofiara mogła doskonale zerwać się, przewrócić krzesło i dopiero wtedy upaść. Położenie ciała i krzesła potwierdzają to.

— Dla porządku poprosimy pana, doktora, o przeprowadzenie sekcji — powiedział Walczak. — Chociaż ja także nie przewiduję żadnych dodatkowych rewelacji.

Po wyjściu doktora Ziemy i zabranii zwłok, Downar i Walczak przystąpili do przeprowadzenia szczegółowej rewizji. Sprowadzeni z Komendy Ruchu fachowcy zaopiekowali się tymczasem wozem Przeteckiego. To, co znaleźli, potwierdziło w zupełności zeznania Popiela. W baku znajdowała się zanurzona w benzynie metalowa puszka, w niej piętnaście tysięcy dolarów w różnych banknotach. Oprócz tego dziesięć tysięcy dolarów „miękkich”, ukrytych było w oponach.

W mieszkaniu, poza spisem telefonów, nie było nic specjalnie godnego uwagi. Przetecki był człowiekiem doświadczonym i

przezornym, nie przechowywał listów, notatek, nic pisał pamiętnika.

—Słuchaj, Stefan — powiedział w pewnej chwili Walczak — spróbujmy sobie przeprowadzić maleńką wizję lokalną. Załóżmy, że było tak, jak mówi doktor. Przetecki siedział tutaj, na tym krześle, gdzie ja teraz. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że morderca siedział na tym drugim krześle. Usiądź na nim. O tak, doskonale. Na stole stoi patera z owocami, jabłka, pomarańcze... Widzisz te skórki? Obierali pomarańcze. Nie wykluczone, że nóż, którym zostało dokonane morderstwo, przyniósł z kuchni sam Przetecki. Doktor Ziemba twierdzi, że zbrodni tej nie dokonał fachowiec. Możemy więc przypuszczać, że gość Przeteckiego nie przyszedł tutaj z zamiarem zabicia. Być może, że dopiero w trakcie rozmowy został doprowadzony do takiego stanu rozdrażnienia, że ...

Downar słuchał z roztargnieniem wywodu Karola. Uwagę jego przykuła gazeta rozłożona na stole, na której leżały okulary.

— Czemu się tak przyglądasz? — spytał Walczak.

—Patrzę na tę włoską gazetę.

—Włoska gazeta?

— Tak. Zobacz. „Corriere della sera”. Czyli, opierając się na twoim rozumowaniu, należałoby przypuścić, iż morderca zna język włoski,

Walczak roześmiał się.

— Nie bierz tego, co ja mówię, za pewnik. Być może, że to po prostu Przetecki czytał tę gazetę, on znał włoski dobrze.

Downar wziął do ręki okulary, leżące na otwartej gazecie i zaczął się nimi bawić.

— Słuchaj, Karol, ty zdaje się znalazłeś futerał z okularami na stolyczku przy tapczanie,

— Tak znalazłem,

— Pokaż mi je.

Walczak sięgnął do kieszeni i wyjął elegancki skórzany futerał.

— Masz. Czy sądzisz, że ...

Downar wyjął z futerału okulary,

— Sądzę, że te okulary, które leżą na stole, są większe od tych, które ty znalazłeś przy tapczanie. Nie trzeba fachowca, żeby to dostrzec. Spójrz. To nie są okulary tego samego człowieka.

— Masz rację — zgodził się Walczak — Dużo większa, szersza oprawa. A może kupił niewłaściwą oprawę?

Dowar potrząsnął głową.

— Wątpię. Przetecki był bardzo bogatym człowiekiem. U byle partacza nie robił sobie okularów. Trzeba będzie jak najprędzej skontrolować te szkła u optyka. Nie znam się na tym, ale mam wrażenie, że to zupełnie co innego.

Walczak przecesał palcami zwichrzoną czupryną.

— Nie upierajmy się, że to morderca zostawił te okulary. Mógł przecież ktoś wczoraj czy przedwczoraj być u Przeteckiego.

— Nie masz racji. Człowiek, który nosi szkła nie zapomina o takiej ważnej dla siebie rzeczy. Zawsze zabierze ze sobą okulary, chyba, że wybiega w stanie jakiegoś ogromnego podniecenia, jak to ewentualnie miało miejsce w tym wypadku.

— No cóż... pogadamy z optykiem — mruknął niezbyt przekonany Walczak.

Downar poszedł spać o czwartej rano, a już przed dziewiątą był w Komendzie. Natychmiast wezwano go do pułkownika Leśniewskiego.

— No i co? Klops.

— Klops, towarzyszu pułkowniku. Tego się nie spodziewałem.

— Nikt się tego nie spodziewał.

— Jakie jest wasze zdanie w tej sprawie.

Downar wzruszył ramionami.

— Nie mam żadnego zdania. Ten Przetecki miał takie szerokie powiązania ze światem przestępczym, że co najmniej kilkadziesiąt osób można podejrzewać. Mógł to zrobić któryś z tych jego sługusów, albo jakaś dziewczyna. To był facet twardy. Narażał się ludziom.

— Myślicie, że zemsta?

— To prawdopodobne. Miał na pewno dużo wrogów. Nic nie

wskazuje na to, żeby to było morderstwo na tle rabunkowym. Pieniądze, zegarek, pierścionki, wszystko zostało.

—A czy kojarzycie sobie jakoś to morderstwo z zabójstwem Izydora Wencla?

Downar poskrobał się za uchem.

—Bo ja wiem. towarzyszu pułkowniku. Trudno mi w tej chwili coś powiedzieć. Jeżeli to był jakiś wspólnik Przeteckiego. to chyba zabrałby z wozu dolary. Duża suma. Dwadzieścia pięć tysięcy. Ale nie miał na to właściwie czasu. Pewna koncepcja przychodzi mi w tej chwili do głowy. Może Przetecki kazał komuś zlikwidować Wencla, a teraz miał zamiar tego chłopaka sypnąć, dostarczając nam dowodów jego winy.

—Może to jednak Popiel zamordował Wencla — podsunął Leśniewski.

— Właśnie o tym myślę, towarzyszu pułkowniku. Tylko, że Popiel nie mógł zabić Przeteckiego z tej prostej przyczyny, że siedzi.

—To prawda, ale mogła go wyręczyć kochająca kobieta. Wicie chyba, do jakich ofiar są zdolne zakochane kobiety?

—Wiem tylko ze słyszenia i z literatury — powiedział Downar — Osobiście doświadczeń nie mam w tym względzie.

— To dla was chyba lepiej — uśmiechnął się Leśniewski.

Downar puścił mimo uszu tę uwagę. W tej chwili był zaabsorbowany zupełnie czym innym,

— Więc sadzicie, że Przeteckiego mogła zabić przyjaciółka Popiela?

Leśniewski rozłożył ręce.

Nie wiem. Nie chciałbym wam niczego sugerować. Wy przecież siedzicie w tej sprawie, a ja występuję raczej w charakterze obserwatora. Nie rozmawiałem ani z Popiciem ani z jego kochanką. Podsuwam wam tylko. Wydaje mi się, że takiej ewentualności nie można wykluczyć, tym bardziej, że ta kobieta została w jakiś sposób wciągnięta w całą sprawę, zapewniając Popielowi fałszywe alibi. Nie wiadomo, w jakim stopniu jest poinformowana o wszystkim. Dowiedziawszy się o uwięzieniu ukochanego. mogła pójść z pretensjami do Przeteckiego. który na przykład ją wykpił i doprowadził do takiego stanu, że pchnę-

ła go nożem. Downar nie wyglądał na przekonanego takim rozumowaniem.

— Kobieta bardzo rzadko operuje nożem — powiedział — Na to trzeba dosyć dużej siły i zdecydowania. Cios został zadany z przodu. Nie wydaje mi się to prawdopodobne, żeby Przetecki, który był mężczyzną postawnym, silnym, wysportowanym, nie zdołał się obronić, albo przynajmniej złagodzić siłę uderzenia.

— Macie najzupełniejszą rację — zgodził się Leśniewski — Taka rzecz mogła być nastąpić tylko w momencie jakiegoś niezwykłego podniecenia. Zresztą to przecież jest jedna z hipotez. Nie musicie się tym sugerować.

Zadzwonił telefon. Pułkownik podniósł słuchawkę. Powiedział: — Tak, tak, rozumiem. Dziękuję — i skończył rozmowę. Podniósł wzrok na Downara. — Mam dla was dosyć interesującą wiadomość.

— Słucham.

— Przed chwilą doniesiono mi, że wczoraj pan Bompenelli przekroczył naszą granicę. Przyjechał wozem.

Downar aż podskoczył na krześle.

— Bompenelli tutaj? Nieprawdopodobne.

— Jak najbardziej prawdopodobne. Właśnie teraz otrzymałem meldunek. Jedno jest tylko zastanawiające. Nie nocował w żadnym hotelu krakowskim ani warszawskim, chociaż ma zarezerwowany pokój w „Bristolu.

— Kiedy minął granicę? — spytał Downar.

— Wczoraj w godzinach popołudniowych.

— Czyli, że na wieczór mógł być już w Warszawie.

— Tak

— Nie, nie, nic nie sędzę. Żartowałem oczywiście. Ale fakt pozostaje faktem, że facet wymknął się spod naszej kontroli. Przekroczył granicę i zniknął. Nie wiadomo, co się z nim stało.

— Nie jechali za nim?

— Jechali, ale co z tego. Wiecie chyba, jakimi wozami dysponuje milicja, a gość podobno przyjechał jakąś fantastyczną maszyną. Ciekawe, gdzie on mógł nocować?

Downar zapalił papierosa i zamyślił się. — Mam wrażenie, że ja wiem, gdzie go szukać — powiedział po chwili.

—Gdzie?
—Na Siekierkach.

*

Kwadratową twarz Sikory rozjaśnił szeroki uśmiech

— Jednak jedziemy na te Siekierki, towarzyszu majorze.

— Ano Jedziemy. i to możliwie szybko.

— Na jaką ulicę?

—Zatrzymacie się na rogu Koszykowej. Ja dalej pójde piechotą. Zależy mi na tym, żeby nie zwracać uwagi.

—Rozumiem. A tak samemu to bezpiecznie, towarzyszu majorze? Może ja bym z wami podszedł? Wóz można zostawić.

Downar uśmiechnął się.

—Nie, nie, to niepotrzebne. Nie żadna obława. Nic mi nie grozi, zresztą mam pistolet.

Na ulicy Nadrzecnej Downar bez trudu odnalazł sierżanta Machowiaka. którego zadaniem było obserwowanie domu Justyny Sarnowskiej.

—Co nowego?

—Wszystko w porządku, towarzyszu majorze.

—Babka jest u siebie?

— Tak. Miała gościa.

—Kto taki?

—Nie wiem. Nie znam go. Jakiś zagraniczny facet Przyjechał luksusowym wozem Alfa Romeo. Rejestracja włoska.

—No i gdzie on jest?

—Odjechał jakieś dziesięć minut temu.

—A to pech.

—Nie miałem polecenia, żeby go zatrzymać — tłumaczył się sierżant Gdybym był wiedział...

Downar machnął ręką.

—Nie mam do was pretensji. Nie mogliście go zatrzymać. W którym kierunku pojechał?

—W kierunku miasta.

—A wczoraj kto tu miał dyżur?

—Brzeziński.

—Był całą noc?

—Tak. Ja przejąłem służbę od niego dzisiaj rano.

—A ten Włoch o której tu przyjechał?

—Brzeziński mówił, że wczoraj około w pół do dwunastej.

—I został do rana?

—Tak. Przed kilkoma minutami odjechał.

—Jak on wygląda? Widzieliście go?

—Oczywiście, że go widziałem. Starszy, bardzo elegancki mężczyzna. Pierwszorzędnie ubrany. Od razu widać, że zagranicznik.

—A ta babka nie wychodziła dzisiaj z domu?

—Nie.

—I więcej nikt do niej nie przychodził, ani nie przyjeżdżał?

—Nie. Ja przynajmniej nic widziałem nikogo. Brzeziński także mówił, że nie widział nikogo oprócz tego Włocha.

Downar pożegnał sierżanta i poszedł odwiedzić przyjaciółkę Przeteckiego.

Właśnie wychodziła. Na widok nieznanego zatrzymała się w otwartych drzwiach.

—Pan do mnie?

—Tak, jeśli pani pozwoli.

— Wychodzę i trochę się śpieszę. A pan w jakiej sprawie?

—W ważnej sprawie — powiedział Downar i spojrzał jej w oczy. Najwidoczniej wyczytała rozkaz w tym spojrzeniu, bo nie próbowała oponować. Cofnęła się w głąb mieszkania.

—Proszę niech pan wejdzie.

Usiedli. Downar nie miał zamiaru zachowywać incognito. Nie zdawała się być zaskoczona wizytą milicji.

—Słucham? Czym mogę panu służyć, panie majorze?

—Przede wszystkim pragnę podkreślić, że chciałbym pani zabrać jak najmniej czasu. Dlatego też proponuję, żebyśmy od razu wyjaśnili sytuację i nie wdawali się w niepotrzebne rozmowy.

—Nie mam nic przeciwko temu — zgodziła się skwapliwie Justyna i spojrzała na zegarek.

Downar zauważył to.

—Obawiam się jednak, że mimo najszczerzych chęci rozmowa nasza potrwa dłuższą chwilę i dlatego radziłbym, żeby się

pani przestała śpieszyć.

—Wobec tego pozwoli pan, że zatelefonuję i odwołam spotkanie.

—Bardzo proszę.

Wyszła do drugiego pokoju, ale drzwi nie zamknęła tak, że mógł bez trudu słyszeć rozmowę. Nie wiele jednak usłyszał. — Przepraszam cię, ale nie mogę przyjść. Zadzwoń jutro. — Wróciła i powiedziała wesoło: A teraz jestem całkowicie do pańskiej dyspozycji.

Downar podziękował skinieniem głowy.

— Aby więc nie przedłużać naszej pogawędki, postanowiłem powiedzieć pani wszystko to, co wiem. W ten sposób unikniemy jajowych sporów, polegających na tym, że pani mogłaby czemuś przeczyć, a ja ze swej strony przekonywałbym panią, że jestem o danej sprawie dobrze poinformowany itd itd. Powiem pani wszystko, co wiem, a następnie poproszę panią ewentualnie o uzupełnienie moich wiadomości. Wiem, że pani jest bliską przyjaciółką pana Oskara Przeteckiego, a jednocześnie że przyjaźni się pani z hrabiną Mariolą Bompennelli, która jest z pochodzenia Polką i która niedawno poślubiła włoskiego arystokratę. Wiem również, że pan Bompennelli jest obecnie w Polsce i że dzisiaj noc spędził u pani.

—Nic mnie z nim nie łączy — powiedziała pośpiesznie Justyna — Po prostu go przenocowałam. Bałam się puścić go samego tak późno.

—Bardzo słusznie pani postąpiła, tym bardziej, że niedawno odwiedził panią pan Izydor Wencel z Mediolanu, który, wracając od pani, został zamordowany.

—Zamordowany? Sądziłam, że to był nieszczęśliwy, wypadek.

Downar spojrział na nią z wyraźną dezaprobatą.

—Po co pani mówi takie rzeczy, w które oboje nie wierzymy. Szkoda czasu. Pani wie na pewno, że to nie był wypadek.

—Zapewniam pana, że...

—Mniejsza z tym. Ta sprawa w tej chwili nie jest dla mnie istotna. Chciałbym się czegoś dowiedzieć o panu Bompennellim.

—Wie pan już, że to mąż mojej przyjaciółki. Przyjechał

wczoraj mnie odwiedzić.

—O której godzinie?

—Już chyba było po jedenastej.

—Późne odwiedziny.

—Nie mógł wcześniej. Wpadł tylko na chwilę, ale namówiłam go, żeby zanocował.

—Musiał mieć jakiś pilny interes do pani.

—Przywiózł mi pozdrowienia od Marioli.

—I tylko z samymi pozdrowieniami zjawił się tutaj około pół do dwunastej? Trudno mi w to uwierzyć, tym bardziej, że miał zarezerwowany pokój w „Bristolu”. Pani wybiera się do Włoch. Zaproszenie otrzymała pani od swej przyjaciółki Marioli.

— A może w związku z tą wycieczką do Włoch odwiedził panią pan Bompenelli?

—Dlaczego pan tak sądzi?

— Tak mi się wydaje. Wydaje mi się również, że pan Bompenelli bardzo się obawia pani wizyty. Nie jest wykluczone, że prosił panią, żeby pani zrezygnowała z podróży do Włoch,

— Pan jest zbyt domyślny, panie majorze.

—Gdybym nie był domyślny, to nie awansowałbym na majora — uśmiechnął się Downar — W każdym razie dziękuję pani za tę informację,

— Ja nic nie powiedziałam.

— Wystarczająco jak na moje potrzeby. Czy pani się nie orientuje, gdzie w tej chwili pojechał pan Bompenelli?

—Przypuszczam, że do hotelu.

— Czy umówiła się pani z nim?

— Obiecał, że zadzwoni.

—W jakim języku rozmawia pani z panem Bompenelli. Może zna pani włoski?

—Nie, nie znam włoskiego. Rozmawiamy po niemiecku. Luigi dobrze mówi po niemiecku.

—Cy pan Bompenelli nosi okulary?

Justyna spojrzana ze zdziwieniem.

—Okulary? Nosi, ale tylko do czytania. Dlaczego pan pyta?

— Nic, tak sobie. Coś mi się przypomniało. Chciałam jesz-

cze zadać pani kilka pytań dotyczących Izydora Wencła.

— Nic nie wiem na temat jego tragicznej śmierci.

— Czy pani знаła go przedtem? Ewentualnie czy pani wiedziała o jego istnieniu, o tym, że ma przyjechać do Polski?

— Nie. Nie znałam go, ani nic o nim nie wiedziałam.

— Wencel także dosyć późno przyjechał do pani.

— Dokładnie nie pamiętam, ale zdaje się, że było już koło jedenastej.

— Czy wtedy był ktoś u pani?

— Nie. Byłam sama.

— I niewątpliwie zaskoczyła panią ta nieoczekiwana wizyta.

— Oczywiście. Zdziwiłam się.

— W jaki sposób Wencel uzasadnił swoje spóźnione odwiedziny?

— Powiedział, że przywozi mi pozdrowienia od Marioli.

Downar uśmiechnął się.

— Wszyscy późną nocą przywożą pani pozdrowienia od Marioli. To musi panią nużyć.

— Tak się złożyło.

— Czy Wencel przywiózł od pani Marioli list?

— Nie. Przywiózł tylko fotografię.

— Fotografię Marioli w kostiumie kąpielowym?

— Tak. Skąd pan wie?

— Znam to zdjęcie. Efektowne. Czy zauważyła pani, że Wencel miał więcej odbitek?

— Wydaje mi się, że miał jeszcze parę. Ale tak szybko schował tę kopertę do kieszeni...

— Czy Wencel mówił coś pani o swoim siostrzeńcu?

— Tak. Powiedział, że przyjechał ze swoim siostrzeńcem, ale że Jacek pojechał do Andrzeja Popiela na Żoliborz.

— Na pewno pani pamięta, że tak powiedział? To bardzo ważne.

— Pamiętam na pewno. Mówił, że dał siostrzeńcowi sto dolarów i że on miał prosić Popiela o pomoc w wymianie.

— Czy wtedy długo Wencel pozostał u pani?

— O, chyba ze dwie godziny. Rozmawialiśmy. To był czarujący człowiek. Umiał opowiadać z taką werwą i z takim humo-

rem.

—I o czym państwo rozmawiali?

— O różnych rzeczach, o Italii, o podróżach, o Marioli...

—Wypytywał panią o Mariolę?

—Tak.

— Czy panią to nie zastanowiło?

Justyna skinęła głową.

—Tak. To znaczy... Początkowo nie zwróciłam na to uwagi.

Wydawało mi się to naturalne, ale...

—Ale co?

Zerwała się ze swego miejsca i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju.

—Nic nie wiem. Nic nie wiem. Nic więcej nie powiem.

Downar, który był nawet trochę zdziwiony szczerością tej dziewczyny, zrozumiał, że to się już skończyło.

—Dlaczego pani nagle się zdenerwowała?

—No bo... wypytuje mnie o takie różne rzeczy. Już sama nie wiem, co mówię. Przez chwilę...

—Co przez chwilę?

— Przez chwilę dosłownie zapomniałam, że pan jest milicjantem.

—Nie musi pani o tym ciągle pamiętać.

—Niech mnie pan już nie męczy. Błagam. Jestem bardzo zdenerwowana.

—Niezmiernie mi przykro — powiedział zakłopotany Downar — ale jestem zmuszony jeszcze zadać pani kilka pytań. Proszę, niech się pani uspokoi i niech pani nie utrudnia mi i tak już niełatwej sytuacji.

Usiadła na krześle i zapaliła papierosa.

—No, więc słucham. Co panu jeszcze mogę powie-

— Z tego. co pani powiedziała, wynika iż pan Wencel był wtedy u pani od godziny jedenastej do godziny pierwszej.

—Tak. Mniej więcej.

—Czy to była pierwsza wizyta pana Wencla? Przedtem nigdy go pani nie widziała?

—Nigdy. Wtedy zobaczyłam go po raz pierwszy. Rozmawialiśmy o Mariolii. To chyba naturalne.

— Co pani robiła wczoraj wieczorem? — spytał nagle Downar.

Justyna spojrzała na niego zaskoczona.

—Wczoraj wieczorem? Wczoraj wieczorem? Byłam w domu. Przyjechał do mnie Bompenelli.

—O której pani wróciła do domu?

— Między ósma a dziewiąta.

—Czy przed tym Włochem nikogo u pani nie było?

—Nie.

—To znaczy, że nikt nie może potwierdzić tego, że pani była w domu pomiędzy dziewiątą a jedenastą wieczorem?

—Kto miałby to potwierdzać? Mieszkam sama. O co panu chodzi?

—A może ktoś z sąsiadów mógłby?

—Ja tu nie mam żadnych sąsiadów. Widzi pan przecież, że to jest domek w ogródku. Ja się nie interesuję żadnymi sąsiadami i sądzę, że i sąsiedzi mają ciekawsze zajęcia, niż kontrolować, o której ja jestem w domu.

—Sąsiedzi dosyć się panią interesują — powiedział Downar.

—O czym pan mówi? Nie rozumiem.

—Na przykład sąsiedzi, mieszkający po drugiej stronie ulicy, widzieli, jak pewnego dnia z pani mieszkania wyskakiwał przez okno jakiś młody człowiek. Przy czym słychać było krzyki dochodzące z mieszkania.

—To moje mieszkanie jest pod obserwacją?

—Oczywiście. Czy panią to dziwi?

—Od jak dawno mnie śledzicie?

—To już jest, że się tak wyrażę, tajemnica służbowa. Ale powróćmy do tamtej dramatycznej sceny. A więc młody człowiek wyskoczył przez okno w popłochu. Można bez trudu domyśleć się, że niespodziewanie przybył do pani w odwiedzinach pan Oskar Przetecki.

—To są moje prywatne sprawy.

—Oczywiście — zgodził się Downar — Przykrą stroną mej pracy jest to, że właściwie nieustannie muszę rozmawiać o czyichś prywatnych sprawach. Zastanawiając się nad tą ucieczką młodego człowieka, dochodzę do wniosku, że stosunki pani z

panem Przeteckim musiały ulec niewątpliwemu ochłodzeniu.

Justyna milczała. Zupełnie straciła tę swobodę, z jaką prowadziła rozmowę na początku. Mocno zacisnęła szczęki. Ściągnięte brwi rysowały się grubą linią nad zmrużonymi oczami. Była czujna, opanowana.

— Czy pani wie, dlaczego ja się tak dopytuję o pana Przeteckiego — spytał swobodnie Downar.

— Nie wiem.

— Dlatego, że Oskar Przetecki został wczoraj wieczorem zamordowany.

Nie zareagowała ani jednym słowem. Siedziała nieruchomo, obojętna zupełnie, tak jakby nie rozumiała.

Czy pani usłyszała, co powiedziałem? — spytał Downar.

Zwróciła ku niemu pobladłą, zmienioną twarz.

— Powiedział pan, że Oskar został zamordowany.

— I ta wiadomość nie zrobiła na pani większego wrażenia?

— Skąd mogę wiedzieć, że to prawda, co pan mówi. Może to jakiś podstęp?

— Myli się pani. To nie jest podstęp. Zresztą zupełnie nie widzę, co mógłbym osiągnąć, opowiadając pani tego rodzaju zmyśloną historię, Oskar Przetecki został zamordowany wczoraj wieczorem w swoim mieszkaniu przy ulicy Wiktorskiej. Ja prowadzę w tej sprawie dochodzenie. Dlatego przyszedłem do pani.

— Czy mnie pan podejrzewa o tę zbrodnię?

Downar nie od razu odpowiedział. Wyjął z kieszeni papierośnicę i przez chwilę obracał ją w palcach. Uważnie obserwował twarz młodej kobiety.

— Widzi pani, w tego rodzaju wypadkach nawiązuje się kontakt przede wszystkim z najbliższym otoczeniem.. Pani była przyjaciółką Przeteckiego. Ostatnio wasze wzajemne stosunki uległy dość zasadniczej zmianie. Proszę mi powiedzieć, czy pani go nienawidziła?

— Tak. Nienawidziłam go. Ale nie ja go zabiłam. Miał dużo wrogów. To był człowiek, który wzbudzał nienawiść.

— Przeteckiego zabił ktoś, kto był w pewnym stopniu obznajmiony z problemami kryminalistyki. Na pistolecie, z któ-

rego został zastrzelony, nie znaleziono żadnych odcisków palców.

Justyna nie zareagowała na ostatnie słowa.

— Przteckiego zabito wczoraj wieczorem pomiędzy godziną dziesiątą a jedenastą. Pani twierdzi, że była pani już w domu pomiędzy ósmą a dziewiątą i że już potem nie wychodziła pani.

—Tak.

—To oczywiście łatwo sprawdzić, bo od czasu zabójstwa Izzydora Wencla pani pozostaje pod obserwacją. Wystarczy, że zapytam agenta, który miał wczoraj dyżur. On mi powie dokładnie, o której pani wróciła do domu.

Justyna zmieszała się.

— No wie pan, tak dokładnie nie pamiętam. Mogłam się pomylić.

Downar pokiwał głową.

— Bez wątpienia. Nikt bez przerwy nie patrzy na zegarek, ale przeważnie człowiek się orientuje, czy wrócił do domu o ósmej wieczór czy o jedenastej. Pomyłki są możliwe w granicach pół godziny.

—Nie pamiętam — powiedziała cicho Justyna

— Mam tu niedaleko wóz, przejedziemy się do Komendy i wyjaśnimy sobie tę dosyć istotną sprawę.

—Nie, nie... nie chciałabym...

—Niestety, proszę pani, jest to konieczne. Bez względu na te wątpiwości i tak musiałyby pani pofatygować się do Komendy. Musimy spisać pani zeznanie w tej sprawie. Jak już wspomniałem, pani jest bliską osobą zamordowanego, więc...

Justyna nie próbowała oponować. Bez sprzeciwu pozwoliła się zawieźć do Komendy. Była przygnębiona.

Downar natychmiast skomunikował się z sierżantem Brzezińskim, którego poprosił do swojego pokoju.

—O której pani Sarnowska wróciła wczoraj do domu?

— Około jedenastej — odparł bez wahania Brzeziński — A zresztą na wszelki wypadek sprawdzę. Wyjął i przerzucił kilka kartek — Pani Sarnowska wróciła wczoraj do domu o godzinie 22.57.

—Czy była sama?

—Odprowadził ją jakiś wysoki mężczyzna.

—Ale ten mężczyzna nie wchodził do domu?

—Nie.

— Dziękuję. Na razie to byłoby wszystko. Po wyjściu Brzezińskiego Downar spojrział na Justynę.

— No więc widzi pani, że coś tutaj nie zupełnie gra. Pani twierdziła, że wróciła pani do domu pomiędzy ósmą a dziewiątą wieczorem, a tymczasem okazuje się, że to była już za trzy minuty jedenasta. Nie sposób w to uwierzyć, żeby się pani pomyliła, czy żeby się pani nie zorientowała...

— Tak. Wróciła o jedenastej. No i co z tego? Ja nie zabiłam Przeteckiego.

—Już mi to pani raz powiedziała. Takich rzeczy nie należy powtarzać, bo to nie robi najlepszego wrażenia.

—Czy może mi pani powiedzieć, kto panią wczoraj odprowadził?

Mój znajomy.

Jak się nazywa? Ostrzegam panią, że prędzej czy później i tak będzie pani musiała podać to nazwiska

Stanisław Nagajski.

Czy to ten sam młody człowiek, który wtedy wyskakiwał przez okno?

Tak... ale to dzielny chłopak. Wtedy tylko tak się spieszył... Był zaskoczony.

Rozumiem i specjalnie mu się nie dziwię. Czy państwo przyjechali wczoraj wieczór taksówką?

Nie. Złapaliśmy jakiś wóz na łebka.

A gdzie chodziliście wieczorem?

Po południu byliśmy w kawiarni, a potem na ósmą poszliśmy do kina. Po kinie byliśmy jeszcze na spacerze.

A teraz może mi pani odpowie na najważniejsze pytanie. Dlaczego pani skłamała? Dlaczego powiedziała pani, że wróciła pani do domu pomiędzy ósmą a dziewiątą wieczorem?

Justyna milczała.

—Nie chce mi pani odpowiedzieć?

Nieznacznie ruszyła ramionami.

—Sama nie wiem, dlaczego tak powiedziałam. Nie rozu-

niem ... Chyba to zrobiłam tak sobie ... przez przekorę. Nie wiem.

—Przez przekorę? — zdziwił się Downar — Nieprawdopodobne. A może pani wiedziała o tym, że Przetecki nie żyje?

—Nie, nie, nie wiedziałam — zaprzeczyła gwałtownie — Skądżeż bym mogła wiedzieć?

—Więc pani nie chce powiedzieć, dlaczego usiłowała mnie pani wprowadzić w błąd?

—Nie wiem. nic nie wiem. Już nie mam siły.

Zadzwonił telefon. Downar od razu poznał głos sierżanta Pakuły.

— Makaroniarz jest w hotelu, towarzyszu majorze. Co mam z nim zrobić?

—Nic z nim nie róbcie. Zaraz przyjeżdżam.

—Czy pozwoli mi pan już pojechać do domu? —spytała Justyna.

Downar odpowiedział pytaniem na pytanie.

—Czy pani nie rozumie tego, że jest pani podejrzana o zamordowanie Oskara Przeteckiego lub o uczestnictwo w tej zbrodni?

—Jezus, Maria!

—Ja teraz musze wyjechać na miasto. Zaczeka pani na mój powrót. Wydam polecenie, żeby panią tu możliwie wygodnie urządzono.

—Więc jestem aresztowana?

—Jest pani chwilowo zatrzymana. To bardzo niedobrze mi jać się z prawdą w takich wypadkach.

Downar pośpiesznie wybiegł z Komendy i pojechał do „Bristolu”. Pakuła czekał na niego w hallu.

—Jest, towarzyszu majorze. Poszedł do siebie na górę. Czwarte piętro. Pokój czterysta dwadzieścia siedem.

—Dobra. Idę do niego.

—Mam poczekać.

—Tak. Możliwie, że będziecie mi potrzebni.

Hrabia Luigi Bompenelli był zdziwiony ujrzawszy niezna-

mego mężczyznę. Właśnie przyszykował się do poobiedniej drzemki. Zdjął marynarkę i rozwiązał krawat. Wyczekująco patrzył na niespodziewanego gościa.

Downar spytał, czy może mówić po niemiecku. Na co Bompennelli zgodził się chętnie.

—Przepraszam, że pana niepokoję, ale mam pewną sprawę, którą chciałbym z panem mówić.

— Czy nie moglibyśmy się spotkać jutro? Jestem trochę zmęczony podróżą. Downar wyjaśnił, iż jest oficerem dochodzeniowym i że prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa. Bompennelli spojrział na niego zdumiony.

—Cóż ja mogę mieć z tym wspólnego, drogi panie?

—Bardzo mi przykro — powiedział Downar — ale jestem w posiadaniu pewnych danych, które pozwalają mi wnioskować, że pańska osoba jest w jakiś sposób związana z tym morderstwem, a ściślej mówiąc z dwoma morderstwami, dokonanymi na terenie Warszawy.

—To niesłychane! — wykrzyknął Bompennelli — Pan chyba żartuje.

Downar potrząsnął głową.

—Nigdy bym sobie nie pozwolił na podobnie nietaktowne żarty. Zapewniam pana, że gdybym nie miał pewności, to nie ośmieliłbym się pana niepokoić.

Bompennelli przyjrzał się uważnie mówiącemu.

—Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Może pan mi to jakoś bliżej wyjaśni.

—Jak najchętniej. Właśnie w tym celu odwiedziłem pana, żebyśmy sobie pewne sprawy wyjaśnili. — Downar sięgnął do kieszeni i wyjął fotografię — To jest pańska małżonka, prawda?

Bompennelli włożył okulary i przez chwilę przyglądał się zdjęciu.

—Tak. To moja żona. Czy można zapytać, w jaki sposób wszedł pan w posiadanie tej fotografii?

—Ta fotografia została znaleziona w samochodzie, którym przyjechał z Mediolanu niejaki Izydor Wencel.

—Nie znam takiego człowieka. Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

—Izydor Wencel pracował w prywatnej agencji wywiadowczej „Discrezione”. Przyjechawszy do Warszawy, zaczął przeprowadzać wywiad dotyczący osoby pańskiej żony Marioli.

— Kanalie — zamruczał Bompennelli.

—Kogo obdarza pan tym niepoehlebnym epitetem? —spytał Downar.

— A kogóżby, jak nie moją rodzinę? To oni wynajęli tego człowieka. Jestem pewien. Łotry! Kanalie! Życ mi nie dają! Każdą chwilę mi potrafią zatruć. Wynajęli detektywa, żeby zebrał wiadomości o mojej żonie, oni! Ale nic z tego. Nie dostaną moich pieniędzy. Ani lira, ani jednego lira. Jestem żonaty. Rozumie pan? Jestem żonaty! Będę miał dziecko. Moja żona jest w ciąży. Tamci nie dostaną ani jednego lira po mojej śmierci. Kanalie! — Umilkł i przez chwilę dyszał ciężko. Powoli podniecenie mijało. Szeroką chustką wytarł spoconą twarz i spojrzął z wyrazem zażenowania na swego gościa. — Bardzo pana przepraszam ale nie mogłem się opanować. To są rzeczy, które są silniejsze ode mnie. Przepraszam,

— Właściwie domyślałem się tego — powiedział Downar.— Pańskie słowa nie są dla mnie rewelacją, sprawa ta interesuje mnie od chwili, gdy został zamordowany Izydor Wencel. Przeprowadziliśmy już szczegółowe śledztwo, w wyniku którego jestem dobrze poinformowany o panu, o pańskiej żonie i o różnych pańskich kłopotach.

Bompennelli podniósł się ciężko, podszedł do walizki i wyjął z niej butelkę koniaku. Downar uważnie obserwował jego potężną postać, szerokie bary i muskularne ramiona. To nie była sylwetka typowego Włocha.

— Pozwoli pan kropelkę koniaku — powiedział Bompennelli i nie czekając na aprobatę, nalał dwie pełne szklanki. Swoją wychylił jednym haustem i znowu sięgnął po butelkę.

Downar trochę się zaniepokoił. Obawiał się, że jeśli konsumpcja koniaku pójdzie w tym tempie, to niebawem rozmowa z włoskim arystokratą stanie się bezcelowa. Nie widać jednak było, ażeby Bompennelli ulegał w jakimkolwiek stopniu działaniu alkoholu. Wypił drugą szklankę i uśmiechnął się zyczliwie.

—Nic mi tak dobrze nie robi na nerwy jak koniak. Czemu

pan nie pije?

—Nie jestem przyzwyczajony — odparł Downar i przez grzeczność umoczył wargi w aromatycznym trunku.

Bompenelli znowu zaczął przyglądać się fotografii.

—Kocham ją. Czy pan wie, że ja ją naprawdę bardzo kocham? To dobra, porządna dziewczyna. Pan mi nie wierzy.

—Ależ wierzę panu — zapewnił skwapliwie Downar.

—To porządna dziewczyna — powtórzył w zamyśleniu Bompenelli — Widzi pan..., ja nie miałem szczęścia w życiu. Kobiety, które napotykałem, interesowały się tylko i wyłącznie moimi pieniędzmi, moją pozycją towarzyską, ale nigdy nie mną samym. Przeżyłem dużo rozczarowań. I dopiero kiedy poznałem Mariolę ... Ja wiem o jej przeszłości Pan też o niej wie, oczywiście. Ale to jest w gruncie rzeczy porządna dziewczyna, szlachetna. To wszystko tylko okoliczności, źli ludzie... Ona mnie kocha. Pan rozumie, co to znaczy? Ona mnie kocha. Kocha mnie, chociaż jestem od niej dużo starszy, mógłbym być jej ojcem Cudna dziewczyna. Kocha mnie i ja ją kocham. I byłibyśmy najszczęśliwymi na świecie istotami, gdyby nie te wszystkie komplikacje. Ludzie są podli, bardzo podli.—Otarł pot z czoła i znowu napełnił szklanę.

—Czy nie za dużo pan pije? — spytał nieśmiało Downar.

Bompenelli spojrzał na niego niechętnie.

—Piję wtedy, kiedy jestem zdenerwowany. Koniak mi świetnie robi na nerwy. Już taki mam ustrój psychofizyczny. A zresztą to panu chyba powinno być na rękę. że ja piję. Pan się chce przecież czegoś dowiedzieć. Pan prowadzi śledztwo. A gdybym ja nie wypił paru szklaneczek koniaku, to wcale nie jestem pewien. czy bym panu to wszystko opowiadał. Bo to są bardzo prywatne sprawy. Robię to, co mi się podoba. Mam do tego chyba prawo. Mam prawo do szczęścia

—Oczywiście.

—No, widzi pan. Pan to rozumie, ale nie wszyscy to rozumieją. Mojej rodzinie chodzi tylko o pieniądze, o spadek. Powiedziałem, że Mariola pochodzi ze szlacheckiej polskiej rodziny, że jej rodzice mieli przed wojną rozległe dobra. Ale zaczęli coś podejrzewać. Być może, że Mariola czasem zachowuje się

niedco zbyt swobodnie. Zaczęli podejrzewać. Chcieli mnie i ją skompromitować. To oni, to moja siostra i mój szwagier wynajęli tego detektywa w Mediolanie. Jestem pewien, że to oni. Łajdaki. Węszą tylko i myślą nad tym jakby mnie skompromitować, mnie i moją żonę. Ale powiada pan, że ten detektyw został tu zamordowany?

— Tak.

Bompenelli ruszył potężnymi ramionami.

—No cóż... ja go nie zamordowałem, bo mnie tu nie było. Chociaż na pewno miałbym na to ochotę.

—Ciekawe, kto mógł zamordować tego detektywa — powiedział Downar.

—Nie wiem. Musiał tu mieć widocznie jakichś wrogów Downar potrząsnął głową.

—Nie sądzę. Wencel przyjechał do Polski po raz pierwszy od czasu wojny. Mało prawdopodobne, aby ktoś przez tyle lat pałał chęcią zemsty. Raczej jestem skłonny przypuszczać, że zbrodni tej dokonał ktoś, komu było nie na rękę, aby informacje, zebrane przez mediolańskiego detektywa, mogły zaszkodzić pańskiej żonie.

Bompenelli ściągnął brwi i ostro spojrział na mówiącego.

— Kogo pan ma na myśli? Przecież powiedziałem już panu, że mnie w tym czasie nie było w Warszawie. Przyjechałem dopiero wczoraj.

—A propos. Czy można zapytać, w jakim celu pan przyjechał?

—W sprawach handlowych. Jestem współwłaścicielem dużej firmy importowej. W Polsce skupujemy konie. A ponieważ ja się na koniach znam...

—Czy nie sądzi pan, że detektywa z Mediolanu mógł zamordować Oskar Przetecki? — spytał Downar.

Na dźwięk tego nazwiska Bompenelli drgnął gwałtownie. Zaróżowiona alkoholem twarz przybladła, oczy zabłyśły złym blaskiem.

—Dlaczego pan mówi o tym człowieku?

—Dlatego, że prowadzę dochodzenie w sprawie dwóch morderstw — wyjaśnił spokojnie Downar — Bo Oskar Przetecki

również został zamordowany.

—Co pan powiedział? Przetecki? Zamordowany?

—Tak. I, szczerze mówiąc, pana podejrzewam o tę zbrodnię.

Bompenelli nagle się ożywił. Wyciągnął przed siebie swe potężne ręce i zacisnął pięści tak, jakby kogoś dusił. — Od dawna o tym marzyłem. Od dawna pragnąłem zabić, zdeptać tego łotra.

—Więc przyznaje się pan do zabójstwa Przeteckiego? — spytał Downar.

Włoch zaczął się nagle śmiać, a śmiał się tak długo i serdecznie, że aż mu oczy zaszczyły łzami.

— Grazie a Dio,... Grazie a Dio — powtarzał w jakimś radośnym uniesieniu — Nareszcie, nareszcie. Jesteśmy wolni. Jesteśmy wolni!

—Pytam, czy pan przyznaje się do zabójstwa Przeteckiego? — nastawał Downar.

Bompenelli spojrział na niego, jakby go dopiero w tej chwili zobaczył.

—Ja? Pan nie wyobraża sobie nawet, jak ja pragnąłem go zabić, zadusić tymi oto rękami, zgnieść, zdeptać, zniweczyć, jak gada. jak plugawego, jadowitego gada. Ale nie... To nie ja go zabiłem, chociaż tak bardzo chciałem. Przetecki nie żyje, nie żyje to bydlę.

Downar nie bardzo wiedział, ile z tego wszystkiego należało zapisać na rachunek wypitego koniaku. Przyglądał się niezwykle podnieconemu olbrzymowi i ciągle myślał o tym, że mógł on bez trudu wbić nóż w serce Przeteckiego.

— Dlaczego wspomnienie tego człowieka wzbudza w panu tak straszną nienawiść? — spytał,

— Dlaczego?! Przecież to zrozumiałe. Terroryzował nas, mnie i Mariolę. Szantażował... Groził, że jeśli nie będziemy mu posłuszni, to pójdzie do włoskiej ambasady i powie, że hrabia Luigi Bompenelli poślubił dziewczynę lekkich obyczajów. Pan sobie wyobraża, , jaki to byłby skandal? Prasa, radio, telewizja, wszyscy by o tym mówili. Nie mogłem do tego dopuścić i nie chciałem stracić Marioli. Musieliśmy robić to, co kazał Przetecki-

ki.

— Walutowe interesy, co?

— To już się skończyło raz na zawsze. Przysięgam panu, że tym razem nie przewiozłem przez waszą granicę ani jednej dwudziestodolarówki.

— Wierzę panu. Zresztą to jeszcze sprawdzimy na wszelki wypadek. Nie o to mi w tej chwili chodzi. Teraz chciałbym ustalić, kto zabił Przeteckiego.

— Bardzo żałuję, ale nie ja. Zapewniam pana, że byłbym to uczynił ogromną satysfakcją.

— Co pan robił wczoraj wieczorem pomiędzy dziesiątą a jedenastą?

— Byłem na szosie. Dojeżdżałem do Warszawy,

— I sam pan jechał?

— Tak.

— Więc nikt nie jest w stanie poświadczyć, iż w tym czasie pan był w drodze?

— Oczywiście, że nikt. Nikogo ze mną nie było.

— Czyli, że nie posiada pan alibi. Bo Przetecki został zamordowany właśnie pomiędzy dziesiątą a jedenastą.

Bopenelli wzruszył ramionami,

— Czy sądzi pan, że gdybym to ja był mordercą, to opowiadałbym teraz to wszystko? Downar wypił łyk koniaku i zapalił papierosa.

—No cóż... w takich wypadkach różne bywają taktyki. Szczerść także może być posunięciem strategicznym. To jest nawet dobry chwyt, bardzo dezorientuje. Nie twierdzą oczywiście w tej chwili, że pan dokonał tej zbrodni, nie ulega jednak wątpliwości, że miał pan aż nadto powodów, aby się pozbyć Przeteckiego.

— Tego nie neguję. Sam to panu powiedziałem. Niech pan weźmie pod uwagę fakt, że nie musiałem panu wszystkiego opowiadać. Ale... ale czułem potrzebę mówienia. Przychodzi czasem taka chwila, że trzeba to wszystko z siebie wyrzucić, choćby słuchaczem był nawet człowiek zupełnie obcy.

—Czy pan zawsze nosi okulary? — spytał Downar.

Bompenelli był zaskoczony tym pytaniem.

—Nie rozumiem, dlaczego to pana interesuje. Owszem, noszę okulary, chociaż ostatnio chętnie je zdejmuję. Będę chyba musiał skontrolować sobie wzrok.

Downar przez chwilę przyglądał się szerokiej czaszce włoskiego arystokraty. Myślał o tym, że okulary znalezione w mieszkaniu Przeteckiego były bardzo duże.

—Czy pan długo ma zamiar pozostać w Polsce?

—To zależy od moich interesów handlowych, ale sądzę, że parę tygodni.

—Przypuszczam, że jeszcze będę zmuszony pana odwiedzić.

—Będzie mi bardzo miło.

Nastrój podniecenia i szczyrych zwierzeń minął. Bompennelli stał się znowu uprzejmy, powściągliwy, oficjalny. Wprost trudno sobie było wyobrazić, że człowiek ten przed chwilą mówił o najintymniejszych swoich osobistych sprawach.

Downar doszedł do wniosku, że przedłużanie tej rozmowy jest bezcelowe. Pożegnał się i wyszedł, zabierając ze sobą zdjęcie hrabiny Marioli. W hallu dał znak Pakule, żeby szedł za nim. Na ulicy sierżant spytał:

—No i jak, towarzyszu majorze?

—Trzeba gościa przypilnować. Posiedźcie jeszcze w hotelu i gdyby gdzieś się ruszył, jedźcie za nim. Macie wóz?

—Mam motor.

—To dobrze. Bądźcie w kontakcie z Komendą. Za parę godzin przyślemy wam zmianę.

Downar pojechał do Komendy. Czekał tam już na niego Kobiela.

—Znaleźliśmy tę cizię, towarzyszu majorze?

—Jaką cizię?

—No tę, którą Przetecki tak skatował i która była u tej lekarki.

—Jest tutaj?

—Tak. Właśnie czeka na przesłuchanie.

—Dawajcie ją do mojego pokoju.

Iwona była mizerna. Oczy miała podkrążone, policzki zapadnięte. Z pięknej, eleganckiej dziewczyny nie wiele zostało.

—Tak, przyznaję się — powiedziała od razu — Brałam

udział w tym napadzie na spółdzielnię we Wrocławiu. Nic nie mam na swoją obronę. Możecie mnie zamknąć.

Downar wyjął z kieszeni długopis i przez chwilę stukał nim o biurko.

Później wrócimy do tej wrocławskiej sprawy — powiedział — Na razie interesuje mnie zupełnie coś innego.

— Myślałam, że to o to chodzi...

— Niezupełnie. Niech mi pani powie, co panią łączyło z jakimś Oskarem Przeteckim.

— Pomógł mi, kiedy wpadłam wtedy we Wrocławiu, zabrał mnie do Warszawy.

— Była pani jego przyjaciółką?

— Oczywiście, ale bardzo krótko.

Downar zauważył od razu, że dziewczyna odpowiada na pytania bardzo rzeczowo i że nie stara się w najmniejszym stopniu wybielać swej osoby.

— Co pani myśli o Przeteckim? To był kawał drania.

— Dlaczego mówi pani „był”?

— Dlatego, że wiem, że go ktoś wykończył.

— Skąd pani wie, że Przeteckiego ktoś „wykończył”?

— Od ludzi. Czy pan myśli, że taka rzecz to się da ukryć?

— Ale konkretnie kto panią o tym poinformował?

— Już nie pamiętam, proszę pana. Rozmawiałam ze znajomymi.

— Z jakimi znajomymi? — nalegał Downar — Przecież musi pani pamiętać, kto pani powiedział o tym, że Przetecki nie żyje.

— Ojej! Ależ mnie pan męczy. Kiedy ja naprawdę nie pamiętam. Rozmawiałam z kilkoma dziewczętami, ze znajomymi...

— Dlaczego pani uciekła od tej lekarki, która się panią opiekowała?

— Bo się bałam, że mnie sypnie przed milicją i faktycznie sypnęła. Ale nie mam o to do niej żalu.

— Dlaczego?

— Bo i tak miałam zamiar zgłosić się na milicję. Obmierzło mi już to ciągle ukrywanie się. W ogóle dosyć mam wszystkiego.

— A przede wszystkim dokuczył pani Przetecki.

— To był kawał drania. Niech pan zobaczy, jak mnie urzą-

dził.

—Nie trzeba, nie trzeba — powiedział prędko Downar, widząc, że dziewczyna rozpiną bluzkę — Wierzę pani na słowo.

—To był skończony drań — powtórzyła, a jej niebieskie oczy pociemniały z gniewu.

—I miała pani ochotę go zabić.

—Byłabym to zrobiła z przyjemnością. Ale bałam się.

—Czy nosiła się pani z zamiarem pomówienia z Przeteckim?

—Tak. Chciałam mu powiedzieć, że wszystko między nami skończone, że już nie będzie mną rządził, że idę na milicję i powiem o tym, co było we Wrocławiu. Odsiedzę swoje i będę miała spokój. Pójdę do jakiejś roboty. Dosyć mam już tego życia. Niech pan nie myśli, że to takie wesołe.

—Wcale tak nie myślę.

— Chyba dostanę jakąś pracę?

Downar z sympatią spojrział na dziewczynę. W tej chwili był prawie pewien, że to nie ona zabiła Przeteckiego.

—Na pewno pani dostanie pracę. Pomożemy pani. Proszę być dobrej myśli. Wszystko się ułoży. Jeszcze tylko jedno pytanie. Gdzie pani była wczoraj pomiędzy godziną dziesiątą a jedenastą wieczorem.

— Byłam w kinie. Parę minut po dziesiątej wyszłam z kina i potem poszłam się przejść.

— A gdzie pani nocowała?

— U koleżanki. Tam gdzie mnie znalazła milicja.

— O które; godzinie przyszła pani do tej koleżanki?

— Było już chyba po wpół do dwunastej.

— Tak długo pani spacerowała?

— Może film się skończył trochę później. Tak, tak nawet na pewno. Bo byłam w kinie „Klub”, a tam się zaczyna o wpół do dziewiątej.

— Sama pani tak spacerowała?

— Sama.

Downar skończył przesłuchanie, schował do kieszeni długopis i kazał wyprowadzić Iwonę. Zostawszy sam mruknął:

— Do diabła! Wszyscy wczoraj byli w kinie spacerze,

Wszedł Kobiela.

—Towarzyszu majorze, przyszedł jakiś gość i chce rozmawiać w sprawie obywatelki Justyny Sarnowskiej.

—Wprowadźcie go.

Stanisław Nagajski był wysoki, szczupły i wyglądał bardzo młodo. Miał chłopcę, sympatyczną twarz, pokrytą brązową opalenizną. Patrząc na niego trudno się było domyśleć, że jest już adwokatem.

—Pan chciał ze mną mówić? — spytał Downar

— Chciałem się porozumieć z kimś w sprawie pani Justyny Sarnowskiej, która została zatrzymana przez milicję.

—A skąd panu wiadomo, że pani Sarnowska jest zatrzymana przez milicję?

— Rozmawiałem z nią dzisiaj przez telefon.

—Słyszałem tę rozmowę — powiedział zdziwiony

Downar — Pani Sarnowska nie powiedziała, że jest zatrzymana przez milicję.

—Mamy pewien nasz sposób porozumiewania się.

—Ach, więc szyfr?

— Coś w tym rodzaju. Czy z panem mogę mówić o tej sprawie?

—Tak ja prowadzę śledztwo.

—A ja jestem adwokatem i będę ewentualnie reprezentował panią Sarnowską. Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, na jakiej podstawie została zatrzymana.

— Na bardzo prostej podstawie. Pani Sarnowska była przyjaciółką niejakiego Oskara Przeteckiego, którego zamordowano. Nie dziwi to chyba pana, że w takim wypadku milicja nawiązuje kontakty z ludźmi, mającymi jakieś powiązanie z denatem. Pani Sarnowska złożyła fałszywe zeznanie, twierdząc, że wczoraj wieczorem wróciła do domu pomiędzy godziną ósmą a dziewiątą podczas gdy w rzeczywistości wróciła dopiero koło jedenastej.

— Tak

— Dłaczego pan to zrobił?

Młody adwokat zawahał się chwilę. Doszedłem Jednak do wniosku, że musi sprawę postawić jasno.

— Powiem panu szczerze. Kocham panią Sarnowską i chciałem ją wyzwolić nareszcie od Przeteckiego. Wczoraj wieczorem odprowadziłem Justynę do domu i postanowiłem pójść rozmówić się z Przeteckim.

— I poszedł pan?

— Poszedłem, ale przed domem Przeteckiego była już milicja. Zorientowałem się co się stało. Zadzwoiłem do Justyny i powiedziałem jej, żeby, w razie przesłuchania, zeznała, że wróciła do domu po ósmej.

— A skąd pan wiedział, że Przetecki nie został za-nordowany na przykład o szóstej?

— Ludzie powiedzieli mi, że milicja dopiero nie dawno przyjechała, a poza tym widziano Przeteckiego, jak wychodził z garażu. Słyszałem, jak o tym rozmawiano.

— Więc pan nie był u Przeteckiego w mieszkaniu?

— Nie, skądże.

— I w ogóle nigdy pan u niego nie był?

— Nigdy. Nie znałem go.

— I tak późnym wieczorem zdecydował się pan do niego na rozmowę?

— Mówiliśmy na ten temat z Justyną. Byłem bardzo podniecony. Chciałem to już załatwić.

— Nie bał się pan?

— Nie, nie bałem się. Wtedy się nie bałem. Byłem gotowy na wszystko. Musiałem z tym skończyć.

Downar spojrział uważnie na młodego człowieka.

— A właściwie, z czym pan musiał skończyć? Może mi pan to jakoś bliżej wyjaśni.

— Przetecki terroryzował Justynę. Zmuszał ją do prowadzenia podejrzanych interesów. Teraz znowu miała jechać do Włoch.

— Jakiego rodzaju były te podejrzane interesy?

— Pan chyba już się dobrze w tym orientuje.

— Mniej więcej, ale chciałbym jeszcze usłyszeć z pańskich ust.

— Szmuglowali walutę. Justyna miała wywieźć dużą partię papierowych dolarów. Opierała się temu, nie chciała. Przejęcki jednak...

—Czy pan miał coś wspólnego z tymi ich interesami walutowymi?

—Absolutnie nie miałem z tym nic wspólnego — zaprzeczył energicznie Nogajski — Z początku w ogóle nie wiedziałem, że Justyna zajmuje się czymś takim.

—A że jest przyjaciółką Przeteckiego, to pan wiedział od razu?

—Także nie. Dopiero później się zorientowałem. Justyna nabrała do mnie zaufania, zaprzyjaźniliśmy się i zaczęła mi pewne rzeczy opowiadać.

—Czy panu, jako adwokatowi, nie przyszło na myśl, żeby porozumieć się z milicją w sprawie Przeteckiego.

—Oczywiście, że mi to przyszło na myśl od pierwszej chwili, ale bałem się skompromitować Justynę.

—Tak. Rozumiem — Downar zaczął się zastanawiać nad tym, czy za tymi pozornie szczerymi odpowiedziami młodego prawnika coś się nie kryje. — Czy mógłby mi pan powiedzieć, w jakich okolicznościach poznał pan panią Sarnowską?

—Poznaliśmy się zupełnie przypadkowo, w kawiarni. Była wtedy z jakaś swoją przyjaciółką, ja się przysiadłem, potem ta przyjaciółka wyszła. Zaczęliśmy rozmawiać i tak jakoś ...

—Czy pan zna inżyniera Jacka Niewiarowskiego?

—Nie, ale słyszałem o nim.

—Od kogo?

—Od Justyny chyba ... Zresztą nie pamiętam.

—A czy pan słyszał o Izydorze Wenclu?

— Tak. To ten jegomość, który przyjechał z Mediolanu i został zamordowany.

—Czy o tym także pan słyszał od pani Sarnowskiej?

—Tak. Bo Wencel był u Justyny. Opowiadała mi o nim.

—I jeszcze chciałbym panu zadać jedno pytanie, panie mecenasie — powiedział wolno Downar, wpatrując się uważnie w twarz młodego człowieka — Czy pan zamordował Oskara Przeteckiego?

*

—Nie sądzisz chyba, że ten chuderlawy chłopczyzna zaszy-

letował Przeteckiego? — powiedział. Walczak, wysłuchawszy opowiadania przyjaciela.

Downar zrobił nieokreślony ruch ręką.

— Diabli go wiedzą. W efekcie różne rzeczy się zdarzają. Trochę mnie zastanawia to, że miał właściwie gotową odpowiedź na każde pytanie i że przyszedł z własnej, nie przymusowej woli do Komendy. To jest nie głupi facet i wie doskonale, że w takich wypadkach atak jest najlepszą taktyką.

Walczak nie wyglądał na przekonanego.

— Nie bardzo wydaje mi się to prawdopodobne, Przetecki dałby sobie radę z pięcioma takimi, jak ten twój adwokacina.

— To prawda — zgodził się Downar — Ostatnio tak mi się mnożą kandydaci na morderców Przeteckiego, że nie wiem w końcu, kogo wybrać.

— A możebyś poszukał poza listą kandydatów? — zaproponował z uśmiechem Walczak — Acha, czekaj... zupełnie zapomniałem. Mam tutaj dla ciebie pewne informacje, które cię chyba zainteresują — Wyjął z portfela niewielką kartę papieru.

Downar spojrzał zdziwiony i w pierwszej chwili nie zrozumiał o co chodzi. Przeczytał głośno: — Oko prawe; sfera — 1,0 z cyl + 3,0 oś 90 stopni; Oko lewe: sfera — 1,25 z cyl + 2,5 oś 90 stopni odległość źrenic 72 mm.

— Co to jest takiego?

— No coś ty? Zapomniałeś, czy jak? — Obruszył się Walczak — Przecież sam zwróciłeś uwagę na okulary, które leżały na włoskiej gazecie. Sprawdził te szkła dobry fachowiec. Powiedział, że to bardzo rzadko spotykane szkła. Trafiają się raz na kilkaset tysięcy.

— A te drugie okulary? — zainteresował się Downair — Te które znaleźliśmy przy tapczanie?

— To zwykłe szkła, jakich używa krótkowidz do czytania. Tam gdzieś zanotowałem na drugiej stronie tej kartki. O tutaj: Prawe oko — 3, a lewe — 2,75, odległość źrenic 62 mm. Pomiar czaszki Przeteckiego wykazał, że ta odległość źrenic pasuje do niego, to znaczy pasowała.

Downar był ogromnie zaaferowany tymi wiadomościami.

— Z tego wynika, że człowiek, który używał tych skompliko-

wanych szkieł, musi być potężnych rozmiarów.

—Oczywiście. 72 mm odległości między źrenicami. To olbrzym, a przynajmniej facet o ogromnej głowie.

—Za wszelką cenę muszę zdobyć okulary tego Włocha — powiedział Downar.

Czekaj. Nie galopuj. Hrabia nam nie ucieknie. Mam jeszcze dla ciebie dalsze wiadomości.

—No to czegoż od razu nie mówisz wszystkiego? — zdenerwował się Downar.

—Powoli, po kolei. Więc rozumiesz, jak zacząłem się zajmować tymi okularami, no to już szczegółowo postanowiłem sprawę rozpracować. Otóż tak: Najprzód posłałem Kalickiego do Łodzi, do hurtowni, żeby się zorientował, czy ktoś nie zamawiał takich specjalnych szkieł. Kalicki jeszcze nie wrócił i na pewno mu tam zejdzie parę dni. Oprawka w tych okularach jest robiona na zamówienie, bo to nietypowy rozmiar. Materiał, z którego zrobiono oprawkę, jest pochodzenia zagranicznego. Pomyślałem sobie, że jeśli ktoś obstał sobie w Warszawie takie okulary, to tylko mógł to zrobić u prywatnego optyka. Rozesłałem chłopaków po całym mieście, ale bez skutku. Żaden optyk nie robił takich okularów. Dopiero sobie przypomniałem, że na Pradze jest prywatny zakład optyczny, prowadzony przez świetnego fachowca, który otrzymuje z zagranicy surowiec do wyrobu opravek.

—No mówże wreszcie, o co chodzi! — zniecierpliwiał się Downar. — Głędzisz tak, że doczekać się nie mogę.

—Opowiadam ci wszystko od początku. Więc wyobraź sobie, że u tego optyka trafiłem na właściwy ślad. Poznał swoją robotę, pogrzebał w kartotece i znalazł. Nigdy byś nie zgadł dla kogo on zrobił te okulary. Dla pana Hamera z Konstancina.

Downar zerwał się.

— Dla Hamera?

— Tak jakiej dwa lata temu zrobił Hamerowi te okulary. Przypomniał sobie. Mówił, że miał duże trudności. w otrzymaniu takich szkieł.

— A wiesz, że to jest bardzo interesujące— powiedział podniekcytowany Downar.— Na śmierć -zapomniałem o tym face-

cie, a on się przecież wiąże z tym wszystkim. Wencel był u niego. Teraz znowu te okulary. Musimy natychmiast sprowadzić go tutaj i przesłuchać. Tylko trzeba zrobić coś z tą jego żoną. To chora narkomanka. W wypadku, gdybyśmy musieli faceta za-trzymać, nie możemy zostawić jej samej bez opieki.

—Weźmiemy ambulans — powiedział Walczak — W osta-teczności odwiezie się ją do jakiegoś szpitala.

— No to już. Nie traćmy czasu — przynaglił Downar.—Tylko musimy wziąć paru ludzi do pomocy. Chłop jest ogromny i nie wiadomo, jak się będzie zachowywał

— Myślisz, że może stawiać opór?

— Może. Nie wygląda na zupełnie normalnego.

*

Obawy Downara okazały się płonne. Hamer nie stawiał oporu. Dowiedziawszy się że ma jechać do Komendy Milicji, powiedział tylko:

— Moja żona jest chora. Nie mogę jej tak samej zostawić.

—Proszę się nie niepokoić. Zaopiekujemy się pańską żoną — uspokoił go Walczak.

Wsiadli wszyscy do samochodów, za wyjątkiem Downara.

—Zostajesz? — spytał Walczak.

— Tak. Zostanę tu jeszcze trochę. Muszę przejrzeć bibliote-kę pana Hamera. Przyślij mi wóz.

Walczak spojrział zdziwiony, ale nic nie powiedział. Dał znak do odjazdu.

Downar postął chwilę, patrząc za oddalającymi się wozami, a następnie ruszył w kierunku willi, przed którą rosły piękne dalie. Czuł ogarniające go zmęczenie.

Do komendy wrócił po upływie półtorej godziny Walczak był bardzo zniecierpliwiony.

—Co się z tobą działo tyle czasu? Czekam na ciebie z prze-słuchaniem Hamera.

—Musiałem sprawdzić pewne rzeczy — mruknął Downar. — Później ci wszystko wyjaśnię. Każ wprowadzić tego tryglodytę. I może niech Kobiela zaraz protokołuje .

— Coś ty Stefan taki przegrany? — spytał Walczak. — Wy-gładasz, jakbyś wypił butelkę octu na czczo.

— A.... bo nie lubię takich historii. No, zaczynamy.

Wszedł Hamer Ogromna, zwałista postać była pochylona, wyrażała smutek i rezygnację Długie muskularne ręce, zakończone potężnymi dłońmi, zwisały wzdłuż tułowia, wykonując słaby wahadłowy ruch. Twarz olbrzyma była bez wyrazu

— Proszę, niech pan siada.

Bamer zdawał się nie słyszeć zaproszenia. Stał ciągle, poruszając bezmyślnie rękami.

— Proszę, niech pan siada — powtórzył głośniejszym głosem Walczak. Kobiela podniósł się i podsunął krzesło, Hamer zgaszonym wzrokiem powiódł po twarzach oficerów i usiadł.

Czy pan znał niejakiego Oskara Przeteckiego? — zapytał Downar.

— Tak.

— Znaleźliśmy w mieszkaniu Przeteckiego pańskie okulary. a ponieważ Przetecki został zamordowany...

Hamer poruszył się na krześle i jakby się trochę skrzywił.

— Proszę panów — powiedział wolno. Głos miał gardłowy, schrypnięty. — Proszę panów... Ja się zastanowiłem i doszedłem do wniosku, że to wszystko nie ma sensu. Nie ma sensu tracić czasu na śledztwo, przecież prędzej czy później i tak się dowiecie prawdy. Szukacie mordercy Przeteckiego. No, to macie go przed sobą Tak. to ja go zabiłem jego własnym nożem. To był moment— Jedno pchnięcie. Sam tego chciał, łajdak. Dawno to mu się już należało.

— Dlaczego pan to zrobił?

— Dlaczego? To długa historia. Czy nie wystarczy, że się przyznałem?

— Nie. Musimy znać motyw zbrodni.

— No. cóż... Znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. Kocham moją żonę i chciałem jej dostarczyć kokainy. Bez niej żyć nie może. Szaleje. Z Przeteckim mieliśmy taką umowę, że będzie mi płacił.

— Za co miał panu płacić?

— No jak to za co? Za Mariolę.

— Kto to jest Mariola?

— Mariola to moja córka.

— Żona hrabiego Bompenelli to pańska córka?

— Oczywiście. Przetecki ją zdeprawował, zrobił z niej swoją kochankę. Ale to się skończyło. Mariola na szczęście wyszła za mąż za bogatego cudzoziemca i wyjechała z nim. Ale Przetecki w dalszym ciągu czerpał z niej zyski. Mariola chciała mi pomóc. Wiedziała, że moja żona... Umówiła się z Przeteckim, że będzie mi dawał pieniądze. Oddawała mi swój udział w zyskach. Początkowo płacił, ale od dłuższego czasu nie chciał płacić. Poszedłem do niego wtedy. Błagałem go. Moja żona była w strasznym stanie. Prosiłem go zaklinałem, upokarzałem się. Wyśmiał mnie. Powiedział że wyjeżdża granicę, że już nie wróci, żebym nie liczył na jego pieniądze. Straciłem panowanie nad sobą. Chwyliłem za nóż!

— Czy pan czekał na Przeteckiego w jego mieszkaniu?

— Tak. Miałem klucze od jego mieszkania. Mariola mi je zostawiła. Wszedłem i zaczekałem na niego. Bo nigdy nie chciał się ze mną spotkać. Postanowiłem wtedy, że się doczekam wreszcie, że będzie musiał ze mną rozmawiać. No i doszło do rozmowy... Myślicie, że żałuję, że to zrobiłem? Nie, nie żałuję." To był wyjątkowy łajdak. Ileż on dziewczyn popchnął w błoto. To tak, jakby się zgniotło wstrętnego gada.

— Ale Izydor Wencel nie był wstrętnym gadem — powiedział Downar. — A przecież jego także pan zabił. Walczak rzucił przyjacielowi szybkie niespokojne spojrzenie.

— Dlaczego pan przypuszcza, że to ja? — spytał Hamer.

— Zapoznałem się dokładnie z pańską biblioteką, bardzo starannie skatalogowane książki. Otóż na półkach brakuje akurat tych książek, które znaleźliśmy w wozie Wencela. Były w teczce i naciskały gaz. Wybrał pan ciężkie tomy w sztywnej oprawie. Trudno przypuszczać, żeby to był tylko zbieg okoliczności.

Na kwadratowej twarzy Hamera niespodziewanie pojawił się uśmiech, ale to nie był wesoły uśmiech,

— To chyba wszystko jedno, czy mnie powieszą za jedno morderstwo czy za dwa. Tak, to ja zabiłem tego detektywa z Mediolanu. Zaskoczył mnie jego przyjazd. Miał fotografię Marioli. Chciał się dowiedzieć szczegółów o jej życiu, chciał ją

skompromitować. Ponieważ nic mu nie powiedziałem, pojechał do Justyny Sarnowskiej. Byłem pewny, że ona powie prawdę o Marioli.

—Dlaczego był pan pewny?

— Bo Justyna chciała się wydać za tego Włocha, który się ożenił z Mariolą. Była wściekła, zazdrosna.

—I pojechał pan za Wenclom.

— Tak. Niech się pan wczuje w moje położenie. Co miałem zrobić? Moja jedyna córka po tym wszystkim zdobyła kochającego męża, majątek, pozycje towarzyską. Jest szczęśliwa! Rozumie pan? Jest bardzo szczęśliwa. Czyż mogłem dopuścić do tego, żeby jakiś detektyw z Mediolanu zburzył to wszystko, tylko dlatego, żeby zarobić głupich parę dolarów? Nie, nie mogłem na to pozwolić. Pojechałem za nim i czekałem, aż wyjedzie od Justyny. Powiedziałem mu, że się namyśliłem i że mu opowiem o Marioli. Spytałem co się stało z jego siostrzeńcem. Dowiedziałem się, że chłopak pojechał do Andrzeja Popiela.

—To pan dzwonił do Popiela?

— Tak. Mam głos podobny trochę do głosu Przeteckiego. Podszycłem się pod niego. Kazałem Popielowi... To już nie ma w tej chwili żadnego znaczenia.

— Czy pan wie, że przez to został niewinnie oskarżony młody człowiek. Jacek Niewiarowski?

—Tak. Ale dopiero później zdałem sobie z tego sprawę. Tego nie wolno mi było zrobić.

Zapanowało milczenie. Downar i Walczak nie patrzyli na siebie. Siedzieli ze wzrokiem wbitym w biurko. Szczera spowiedź tego nieszczęśliwego człowieka wywarła na nich silne wrażenie.

Hamer siedział zgarbiony. Na jego twarzy znowu pojawił się wyraz rezygnacji i apatii. Podniecenie minęło. Patrzył zamglonymi, niewidzącymi oczami. Był starym człowiekiem dla którego życie już się skończyło. Spojrzawszy na niego, Downar pomyślał o ogrodzie pełnym dali.

Zrobiło mu się żal. Nie czuł żadnej satysfakcji.

Z. ZEYDLER-ZBOROWSKI

Detektyw z Mediolanu

Koniec

Kurier Polski
WSYSTKO DLA WSZYSCICH
1964 rok - nr 199-269

Ali-Baba